


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.
Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym

LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Aleksander Krawczuk

**STĄD DO
STAROŻYTNOŚCI**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Historia i literatura

Poproszono mnie kiedyś, bym zabrał głos w toku sesji poświęconej wzajemnemu stosunkowi historii i literatury. Zwrócono się do mnie – tak przypuszczam – z tej racji, że zdaniem wielu działałam właśnie w zakresie tych dwóch umiejętności, to jest pisarstwa oraz naukowego badania przeszłości. Wynikałoby stąd, że mam jakiś szczególnie jasny i bardzo przemyślany pogląd na owe sprawy, a więc na powiązania i współwarunkowania nauki i sztuki, pogląd tym godniejszy uwagi, że oparty na własnych doświadczeniach.

Muszę wyznać, że jeśli takie zdania i oczekiwania rzeczywiście istnieją, są one nazbyt pochlebne. Mówię to bez żadnej fałszywej skromności. Niewiele bowiem znam osób, które miałyby prawo powiedzieć o sobie z czystym sumieniem i z pełnym poczuciem odpowiedzialności: jestem dobrym historykiem albo też: jestem naprawdę pisarzem. Są to przecież określenia bardzo dumne, bardzo zobowiązujące, zwłaszcza w naszym kraju, w którym byt duchowy narodu przez całe pokolenia trwał i rósł głównie dzięki niezmordowanemu i prawdziwie tytanicznemu wysiłkowi ludzi pióra. Dzięki tym, co miłowali, badali i wskrzeszali świetną przeszłość, oraz tym, którzy potrafili budzić najszlachetniejsze emocje. Oczywiście nie muszę też przypominać, że o tym, czy się jest, czy też się nie jest historykiem, nie stanowią żadne, choćby najszumniejsze tytuły naukowe lub liczba pozycji bibliograficznych. I nie każdy też, komu mówią „mistrzu” i kto jest członkiem ZLP, zasługuje tym samym na miano pisarza.

Skoro więc niewielu jest historyków i pisarzy, tym szcuplejsze musi być grono tych, którzy z powodzeniem uprawiają zarazem dziedzinę nauki, jak też literatury. I wreszcie, inna to rzecz osiągać piękne wyniki badawcze i zdobywać laury pisarskie, a zupełnie odmienna – teoretyzować i snuć refleksje na temat tego, co i jak się robi.

Na ten zdumiewający fakt zwrócił uwagę już Sokrates. Kiedy bowiem usiłował dowieść bogowi Apollonowi – tak opowiada sam. w Apologii Platona – że nie jest najmądrszym z ludzi (a bóg właśnie tak twierdził!), rozmawiał kolejno z różnymi osobami mającymi znakomite imię w najrozmaitszych zawodach i umiejętnościach. Trafił i do poetów. A było wtedy z kim dyskutować! Przecież to czas Sofoklesa, Eurypidesa, Arystofanesa, by tylko tych wymieniść, dziś najbardziej znanych. „Wziąłem więc do ręki ich poematy – i to te, które uznałem za najstaranniej opracowane – pytając autorów, co chcieli w nich powiedzieć. Wstydzę się prawdę wam wyznać. Mówiąc bowiem krótko, niemal wszyscy obecni przy rozmowie potrafili rzec coś sensowniejszego o dziełach tych niż sami ich twórcy. Zrozumiałem wtedy, że nie dzięki swej mądrości piszą to, co piszą, ale zasługa to jakiegoś przyrodzonego talentu i nauczania”. Te słowa mędrca sprzed dwudziestu pięciu wieków powinni stale mieć w pamięci wszyscy teoretycy literatury, wszyscy krytycy, wszyscy uczeni pracownicy IBL – u.

Tak więc nie udawana skromność, poczucie miary oraz nikłość moich prac radziłyby mi raczej nie wypowiadać się na temat tak wielki, jakim jest sprawa literatury i historii. Wiem również, właśnie jako historyk, że przezorne milczenie okazało się w wielu wypadkach ogromnie przydatne w wytwarzaniu opinii: oto człowiek niezgłębionej mądrości, której jednak byle komu nie objawi. Zgodnie z łacińskim powiedzeniem *Si tacuisses, philosophus mansisses* – gdybyś milczał, nadal uchodziłbyś za filozofa.

Dlaczego więc głos zabieram w tej materii? Chyba z przekonania, że trzeba ponosić konsekwencje tego, co się robi. Skoro bowiem moim zadaniem jest badanie historii, i to bardzo

dawnej, książek zaś apelujących do szerokiego kręgu czytelników napisałem sporo, a do tego występuję często w programie telewizyjnym poświęconym światu antycznemu, powinienem przynajmniej wskazać, jakie nasuwają mi się myśli i uwagi dotyczące tych – różnych przecież – zakresów mej pracy.

To wszystko, co rzekło się dotychczas, jest zgodne z zaleceniami antycznej retoryki, by najpierw i przede wszystkim uprawiać *captatio benevolentiae*, czyli usiłować zjednać sobie życzliwość słuchaczy i czytelników, co osiąga się najłatwiej wywodząc, że jest się niegodnym tak wielkiego, tak odpowiedzialnego zadania, jakie przed autorem postawiono. *Captatio benevolentiae* w mniej lub więcej rozwiniętej formie stanowi od starożytności po chwilę obecną wypróbowany instrument w arsenale literackich zabiegów i chwytów. Jest to jeden z bezliku przykładów ukrytej obecności świata starożytnego w świecie współczesnym. Pokazuje również, w jaki sposób antyczna literatura ukształtowała nasze wręcz odruchowe postawy, drogi wyrażania się i grzecznościowe formuły, czyli naszą mentalność i obyczaj. A to już wchodzi w zakres historii kultury.

Kiedy jednak słyszymy słowa „historia i literatura”, myślimy przede wszystkim, to rzecz oczywista, o konkretnych wydarzeniach, o faktach z dziedziny polityki, gospodarki, wojny, życia wybitnych osób. Myślimy o nich jako o tworzywie dzieł pisarzy. A więc stosunek: fakt – fikcja; dokument – opowieść; prawda źródeł – prawda sztuki. Istnieje, jak powszechnie wiadomo, ogrom prac omawiających tego typu relacje zarówno w poszczególnych wypadkach, jak też w sensie ogólniejszym. Ileż to napisano o problemach prawdy historycznej w Trylogii Sienkiewicza, o obrazie Rzymu Nerona w *Quo vadis*, o źródłach i tendencjach powieści historycznych Kraszewskiego, Prusa, Żeromskiego, Kaczkowskiego! Mnogość tego typu prac, jakie ukazały się i wciąż ukazują we wszystkich językach i krajach, jest wręcz oszałamiająca. I nic dziwnego: są to sprawy konkretne, ważne, interesujące, a pozornie łatwe do przedstawienia. Podkreślam: pozornie, tylko pozornie. I tylko wtedy, jeśli rzecz traktuje się schematycznie, po prostu katalogując wątki antyczne czy też innej epoki historycznej w dziele takim a takim lub też ogólniej rozprawiając o obecności antyku w pismach tego lub innego pisarza albo poety. W rzeczywistości są to zagadnienia najtrudniejsze, choćby z tej przyczyny, że dany utwór wypadłoby rozpatrywać każdorazowo na tle i w powiązaniu z innymi tejże epoki, nie mówiąc już o analizie wszelkich subtelności przekształceń danego wątku, motywu, obrazu w indywidualnym dziele. I wreszcie, takie prace winny prowadzić do wniosków ogólniejszych, dopiero wtedy stają się w pełni sensowne i potrzebne. I muszę tu otwarcie stwierdzić, że w moim mniemaniu wszelkie „Hellady i Romy w Polsce”, dawniejszego i najnowszego autorstwa, tych postulatów nie spełniają: są nazbyt prostoduszne, a miejscami wręcz belferskie.

Powrócę do tych kwestii, ale drogą jakby okólną, najpierw bowiem chciałbym zająć się sprawą, o której powyżej napomknąłem, to jest kształtowaniem historii, biegu wydarzeń przez literaturę.

Przed przeszło półtora wiekiem w sali przedpokojowej pałacu pewnego senatora w Wilnie toczono, wśród nawału spraw bieżących, politycznych, również rozmowy treści ogólnej. Oto Doktor wywodził:

Właśnie powiadałem

Jaśnie Panu, że młodzież zarażają szaleń

Ucząc ich głupstw: na przykład, starożytne dzieje!

Któż nie widzi, że młodzież od tego szaleje. (...)

I owszem, uczyć dziejów, niech się młodzież dowie,

Co robili królowie, wielcy ministrowie...

I ucieszony pochwałą z ust Senatora, tokował dalej:

Właśnie mówię, widzi Pan Dobrodziej,

Że jest sposób wyklądać dzieje i dla młodzi.

Lecz po co zawsze prawić o republikanach,
Zawsze o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach?¹

Dzieło, którego treść i słowa znamy wszyscy niemal na pamięć, mówi o wydarzeniach współczesnych twórcy i jego czytelnikom – tym pierwszym, oczywiście. Lecz wydarzenia te otrzymały swój wymiar dziejowy, stały się wielką historią w niemałym stopniu właśnie dzięki owemu poematowi i za jego pośrednictwem wpływały na dalszą historię narodu. Dramat wi- leński z pokolenia w pokolenie kształtował polską świadomość narodową i nadal ją kształtuje. Dlatego też, w gruncie rzeczy, wszystkie rozważania o literaturze i historii muszą w naszym kraju rozpoczynać się od tego arcydramatu i wokół niego krążyć, w nim bowiem zawarte są wszelkie możliwości i perspektywy zagadnienia, a zwłaszcza owe dwie główne: historia, która staje się literaturą, i literatura, która tworzy historię.

Te wielkie problemy znajdują w każdym pokoleniu polskim wielu świetnych badaczy. Nie śmiałbym wchodzić na teren ich poszukiwań i rozważań. Wystarczy mi w owym splocie zagadnień tylko jedna kwestia, właśnie ta poruszona przez Doktora. Można by mianowicie rzec, że jego poglądy i rady nierychło, bo nierychło, ale przecież zwyciężyły: choć wyklada się dziś dzieje dla młodzi, niemal głucho w programach nauczania o historii starożytnej, zupełnie jakby ktoś przyznawał po cichu rację słowom, że młodzież od tego szaleje. Nie mówi się więc za dużo o republikanach, o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach. Dlaczego tak się stało? Chyba z tej przyczyny, że obecnie dość powszechnie, a najzupełniej fałszywie, mierzy się aktualność wydarzeń ich bliskością w czasie. Jednakże w historii traktowanej poważnie podziałka chronologiczna bywa czymś bardzo zawodnym. Fakty z odległej przeszłości, pozornie już martwe i zapomniane, jednak żyją, wywierają wpływ, są obecne, natomiast coś, co zaledwie się stało lub też jeszcze się pławi w blasku chwały i paraduje wśród fanfar, w istocie jest tylko maską nicości.

A Doktor był mądry i przewidujący! Rozumiał doskonale, że z punktu widzenia interesów władzy, której służył tak wiernie i podle, historia starożytna jest istotnie niebezpieczna. Sławiła przecież ustami greckich i rzymskich dziejopisów, mówców, filozofów takie wartości, jak: wolność osobista, obywatelska, narodowa; swoboda słowa; jawność życia politycznego; demokracja, republikanizm, autentyczny patriotyzm. Wynosiła na ołtarze tyranobójców, piętnowała wszelkie formy jedynowładztwa, a także narzędzia ich mocy: donosicielstwo, służalczość, przekupstwo, korupcję. Wolność ustrojowa i narodowa stanowiła dla Ateńczyków dobro najwyższe – tak przynajmniej twierdzili Herodot, Tukidydes, Liwiusz, Cynceron, Tacyt, Plutarch.

Co prawda – bo i o tym trzeba wspomnieć, to także należy do tematu – można było i wciąż jeszcze można odpowiednio manewrować przykładami z historii antycznej, dobierając w zależności od potrzeby i własnych poglądów wzory takie lub inne. Toteż francuscy republikanie i rewolucjoniści powołują się stale na dzieje rzymskiej republiki, wielbią Cyncerona i Liwiusza. Ale już w kilkanaście lat później Napoleon nawiąże wprost do symboliki rzymskich cesarów, do orłów legionowych. Carowie zaś, którym nie w smak ateńscy demokraci i rzymscy republikanie, uważają się jednak za spadkobierców idei imperium, pielęgnują pojęcie Rzymu trzeciego, przybierają stosowną tytulaturę. A III Rzesza, tak nienawidząca wszelkich swobód obywatelskich, tak wroga intelektualistom, również znalazła i propagowała swój ideał antyczny. Była nim Sparta – żołnierska, zdyscyplinowana, ofiarna, czysta obyczajowo, wysportowana, tępiąca wszelki indywidualizm, ojczyzna wojowników wiernych rozkazowi i prawom kraju aż do ostatniej godziny.

Przykładów owego, jak to określiłem, manewrowania starożytnymi przykładami, wzorami, symbolami można by przytoczyć mnóstwo, jest to bowiem zjawisko towarzyszące dziejom Europy poprzez wieki. A było to możliwe nie dzięki temu, że historia antyczna wyglądała i

¹ Adam Mickiewicz: Dziady – Cz.III, scena VIII

przebiegała właśnie tak, jak przebiegała, ale przede wszystkim dzięki temu, że sami starożytni zadbali o to, by swoje dzieje odpowiednio przedstawić. Odpowiednio, to znaczy wymownie, pięknie literacko, patetycznie. Inaczej mówiąc: zarówno czyn tyranobójców Harmodiosa i Aristogejtona, jak też bohaterstwo Leonidasa, mądrość polityczna Peryklesa, zamach Brutusa pozostałyby faktami martwymi i nic nie znaczącymi dla potomności, gdyby nie ich starożytni piewcy. Wielcy pisarze antyczni, prezentując dzieje swoich ludów i państw według kanonu wartości, które uważali za najwyższe, tworzyli tym samym dzieje późniejsze – aż po nasze czasy. I proces ten będzie trwał dalej, albowiem mimo wysiłków, rad, przestróg wszelkich Doktorów nic nie powstrzyma w rozwoju europejskiej wspólnoty kulturowej nawarstwiania się wątków, łączenia się prądów i motywów uwarunkowanych antycznie, automatyzmu pewnych skojarzeń.

W tym miejscu należy przypomnieć choćby w kilku słowach fakt powszechnie znany i uznawany: w rozumieniu Greków i Rzymian historiografia stanowiła tylko część literatury pięknej, jeden z jej gatunków czy też rodzajów. Stąd właśnie, z dbałości o formę, bierze się moc, poczytność, nieśmiertelne znaczenie ich dziejopisarstwa. Na szczęście dla siebie, to jest dla chwały swej epoki i jej znaczenia, pisywali stosunkowo mało podręczników, a w ogóle nie znali rozpraw naukowych „na stopień”. Wprawdzie skutkiem tego ubożsi byli w tytuły, bogatsi za to w dzieła trwałe i do dziś czytelne. Nie wiem, a raczej bardzo wątpię, czy historiografia nasza będzie mogła podobnie potężnie kształtować myślenie i działanie ludzi w wiekach późniejszych. Jeśli cokolwiek pozostanie z tego zakresu, to chyba tylko zbiory wstrząsających dokumentów, które na pewno zmuszą usta potomnych do okrzyku: Oby ludzkość już nigdy nie upadła tak nisko, jak ta w wieku XX!

Mówiąc jeszcze inaczej, krócej: antyczna historiografia zawdzięcza swą żywotność temu, że była w treści *dy sk u s y j n a*, to jest osobista i poruszająca palące problemy, w formie zaś – *n i e n a u k o w a* (jeśli określenie to cokolwiek znaczy).

W starożytności grecko – rzymskiej książka historyczna spełniała te same zadania, które w czasach nowożytnych przejęła powieść. Jak wiadomo, powieść w świecie antycznym istniała, zachowały się jej zabytki, nigdy jednak nie miała ona tego znaczenia i nigdy nie cieszyła się taką popularnością, jakie przypadły jej zwłaszcza w wieku XIX. Egzystowała skromnie w cieniu historiografii, która musiała spełniać zadanie podwójne: miała przekazywać wiedzę o faktach, ale jednocześnie wymagano, aby czyniła to w sposób interesujący i powabny. Kiedy jednak w naszej epoce doszło do rozdziału – może zresztą nieuniknionego – obu funkcji, tę drugą, to jest bardziej literacką, ochoczo przejęła powieść historyczna.

Antyczne dzieje, antyczna historiografia dostarczyły, jak widzieliśmy, różnych wzorów i symboli dla postaw politycznych. Inaczej przedstawia się sprawa, gdy rozważymy generalnie XIX – wieczną powieść mającą za tło świat antyku, zwłaszcza świat rzymski. Oczywiście, są to utwory o różnej wartości artystycznej i służące rozmaitym celom: dydaktycznym, rozrywkowym, budującym. Mimo to łatwo wykryć, że wszystkie mają jedną cechę wspólną: stereotypowość wyobrażeń o czasach, w których się rozgrywają. Kapłani egipscy są podstępni, ale posiadają dużą, choć zazdrośnie strzeżoną wiedzę; zdarzają się wśród nich prawdziwi mędrcy. Feniccy kupcy celują sprytem, przebiegłością, chciwi są każdego grosza. Ateńczycy to szlachetni demokraci, rozprawiający wciąż o problemach filozofii i sztuki. Sokrates jest oczywiście mędrce o najwyższym poziomie moralnym i intelektualnym, dlatego też tłum go nienawidzi. W tym wypadku występuje wprawdzie jaskrawa sprzeczność między stereotypowym wyobrażeniem Ateńczyka a takimże Sokratesa, ale tego rodzaju sprzeczności są nieuniknioną, przyjmowaną bez oporów pochodną, a raczej immanentnym elementem każdego stereotypowego myślenia. Aleksander Wielki jako promienny, rycerski bohater zdobywa Wschód i otwiera nowe szlaki historii, choć znowu nikt jakoś nie chce sobie uświadomić, że nie było żadnego przymusu podboju Wschodu i że taka koncepcja roli oraz osobowości Aleksandra czyni zeń po prostu Kulturträgera.

Najwyraźniej wszakże stereotypowość występuje w powieściach mających za tło Rzym cesarów. Klasycznym przedstawicielem tego gatunku jest *Quo vadis*, ale to samo dotyczy też powieści rzymskich Kraszewskiego, Newmana i całego legionu innych. Z reguły występują w nich dwa mocno skonstrastowane światy, mamy do czynienia z ostrym podziałem dychotomicznym. Z jednej strony Rzym pogański, nurzający się w przepychu, krwi i orgiach; najlepsi jego przedstawiciele są wyrafinowanymi intelektualistami, niezdolnymi do czynu, a nawet do dokonania właściwego wyboru moralnego. Z drugiej strony niewielka gromadka chrześcijan ubogich, prostych, pełnych miłości bliźniego, czystych i skromnych. Toteż głębszym, najistotniejszym powodem ich prześladowania jest sam fakt, że swym nieskazitelnym życiem tak bardzo odbiegają od rozpusty, wyuzdania i arogancji pogan. Prowokują do nienawiści właśnie przez to, że są tak bezbronni, tak życzliwi wszystkim, tak nieśmiali, świetlani i cnotliwi.

Trzeba tu zaznaczyć, że w niektórych powieściach, zwłaszcza oczywiście niemieckich, miejsce chrześcijan zajmuje jako grupa pozytywna Germanie – męscy, dzielni, prostolinijni. Do nich należy przyszłość, zniewieściali Rzymianie muszą runąć wraz ze swym zgniłym imperium, przyjdą nowe, młode ludy i nowa religia.

Stereotypy te zawładnęły całkowicie wyobraźnią Europejczyków i trzeba uczciwie stwierdzić, że jakiegokolwiek próby odmiennego rozłożenia akcentów – przynajmniej jeśli chodzi o tę stronę złą, pogańską – są z góry skazane na niepowodzenie. Ale już samo uświadomienie sobie, że chodzi o stereotyp, jest krokiem naprzód i może być jakimś wyłomem w owym murze myślenia utartymi, szablonowymi obrazami.

Nasuwa się pytanie, jakie to przyczyny sprzyjały powstawaniu właśnie takich stereotypów? Odpowiedź jest dość niespodziewana, ale pewna i nawet nie wymagająca długich studiów, raczej nieco refleksji. Oto winowajcami okazują się głównie sami starożytni, pogańscy pisarze! Literatura grecka i rzymska jest, jak wiadomo, z natury swej bardzo moralizatorska, pouczająca, skłonna do patosu i retoryki. Toteż z lubością piętnuje, wyszydza i gromi to wszystko, co w jakikolwiek sposób odbiegało od zwykłego, to jest prostego i skromnego trybu życia oraz od obowiązującej normy obyczajowej; obowiązującej, choć nie ujętej w żadne dekalogi i wykazy czynów grzesznych.

Mając wciąż przed oczyma wspaniałe zabytki antycznej architektury – wspaniałe nawet w ruinach – oraz dzieła wielkiej sztuki, zapominamy często, w jak ubogich warunkach żył i pracował przeciętny człowiek tamtej epoki. Małe i skąpo wyposażone mieszkania, do tego zaledwie ogrzewane. Kuchnia niebogata: chleb, warzywa, owoce, tłuszcze roślinne, sery, wino rozcieńczone wodą, suszone ryby, mięso bardzo, bardzo rzadko; kto jadł obficie lub wykwintnie, rychło zdobywał miano Lukullusa lub wręcz obzartucha. Odzienie proste. I tak dalej, i tak dalej. A jeśli chodzi o sprawy erotyki – bo wokół nich najwięcej nieporozumień – to wypada stwierdzić krótko, że były one ludzom starożytności, owym brzydkim, rozpustnym poganom, w gruncie rzeczy dość obojętne. I właśnie dlatego mówili o nich w swych mitach z taką swobodą i tak beztrząsowo odtwarzali piękno ludzkiego ciała – bez listka figowego! *Naturalia non sunt turpia* – co naturalne, nie jest brzydkie. Seksualizm antyczny to strumyk toczący wody niezbyt głębokie, ale za to jasne i przejrzyste kapryśnym, miłym łóżkiem. Natomiast chrześcijaństwo cechuje się, jak też inne wielkie religie soteriologiczne – buddyzm, islam – wrogością wobec erotyki, a nawet wręcz antyerotyczną obsesją. Jej pochodną jest stosunek do kobiet, bardzo ambiwalentny. Jako rodzaj są one istotami, przed którymi należy mieć się na baczności, zło bowiem najchętniej poprzez nie działa, kusi, uwodzi. Natomiast mogą być i bywają otaczane czcią głęboką kobiety matki i dziewice, co zresztą ma swoje odpowiedniki, a raczej korzenie, w wielu kulturach pradawnych.

Powracając jednak do obrazu, którym posłużyliśmy się poprzednio: chrześcijaństwo przegradziło tamą ów bardzo niegroźny strumyk pogańskiej erotyki, czyniąc z niej jeden z podstawowych problemów moralności. Momentalnie powstało potężne rozlewisko, głębokie i groźne, ponure i mętne, a spiętrzone wody zaczęły szukać sobie przejść podziemnych. Zro-

dziły się z jednej strony wszelkiego rodzaju kompleksy, fobie, urazy, wręcz obłądne doszukiwanie się zła we wszystkim, co zaledwie ociera się o sprawy seksu, z drugiej zaś jakaś prawdziwie faryzeuszowska satysfakcja moralna, że jednak jest się lepszym od tych brzydkich pogan. I nie ma się co łudzić, nigdy już nie powrócimy do stanu błogiej bez troski, bezgrzeszności świata antyku. Wszyscy bowiem, zarówno wierzący chrześcijanie, jak też osoby indyferentne, a nawet ideowi przeciwnicy religii noszą w sobie przekonanie, że sprawy to podejrzane, nieczyste, deprawujące. Mamy tego żywy przykład w zasięgu ręki. Jakim to kamieniem obraży stała się ładnie napisana, mądra, bardzo potrzebna książka pani Michaliny Wisłockiej *Sztuka kochania!* Wytworzyły się najdziwaczniejsze sojusze w imię rzekomo zagrożonej moralności, dosłownie realizując hasło: Purytanie wszelkich maści i odcieni – łączcie się! I tak oficjalna oraz kościelna cenzura sobie, a życie sobie...

Walczące i zwycięskie chrześcijaństwo było najistotniej, najżywotniej zainteresowane w tym, aby tamten świat pogan przedstawić w barwach możliwie czarnych, ponurych, zohyzdających. Dopiero bowiem na tym tle mogły wystąpić w należyтым blasku wartości moralne nowej religii jako przynoszącej prawdziwe wyzwolenie od zła i ratującej ludzkość w ostatnim momencie od przepaści, w którą już się staczała skutkiem grzechów, wyuzdania i ślepoty ludzi nie znających prawdy objawionej. W jakiej mierze to prawda, nie nam tutaj osądzać. Pewne jest natomiast, że broni i materiałów oskarżycielskich bardzo gorliwie dostarczali wszystkim misjonarzom i apologetom owej religii sami oskarżeni, to jest poganie, ustami swych historyków, filozofów i satyryków.

Istnieje wszakże również stereotyp odwrotny, ukochany i powielany przez racjonalistów rozmaitych obozów: oto ostatni, światli i kulturalni poganie, przedstawiciele ginącego świata wysokiej kultury, tolerancji, ładu, harmonii walczą rozpaczliwie z barbarią wewnętrzną i zewnętrzną, z fanatyzmem i ciemnotą. Najbardziej znani bohaterzy tego typu to Julian Apostata i Hypatia, matematyczka aleksandryjska, rozszarpana przez motłoch.

W tym wreszcie związku trzeba wspomnieć także o nader częstym stereotypie „ostatniości”. Mamy więc powieści o ostatnim Rzymianinie, ostatnim Hellenie, ostatnim poganinie, ostatnim platończyku, a nawet ostatnim epikurejczyku.

Jakie wnioski wynikają z przedstawionego stanu rzeczy? Są chyba oczywiste. Jedno z zadań historyka poważnie traktującego przedmiot swych badań, swe powołanie, czyli dochodzenie do prawdy, musi polegać na zwalczaniu wszelkich stereotypów. Musi przeciwstawiać się ich pozornie barwnym i dramatycznym obrazom – pozornie, bo fikcyjnym, a ponadto powielanym i niekiedy wręcz oleodrukowym. Prawda zaś bywa odmienna, każe inaczej rozkładać akcenty, z reguły nie tak kontrastowo. Ale za to może ona, jak każda prawda w każdej dziedzinie wiedzy, służyć do wyciągania wniosków, które będą i słuszniejsze, i przydatniejsze od tych, jakie buduje się na podstawie powieściowych stereotypów.

Krótko mówiąc: historyk musi być wrogiem powieści historycznej, zwłaszcza tej tradycyjnej. Jest to, mówiąc uczciwie, zadanie wręcz beznadziejne, trudno bowiem walczyć z tym, co porywa wyobraźnię wymową, urokiem, kolorem. Trudno tym bardziej, że literatura ma obecnie do dyspozycji również wielki i mały ekran, filmy i seriale. Najjaskrawszym przykładem tego, co może obraz telewizyjny, było powodzenie przed kilku laty serialu „Ja, Klaudiusz”. A przecież rzecz to klasycznie stereotypowa! Pokazuje Rzym, a właściwie tylko rodzinę cesarską, w zupełnie fałszywym świetle, oderwaną od społeczności, od życia i losów imperium, a nawet stolicy. Jediną pasją dynastii wydaje się walka o władzę, popełnianie najnikczemniejszych zbrodni, nurzanie się w rozpuście. Trucizna, krew, erotyka – oto, jeśli wierzyć takim utworom, cała treść bytowania Rzymian, gnębieli świata.

A tego rodzaju dzieła – powieściowe, sceniczne, filmowe – mają jeszcze to do siebie, że każde następne, aby zająć i podekscytować czymś nowym wyobraźnię odbiorców, musi być mocniejsze, brutalniejsze, musi sięgać po okrutniejsze pomysły i sceny. I znowu wręcz klinicznym przykładem takiego rozwoju – to znaczy odchodzenia od prawdy dla wzbudzenia

wrzawy i zainteresowania – jest film amerykański „Kaligula”, który przez pewien czas opnował ekrany wielkich stolic, a pokazywał szaleństwa i okrucieństwa obłąkanego cesarza możliwie realistycznie.

Ktoś powie, że mimo wszystko powieści i filmy nawet najbardziej stereotypowe są jednak użyteczne, budzą bowiem zainteresowanie daną epoką, sprawą, osobą, każą wertować książki o odpowiedniej tematyce, dają jakąś sumę wiedzy i bodźców. Ale złudna to nadzieja. Ogromna większość widzów i czytelników nie zada sobie żadnego trudu sprawdzania, stereotyp utrwali się i zakorzeni.

Sprawy te należą – w moim przekonaniu – do ważnych zjawisk socjologicznych i dlatego powinny interesować nie tylko historyka lub teoretyka literatury. Dotykamy tu przecież kwestii o fundamentalnym znaczeniu dla świadomości społecznej, ponieważ w ostatecznym rozrachunku rządzą nią te obrazy, te stereotypy i wyobrażenia, które utrwaliły się w niej poprzez literaturę, kino, telewizję. A z kolei na podstawie takich błędnych wyobrażeń buduje się ogólniejsze wnioski o tym, jakie to prawa i prawidłowości rządzą biegiem historii. Między innymi ustala się i taki pogląd: antyczny świat musiał upaść, był bowiem do cna zepsuty, zgniły, zwyrodniały. A to po prostu nieprawda! Była to epoka znacznie, ale to znacznie obyczajniejsza, skromniejsza, mniej rozerotyżowana i perwersyjna od tych, które po niej nastąpiły.

Nie ma się co łudzić, istnieje napięcie pomiędzy literaturą a historiografią. W jaki sposób je złagodzić? Chyba tak tylko, że powrócimy do mądrości starożytnych i zacniemy uprawiać, pisać historię zajmująco, zrozumiale, przystępnie. To nie sprawa szukania popularności, to jest obowiązek, jaki samo życie i szacunek dla prawdy, dla jej głoszenia nakładają historykowi. Inaczej wszyscy ugrzęźniemy w zupełnie fałszywym, a nawet wręcz absurdalnym obrazie przeszłości.

Przytoczyłem na początku tych rozważań słowa wielkiego poety. Chyba więc wypada zakończyć również przypomnieniem fragmentów poezji, innego jednak pióra. Czytamy mianowicie w Traktacie moralnym Czesława Miłosza i te myśli:

Żywot grabarza jest wesoły.
Grzebie systemy, wiary, szkoły,
Ubija nad tym ziemię gładko
Piórem, naganem czy łopatką,
Pełen nadziei, że o wiosnie
Cudny w tym miejscu kwiat wyrośnie.
A wiosny nima. Zawsze grudzień.
Nie rozprasza jmy wszakże złudzeń.

A zresztą, nigdy nie zgaśnie nadzieja, że nawet gdyby miały znowu przewalić się katastrofy i kataklizmy podobne do tych, które pogrzebały rzymskie cesarstwo, przecież „za sto, a może za lat dwieście”, gdzieś tam „maleńkie centrum nauk błyśnie”. Będzie to wtedy, gdy

Ci, którzy dzisiaj dzieje tworzą,
Pod darń trawników głowę złożą
Wnuk barbarzyńców zamyślony
W słońcu tam czyta stare tomy,
Dawny mu wawrzyn czoło pali,
Myśli o tych, co zachowali
I poprzez ciemność skarb przenieśli,
O którym znów się składa pieśni.

A kim są owi nieznanani bohaterzy? Imiona ich różne w różnych wiekach, powołanie wszakże zawsze to samo. To historycy.

Magister Platon

Samo zestawienie tych dwóch wyrazów wydaje się zabawne – i łatwo wykazać, dlaczego. Przecież Platon to jeden z najświetniejszych myślicieli, jakich ludzkość wydała; to autor genialnych w formie i treści dialogów, założyciel Akademii, wychowawca Arystotelesa, a prawdę mówiąc – wszystkich późniejszych pokoleń aż po dzień dzisiejszy, rzeczywisty filar europejskiej kultury. Gdybyśmy więc chcieli dać mu tytuły, to ledwie by starczyły najwyższe z obecnie używanych. A więc: profesor zwyczajny, doktor habilitowany, członek zwyczajny Akademii Ateńskiej, doktor honoris causa takich to i takich uczelni. O ileż by to brzmiało godniej niż zwykle „magister”! Owszem, godniej, ale też jakoś śmiesznie – zgodzimy się wszyscy. I tu powód drugi, dla którego niestosowne, wręcz humorystyczne jest łączenie tego imienia – jak zresztą wszystkich imion antycznych – z jakimkolwiek tytułami naukowymi. Jest to po prostu anachronizm, starożytność bowiem – powinien wiedzieć to każdy – żadnych tego rodzaju tytułów nie znała i nie uznawała. Oczywiście, poza samym określeniem zawodu albo też podaniem instytucji, z którą jest się związanym. Wizytówka więc Platona, gdyby ją posiadał, wyglądałaby bardzo skromnie: „Platon, syn Aristona, Ateńczyk”. Tylko tyle. Nawet nazwisk Grecy nie mieli.

To zabawna strona powiedzenia „magister Platon”. Ale jest też druga, paradoksalna i nasuwająca różne refleksje. Oto filozof ten nigdy, ale to nigdy nie miałby szans, aby zostać magistrem, niezależnie od epoki, w jakiej by żył! W swojej nie, albowiem, jak się rzekło, nie znała tytułatury naukowej. W naszej zaś dlatego nie, że po prostu nie byłby w stanie, nie po- trafiłby napisać pracy odpowiadającej wymogom, jakie się stawia rozprawom „na tytuł” czy też „na stopień”. Jak powszechnie wiadomo, muszą one posługiwać się odpowiednim żargonem (oficjalnie: językiem naukowym), toczyć według ustalonych schematów, a także ciągnąć za sobą możliwie długi tren przypisów i bibliografii.

Owszem, merytorycznie Platon zawsze pisałby rzeczy genialne. Stawiałby w nich problemy zasadnicze w sposób nowatorski i prawdziwie odkrywczy, ale żaden profesor, żadna komisja kwalifikacyjna i egzaminacyjna nie miałaby ani prawa, ani odwagi stwierdzić, że prace te mogą stanowić podstawę choćby tylko magisterium. Sprawa w tym, że Platon nie potrafił myśleć i pisać szablonowo ani pod względem treści, ani też formy. Każde zagadnienie nabierało w jego ujęciu natychmiast cech dramatu, i to często osadzonego w realiach życia codziennego, a bohaterzy dramatu to nie maski, lecz ludzie z krwi i ciała. Język, którym roz- prawia się o najsubtelniejszych kwestiach, jest piękny, ale zarazem codzienny, naturalny, prosty. I mnóstwo w toku rozwijania się dyskusji scen ubocznych, dygresji, zabawnych wypad- ków, dowcipów i sprzeczek. Zdarzają się kłótnie z odźwiernym domu, który nie chce wpuścić mędrców do środka, bo już ich za dużo. Wkraczają na salę goście nie proszeni, zawiani. Udziela się z całą powagą porad, jak zaradzić uporczywej czkawce. Ktoś spada z ławki. Ko- goś się wyszydza, o innym się plotkuje. Sprawy aktualnej polityki są wciąż obecne i groźne. Wszystko rozgrywa się dokładnie tak samo, jak podczas towarzyskich spotkań w każdej epo- ce. I jednocześnie najzwyczajniej porusza się problemy, którymi żyje – po dwudziestu pięciu wiekach! – współczesna nauka. I to nie tylko filozofia. Fizyk Carl Weizsäcker powiada: „Jeśli nie rozumiem Platona, nie rozumiem fizyki kwantowej”. Wtórzuje mu laureat Nagrody Nobla i również fizyk, Werner Heisenberg. A co rzec o językoznawcach, historykach myśli politycz- nej, estetykach?

Gdyby Platon zmartwychwstał i zasiadł wśród grona najwybitniejszych uczonych doby obecnej, byłby wspaniałym i zapewne zwycięskim partnerem dyskusji. Jest coś wręcz niewiarogodnego w widzeniu problemów, a nawet rozwiązań, które postawili i zaproponowali greccy myśliciele przed tylu wiekami. I trudno nie przyznać racji Alfredowi N. Whiteheadowi, gdy mówi: „Cała historia filozofii europejskiej to tylko kilka przypisków do dzieł Platona i Arystotelesa”.

Ale z tym wszystkim, powtarzam, Platon nie zdołałby uzyskać w naszym kraju – zresztą nie tylko w naszym – nawet tytułu magistra. Oczywiście, gdyby jakimś cudem zdołał przebrnąć przez szkołę średnią (z wychowania fizycznego miałby stopień bardzo dobry); gdyby złożył egzamin wstępny na wyższą uczelnię i został przyjęty (nie mogąc wykazać się żadnymi punktami dodatkowymi, pochodzenie bowiem miał kiepskie, wręcz arystokratyczne); gdyby zaliczył wszystkie przedmioty na kolejnych latach studiów (co nie jest całkiem pewne) – po prostu nie utrzymałby na wodzy swego temperamentu pisarskiego przygotowując rozprawę. Każdy temat, nawet najbardziej abstrakcyjny i zawily, zamieniałby się pod jego piórem w opowieść, nabierałby rumieńców życia. Rzecz więc mówiłaby o najpoważniejszych kwestiach i dawałaby oryginalne odpowiedzi, ale ludzkim głosem, interesująco, dowcipnie, bardzo osobście. Czyli używając ulubionych określeń pyszałkowatych niby to uczonych, byłaby dyskusyjna w treści, a zdecydowanie nienaukowa w formie. Albowiem prawdziwa praca naukowa, tak wbito do głowy całemu społeczeństwu, jest z natury swej drętwa, pryncypialna, zawsze w tożsamości i nie dla profanów, nie dla małuczkich. Co ma formę przystępną, to w najlepszym wypadku eseistyka, popularyzacja, niemal beletrystyka. Nawet jeśli odkrywa zupełnie nowe horyzonty myślowe...

Pada często pytanie, dlaczego to czasy nowożytne wydały wprawdzie wielu genialnych uczonych, nikogo jednak, kto by mógł równać się z Platonem pod względem uroku formy pisarskiej. Odpowiedź jest prosta: Platonowie rodzą się oczywiście w każdej epoce, nie każda jednak sprzyja rozwojowi pełni talentów, nie każda pozwala rozwinąć skrzydła i wzbić się naprawdę wysoko. Starożytność nie знаła tytułów, nie wiedziała nic o drabinie kariery naukowej, o pragmatyce służbowej, o schemacie rozpraw, o recenzjach, komisjach kwalifikacyjnych, superrecenzjach. Liczyło się samo odkrycie, działała indywidualność, sposób twórczości, oddźwięk społeczny.

A obecnie? Liczba pozycji tzw. dorobku i prace „na stopień”. Wbrew pozorom właśnie takie najłatwiej jest płodzić, zwłaszcza w naukach humanistycznych, które mają już od dawna gotowe bibliografie wszelkich typów. Tak więc każda osoba umiarkowanie inteligentna i względnie pracowita, nade wszystko zaś grzeczna i roztropna, może w spokojnym rytmie dojść do wszystkich tytułów. A w pewnych wypadkach nie jest oczywiste, czy ów wysoko utytułowany ma naprawdę coś własnego do powiedzenia i czy potrafiłby napisać znośną polszczyzną choćby jedną rzecz „do czytania”, to jest społecznie i bezpośrednio użyteczną. W ostatecznym zaś rozrachunku jest to jedyne, obiektywne, surowe i sprawiedliwe kryterium kwalifikacji każdego humanisty: stanąć bez tytułów, bez togi, bez podpórek twarzą w twarz wobec możliwie szerokich warstw swego narodu, przynajmniej tych średnio wykształconych, i rzec; „To mam do przekazania, tak myśli swoje ujmuję, o tym chciałbym rozmawiać”.

Powie ktoś, iż wszystko to brzmi ładnie, ale jest anachroniczne i nierealne. Przecież coś niecoś od starożytności się zmieniło! Podniósł się poziom wiedzy, doszło do daleko idącej specjalizacji różnych gałęzi badawczych, problematyka i metody poszczególnych dyscyplin stały się bardzo zawile, trudno więc o wszystkich zagadnieniach rozprawić z ludźmi nie posiadającymi odpowiedniego przygotowania. Jeśli zaś chodzi o tytuły, to system ich jest uzasadniony historycznie i praktycznie. Kształtował się stopniowo w ciągu wieków właśnie wskutek rozwoju nauk oraz instytucji dydaktycznych i badawczych. Musi być jakaś gradacja pracowników, musiał też powstać system zachęt, nagród, awansu. Zresztą, tytuły to głównie

wyraz społecznego szacunku i uznania, jak bowiem powszechnie wiadomo – materialne korzyści związane z ich uzyskiwaniem są raczej minimalne, niekiedy wręcz symboliczne.

Wszystko to prawda, święta prawda. Aby więc uniknąć nieporozumień, wyjaśniam:

Mówimy dziś „nauka” – i wsadzamy do jednego worka matematykę i historię, astronomię i socjologię, biochemię i prawoznawstwo, filologię i fizykę. Tymczasem każda z tych nauk ma nie tylko własny obszar badań i swoje metody, ale również odmienne zadania w służbie społecznej. Jeśli chodzi o humanistykę – bo tę głównie mam na oku – jej racją bytu jest bezpośrednia, ciągła rozmowa ze społeczeństwem, pomaganie mu w rozpoznawaniu i miłowaniu tego, co stanowi o jego osobowości, a więc języka, historii, wszelkich twórców kultury swojej i obcej. Toteż jeśli uczony humanista zachowuje się tak, jakby prowadzenie rozmowy z pro-fanami było czymś nie licującym z jego godnością, osądza sam siebie, sam sobie wydaje świadectwo nieużyteczności lub też braku odpowiedniego przygotowania. Profesor humanista, który nie publikuje książek dostępnym szerszemu kręgowi czytelników, jest kimś na wzór profesora architekta, który by nie potrafił zaprojektować domu mieszkalnego; profesora medycyny – chirurga, który by nie wiedział, jak się operuje; profesora nauk technicznych, który by nie dokonał w swej dziedzinie żadnego ulepszenia. Najszumniejsze tytuły nic tu nie pomogą: albo się zna swój zawód, albo też nie. Zawodem humanisty jest po prostu humanistyczne, czyli ludzkie komunikowanie się ze społecznością.

Nie, nie jestem tak nierozsądny, aby twierdzić, że każda praca humanistyczna musi być zrozumiała dla każdego. Są różne kręgi zainteresowań, różne stopnie przygotowania, rozmaite poziomy inteligencji, a więc muszą też istnieć odpowiednie sposoby wypowiedzi. Chodzi mi tylko o właściwe proporcje i o hierarchię wartości. Książka, w której autor omawia te lub inne kwestie możliwie przystępnie, już z tej racji jest społecznie ważniejsza i zasługuje na wyższą ocenę jako trudniejsza do napisania od tej, która porusza problemy szczegółowe językiem zazwyczaj niezbyt bogatym i sprawnym, a za to w ciężkim stroju aparatu naukowego. Mówiąc inaczej: powinniśmy i musimy pisać rozprawy pełne erudycji, drobiazgowych roztrząsań i dociekań, ale po to tylko, aby mieć rzetelny materiał do książek prawdziwie humanistycznych, a więc cechujących się oddechem, szerokością horyzontów, literackim polem – a przynajmniej takimi ambicjami. Powie ktoś, że wymaga to pewnego talentu. Oczywiście. Uprawianie każdej dyscypliny tego wymaga. Specyficzne uzdolnienia potrzebne są nie tylko matematykowi, artyście, lekarzowi. Jeśli już musimy nadawać tytuły naukowe, to niechże się je nadaje za książki ambitne i czytelne, a nie za wypracowania szkolne – często za ledwie poprawne.

W praktyce zaś dzieje się odwrotnie. To, co miało być środkiem do celu, stało się celem ostatecznym, jedynie uznawanym i poważanym. I nie należy wtrącać tu ze złośliwym uśmiechem, że mówię pro domo sua w obronie swojej sprawy. Pewne tytuły posiadam, rozpraw i książek napisałem sporo, żadnych kompleksów mieć nie muszę i nie mam. Owszem, powinienem jeszcze myśleć o dalszych szczeblach. Jest oczywiste, że wypowiedziami takimi jak ta wcale nie ułatwię sobie ich uzyskania. Ale przed kilku laty jeden z najwybitniejszych historyków polskich, znawca wieku XIX odszedł na emeryturę jako profesor nadzwyczajny. Zawiniła w tym wypadku, jak przypuszczam, inercja jednych osób, zawiść innych, Odtąd „uzwyczajnienie” straciło dużo blasku w oczach tych, co prawdziwie poważają nie karierę, lecz naukę.

Było kiedyś tak, że zostawało się profesorem mając w dorobku jedną książkę uczoną i jeden tomik poezji. To casus sławnego mediewisty, Romana Grodeckiego. Później twórczość humanistyczna zaczęła stanowić przeszkodę. Oto dwa przykłady.

Nazwisko Aleksandra Brücknera znane jest każdemu wykształconemu Polakowi. Mniej natomiast znany jest fakt, że nie dano mu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, choć wniosek taki został postawiony. Rada Wydziału, wówczas Filozoficznego, utraciła projekt bezpośrednio z powodu animozji personalnych w światku językoznawczym,

pośrednio zaś z tej przyczyny, że Bruckner pisał językiem bardzo przystępnym i jędrnym, przypisami zaś i bibliografią wyraźnie gardził. Łatwo więc było argumentować, że prace te są

„dyskusyjne w treści, nienaukowe w formie”. Tym bardziej że autor ten miał zwyczaj po- drwiwać sam z siebie, pozwalając sobie nawet na powiedzenia tego rodzaju: „co w tej a tej sprawie poprzednio bajałem, sensu nie ma; dziś tak to widzę...” Niewybaczalne, co za brak dostojności, nawet zwykłej powagi! Owszem, uniwersytet błąd swój później zrozumiał. Urządził z pompą uczoną sesję ku czci swego niedoszłego doktora – w 30 lat po jego śmierci. Przykład drugi jest innego typu. Władysław Tatarkiewicz uzyskał wszystkie dostępne ty- tuły naukowe, pozornie więc nie ma żadnego problemu, skoro należycie oceniono jego osią- gnięcia i zasługi. Warto jednak przeczytać uważnie jego Zapiski do autobiografii! Ileż tam łagodnych usprawiedliwień, dlaczego pisał właśnie tak jak pisał – jasno i przystępnie! Ileż ten człowiek musiał wycierpieć, ileż nasłuchać się dokuczliwych zarzutów: to. tylko popularyza- cja i eseistyka, prawdziwa filozofia powinna być z natury swej zrozumiała tylko dla filozo- fów. Odpowiadając u samego schyłku życia wszystkim przeciwnikom swego sposobu upra-

wiania nauki, Tatarkiewicz stwierdza wprost:

„Nie lubię, gdy mnie kto nudzi, staram się też innych nie nudzić. W szczególności tych, którzy czytają me książki. I sądząc z ich reakcji, czasem mi się to udaje. Za mój obowiązek pisarza mam przede wszystkim: wyłożyć rzecz prosto i jasno. Uważam za ciężki zarzut, gdy mi ktoś powie, że mnie nie zrozumiał. Bo raz jeszcze to powtórzę: aby twierdzenie czy poję- cie przeszło z umysłu piszącego (czy mówiącego) do umysłu czytającego (czy słuchającego), musi być dokonana pewna praca, a sądzę, że jest lepiej, gdy ją wykona piszący (czy mówią- cy). W myśl tego sam postępowałem. W młodych latach męczyłem się nieraz nad cudzymi ciemnymi książkami; teraz, gdy nie rozumiem, raczej rezygnuję z lektury. Może czasem na tym tracę, ale częściej zyskuję. Jest na szczęście dość jasnych książek do czytania”.

I wreszcie powołuje się na autorytet Arystotelesa, który pisał w swej Retoryce: „Jest ogólną zasadą dla pisanego utworu, że powinien być łatwy do czytania i przeto łatwy do zrozumi- enia”. A od siebie dodaje: „Niektórzy mają naturalną skłonność do jasności i łatwości, ale na ogół trzeba się ich po prostu uczyć”.

Otóż to. Trud pisanego przystępnego tekstu jest ogromny. Wymaga stałego ćwiczenia, prób, poprawiania tekstu dziesiątki razy, szukania wciąż nowych sposobów wyrażania swych myśli. Jest rzeczą oczywistą, że młodemu pracownikowi nauki zupełnie się nie opłaca podejmowa- nie takiego wysiłku. Namozoli się, straci wiele czasu, uzyska efekt w postaci tekstu klarow- nego – i usłyszy od swego zwierzchnika lub od kolegów słowa nagany: „Myśl może słuszna, ale ujęcie nienaukowe, eseistyczne!” Lepiej więc spłodzić artykuł, którego wprowadzie nikt nigdy nie przeczyta, ale który ze względu na samą swą postać liczy się jako „dorobek”. Nie dla orłów nasz system promowania, nie dla orłów...

Powróćmy wszakże do sprawy tytułów. Jako się rzekło, ich powstanie jest zrozumiałe, ist- nienie zaś w pewnych granicach usprawiedliwione i dopuszczalne. Z drugiej jednak strony należy też pamiętać o niedobrych skutkach tej instytucji. Po pierwsze, sam sposób ich nada- nia mimo – a raczej w efekcie – niesłuchanego biurokratyzowania prowadzi niekiedy do sytuacji paradoksalnych i w odczuciu wielu zainteresowanych osób po prostu krzywdzących. I znowu powie ktoś, że tak bywa w przeróżnych dziedzinach życia społecznego. Tak, ale w tym wypadku tytuł identyfikuje się ze stopniem uczoneści, czyli pewien termin z czymś bar- dzo konkretnym, znaczącym. A tymczasem różnica jest istotna: tytuł przecież to coś, co moż- na w każdej chwili dać i odebrać formalnie, uczoneść natomiast jest faktem. Uczonym nikt nikogo mianować nie może. Po drugie – to mogę stwierdzić z całą odpowiedzialnością jako historyk – pojawianie się i rozpanoszenie tytułomanii jest cechą epok, w których struktury społeczne kostnieją. Jak groźne to zjawisko, pouczają dzieje schyłku cesarstwa rzymskiego lub Bizancjum.

Tyle wystarczy w sprawie magisterium dla Platona. Oczywiście, dałoby się jeszcze wiele rzec o rozmaitych problemach naszego życia naukowego. Na przykład o wyjazdach zagranicznych, czyli o tak zwanej turystyce naukowej. I tytuł takiej rozprawki byłby piękny: „Ci wspaniali uczeni w swych zagranicznych wояażach”. A wszystko to na prostej zasadzie: ja ciebie zaproszę – ty mnie – ja ciebie – ty mnie... I tak wciąż, bez końca. Naukowcy nie są tak pozbawieni sprytu życiowego, jak to się często przypuszcza; oczywiście nie należy mylić ich z uczonymi. Ale to wszystko kiedy indziej, przy innej sposobności. Obecnie pora na wnioski praktyczne.

Co proponuję? Otóż nie stawiam żadnych wniosków konkretnych. Niech sobie tytuły istnieją. Ważne jest tylko, aby społeczeństwo wiedziało i rozumiało, że w nauce, tej wielkiej, prawdziwej, kulturowo twórczej, liczy się wyłącznie nazwisko, a nie literki przed nim.

Tak, nic się nie zmieni, nic nie powinno się zmienić. Chyba to tylko, że każdy, kto głosi takie poglądy, może zyska kilku przyjaciół wśród osób niezbyt utytułowanych i niewiele znaczących, natomiast na pewno przysporzy sobie zastęp wrogów bardzo utytułowanych i ogromnie wpływowych. Choć te – w tym wypadku na szczęście – mało czytują, zbyt bowiem wiele energii i czasu muszą poświęcać umacnianiu swej wielkości, czyli zdobywaniu nowych tytułów.

Platon zaś – skoro ani w swojej, ani też w naszej epoce żadnego tytułu zdobyć nie mógł i nie może – niech pozostanie w naszej pamięci po dawnemu po prostu Platonem.

Platon i Heiseuberg

Wspomniałem poprzednio o fakcie zdumiewającym: oto jeden z najwybitniejszych fizyków naszej doby, Carl Weizsäcker, w swej książce *Jedność przyrody* traktuje Platona jako równorzędnego partnera w dyskusji nad podstawowymi problemami dzisiejszego przyrodoznawstwa. Stwierdza wprost, że nie jest w stanie zrozumieć teorii kwantów, jeśli nie rozumie tego filozofa. Zgadza się też ze zdaniem sławnego matematyka i fizyka Whiteheada, że cała filozofia Zachodu stanowi w gruncie rzeczy tylko garść przypisów do Platona, czwarta zaś część książki to rozważania wokół problemów, jakie twórca Akademii postawił w swym dialogu *Parmenides*. Odnosi się nawet wrażenie, że Platon jest czymś więcej niż tylko rozmówcą w naukowej dyskusji: wydaje się wręcz przewodnikiem, który wskazuje nowe drogi i podsuwa sposoby rozwiązywania najtrudniejszych zagadnień.

Mógłby jednak ktoś utrzymywać, że głos Weizsäckera jest odosobniony. Czy nie są to piękne, lecz przesadne słowa, które padły z ust fizyka wprawdzie świetnego w swym fachu, ale zbyt rozkochanego zarazem w antycznej kulturze? Czy nie przypisuje on Platonowi takich myśli, których tamten w rzeczywistości nie miał i mieć nie mógł? Przecież może być tak, że Weizsäcker interpretuje poetyckie wypowiedzi i śmiało przenosi starożytnego filozofa w sposób bardzo dowolny, bo w oparciu o obecną wiedzę fizyczną i matematyczną, doszukując się w tamtych pojęciach znaczeń, których w istocie tam nie ma. Język Platona jest z punktu widzenia dzisiejszej terminologii naukowej tak swobodny, wyobraźnia zaś twórcy tak bogata i uskrzydłona, że każdy inteligentny czytelnik potrafi przedstawić pewne partie zgodnie z własnymi oczekiwaniami i z góry założonymi tezami.

Byłyby to zarzuty i wywody poniekąd słuszne, a w każdym razie godne uwagi, gdyby przykład Weizsäckera prezentował się jako coś w naszej dobie istotnie wyjątkowego. Ale właśnie tak nie jest! Poza wielu innymi możemy też przytoczyć głos niemal identyczny treściowo – również poprzednio wspomniany – a pochodzący od fizyka jeszcze bardziej znanego. Mowa o Wernerze Heisenbergu, zmarłym przed kilku laty. Był współtwórcą mechaniki kwantowej, sformułował zasadę nieoznaczoności, a w roku 1932 otrzymał Nagrodę Nobla w zakresie fizyki. Każdy podręcznik tej nauki wymienia go zaszczytnie. Jego myśli i poglądy na tematy szersze, a wypowiedziane w formie przystępnej, przypomniał nam zbiór esejów opublikowany pod tytułem *Ponad granicami* w przekładzie polskim Krzysztofa Wolickiego. Oczywiście, jak zwykle u nas, książka ze względu na swój niski nakład była niedostępna praktycznie już w chwili ukazania się. Tym bardziej chyba konieczne jest przypomnienie pewnych jej myśli i aspektów – w danym wypadku tych, które odnoszą się do problemów świata antycznego.

Imię Platona przewija się na kartach książki często, przede wszystkim jednak spotykamy je w rozdziale *Prawo natury i struktura materii*. Tekst ten to przemówienie, jakie Heisenberg wygłosił w 1964 roku na Pnyksie ateńskim. Stojąc tam mógł on wskazywać ręką swym słuchaczom:

Oto tam niżej znajduje się już spowita mrokiem agora, na której Sokrates rozprawiał o trudnościach związanych z naszymi możliwościami wyrażania myśli. A tam znowu Platon nauczał, że pod powierzchnią zjawisk kryje się ich podstawowa struktura – idea.

Przedmiot przemówienia został jasno sformułowany w jego tytule. Heisenberg jednak traktuje te zagadnienia historycznie, uważając że porównanie filozoficznych dyskusji – jakie toczyli w danej kwestii myśliciele starożytni – z osiągnięciami naszej fizyki atomu okaże się interesujące. I zaraz na początku, uprzedzając tok i rezultaty swych rozważań, Heisenberg stwierdza, że jego zdaniem Platon był znacznie bliższy prawdy, jeśli chodzi o problem struktury materii, niż Leukipp czy Demokryt, jakkolwiek ich pomysł atomu cieszył się tak zawrotnym powodzeniem w nowożytnym przyrodoznawstwie. W czym rzecz? Otóż Platon pojmował atomy lub ich odpowiedniki właściwie nie jako materię, lecz rodzaj brył geometrycznych, zbudowanych zgodnie z twierdzeniami matematyków. Krok to, oświadcza Heisenberg, ogromnej doniosłości, stanowi bowiem początek przyrodoznawstwa matematycznego, a więc także jego późniejszych zastosowań rewolucjonizujących nasz świat. Dalej zaś wywodzi:

„Sądzę, że w tym punkcie fizyka współczesna zawyrokowała definitywnie na korzyść Platona. Najmniejsze jednostki materii nie są już w rzeczywistości obiektami fizykalnymi w zwykłym sensie tego słowa: są to formy, struktury lub idee w platońskim rozumieniu, o których bez dwuznaczności można mówić tylko językiem matematyki”².

Symetryczne bryły, według Platona najmniejsze i podstawowe cegiełki materii, to właśnie owe fundamentalne symetrie matematyczne, którymi operuje współczesna fizyka w swych twierdzeniach i wzorach.

I oto jeszcze jedna sprawa kapitalna, na którą zwraca uwagę autor: Platon w pewnej płaszczyźnie swych wywodów posługuje się językiem niezwykle precyzyjnym, ukazując zarazem granice jego możliwości; jest to swoisty odpowiednik obecnego języka matematyki. Lecz dysponuje filozof ten również innym językiem, jeśli pragnie wywołać u czytelnika czy też ucznia pewne obrazy i dać mu odmienne rozumienie rzeczywistości. Jest to język poetów czy też poetycki. Czy owe obrazy mają związek z podświadomymi formami myślenia, czyli archetypami zbiorowości? Jeśli tak, rozważa Heisenberg, język poetów mógłby się okazać ważniejszy w swoistym zakresie nawet od języka matematyków.

Każdy z czytelników Platona wie, co należy rozumieć pod określeniem „język poetów”. Chodzi tu oczywiście o metafory, opisy, porównania, wręcz całe opowieści i mity, które sprawiają największą rozkosz przy pierwszej lekturze, ale na wyższym etapie studium filozofa mogą też okazać się tą warstwą dzieła, w której ukryta została mądrość najgłębsza. Zgodnie ze słowami kapłanki Diotimy, która – jak każda nam wierzyć Uczta Platona – tak przedstawiała Sokratesowi drogę prawdziwej mądrości, wznoszącej się w górę jakby stopniami:

Od piękna jednego ciała do piękna ciał wszystkich, od pięknych ciał do pięknych czynów, od pięknych czynów do piękna nauki, od piękna nauki do piękna samego w sobie. I dopiero wtedy warto żyć człowiekowi, gdy patrzy wprost w piękno najwyższe – czyste i nieskazitelne, nie splamione niczym obcym. Czy sądzisz, że ktoś, komu dane byłoby je ujrzeć, mógłby jeszcze żyć marnie, bez celu, nie wiadomo po co?

Akt oglądu takiego piękna nosi w języku greckim miano *theoria*. I z kolei jest czymś bardzo pięknym, że obecnie właśnie tak nazywa się wszelkie próby naukowego wyjaśniania zjawisk otaczającego nas świata oraz naszego bytu, zarówno jednostkowego, jak i społecznego. W naszym bowiem kręgu kulturowym każda sprawa i wręcz każde słowo sprzęgają się w nierozzerwalny łańcuch, którego ogniwa prowadzą jedno za drugim ku starożytności, ku Grecji. Od teorii względności i kwantów do tej teorii, o której mówiła Diotima. Od Heisenberga do Platona. Który ani w starożytności, ani obecnie nie mógłby być magistrem, ale zasłużył na słowa najwyższego uznania z ust laureata Nagrody Nobla. Który z kolei ma odwagę wypowiadać poglądy dyskusyjne w treści, a zgoła nienaukowe w formie... I tak wszystko pięknie obraca się w koło.

² Przekład K. Wolickiego (s.209).

Arystoteles po polsku

Bez fanfar i celebrowania, bez reklamy i nagród, za to spokojnie i systematycznie dokonuje się stopniowo rzecz dla naszej kultury merytorycznie naprawdę doniosła, a zarazem mająca w sobie coś wręcz symbolicznego. Oto dzięki konsekwentnemu wysiłkowi kilkunastu osób, a zwłaszcza Redakcji Biblioteki Klasyków Filozofii oraz grona ofiarnych tłumaczy, otrzymujemy mniej więcej co roku któreś z dzieł Arystotelesa w przekładzie polskim. Tak powstała w ramach Biblioteki Klasyków Filozofii odrębna, zwarta całość: Corpus Aristotelicum. Pod względem liczby opublikowanych pozycji znacznie przekroczono już przysłowiowy półmetek – tym bardziej że niektóre z tomów zawierają po kilka traktatów. Pozostało do wydania jeszcze sporo. W chwili, gdy piszę te słowa, to jest w połowie roku 1983, nie ukazała się arcyważna *Metafizyka*³, ale można już dziś rzecz z prawie całkowitą pewnością, że zbiór kompletny będziemy mieli stosunkowo niedługo. Rzeczywiście kompletny, Corpus bowiem obejmie nawet fragmenty oraz rzeczy podejrzanej autentyczności. Przekłady są z reguły bardzo staranne, filologicznie wierne, opatrzone wstępami, przypisami, bibliografią, składowymi. Te ostatnie – to należy podkreślić – podają również greckie określenia pojęć filozoficznych, co niezmiernie ułatwia pracę nad Arystotelesem osobom nie znającym języka oryginalnego. A tych, niestety, będzie raczej przybywało.

Tak więc po raz pierwszy w dziejach naszej kultury otrzymujemy w szacie polskiej komplet ksiąg jednego z najwybitniejszych myślicieli nie tylko świata antycznego. Zważmy również, że przygniatająca większość ich nigdy dotychczas na język nasz przekładana nie była. Dopiero więc obecnie odrabiamy prawdziwie wiekowe zaległości i dołączamy – do tych narodów, które już od dawna mają „swego” Arystotelesa. Może nawet w niektórych wypadkach jesteśmy w lepszej sytuacji, polskie bowiem przekłady oparte są z reguły na najnowszych wydaniach krytycznych i uwzględniają w pełni dorobek oraz wyniki badań dosłownie ostatnich doby.

Oczywiście, Arystoteles był u nas znany, czytany i komentowany już od wieków. Jednakże w nauczaniu uniwersyteckim, czyli w Akademii Krakowskiej, kontentowano się przeważnie łacińskimi przekładami – i objaśniano rzecz prosta po łacinie. Owszem, znajdowały się chlubne wyjątki. Tutaj wymienić należy bardzo zaszczytnie Sebastiana Petrycego, który wydał w początkach wieku XVII po polsku Arystotelesa *Etykę*, *Ekonomię*, *Politykę*. Były to wszakże, prócz licznych i zrozumiałych wtedy niedociągnięć, pomyłek, błędów, raczej przeróbki i parafrazy niż wierne tłumaczenia. I nie ma się co dziwić, że niewielu uczonym chciało się podjąć trudu przyswajania polszczyźnie właśnie tego filozofa. Jego dzieła bowiem są nie tylko trudne treściowo, ale też mało powabne formalnie. Mamy przecież do czynienia nie z pracami przeznaczonymi przez samego autora do publikacji, lecz chyba tylko ze skryptami jego wykładów – tak jak on je miał przed sobą lub jak spisywali je słuchacze. Zdarzają się więc liczne chropowatości stylistyczne, powtórzenia, luki w rozumowaniu, przeskoki myślowe, wszelkiego rodzaju pomyłki, krótko mówiąc to wszystko, co obarcza każdy tekst mówiony, zanotowany, ale nie oszlifowany, żywe bowiem słowo ma uzupełnić to, co tylko się szkicuje.

³ Ukazała się pod koniec 1983r.

Projekt, aby dać polskiemu społeczeństwu polskiego Arystotelesa, zrodził się wśród członków Akademii Umiejętności w okresie międzywojennym. I już wtedy ukazał się pierwszy tomik, zapowiedź częściowa realizacja wielkiego przedsięwzięcia. Było nim tłumaczenie Ustroju politycznego Aten pióra profesora Ludwika Piotrowicza. Tenże wybitny historyk przygotował i opublikował już w okresie powojennym *Politykę*. Stało się więc tak, że zapoczątkował polszczenie dzieł filozofa właśnie nie filozof, lecz badacz przeszłości – co prawda starożytnej, dobry zarazem filolog. Oba te przekłady wyszły później w reedycji w ramach Biblioteki Klasyków Filozofii.

Nie piszę tu rozprawy o dziejach recepcji Arystotelesa w Polsce, wymieniam tylko pewne znamienne, interesujące fakty. Wiem doskonale – to pod adresem tych, którzy pragnęliby dorzucić jeszcze inne nazwiska – jakie zasługi położyli D. Gromska, W. Wąsik, Wł. Madyda, M. Plezia, ks. profesor Krąpiec, by tylko tych wskazać. Jeśli chodzi o przekłady w ramach Biblioteki Klasyków Filozofii, należy z ogromnym szacunkiem i podziwem podkreślić wkład żmudnej, a tak owocnej pracy Kazimierza Leśniewskiego, Leopolda Regnera, Pawła Siwka. Gdyby nie oni, Arystoteles zapewne nie przemówiłby po polsku ani do naszego pokolenia, ani do tych, co przyjdą po nas. Trud tłumacza jest zawsze szary, niewdzięczny, nieopłacalny, prawie niewolniczy, a przecież wymagający ogromnej wiedzy, talentu, twórczego myślenia, nade wszystko zaś pokory.

Zupełnie odrębna kwestia to polskie badania nad filozofią Stagiryty. Tej problematyce trzeba by poświęcić odrębną, i to dużą książkę, gdyby się zamierzało omówić choćby bardzo zwięźle postacie i prace wszystkich uczonych z tego zakresu. Wśród nich jako gwiazda pierwszej wielkości jaśnieje nazwisko profesora Jana Łukasiewicza. „Uznano go później – co wydaje się słuszne – za najwyższy autorytet w dziedzinie logiki Arystotelesa. Był chyba jedynym uczonym, który połączył dwie cechy do tego niezbędne: doskonałą znajomość języka i tekstu *Organonu* oraz jego łacińskich i greckich komentarzy z równie doskonałą znajomością logiki w jej najbardziej zaawansowanej postaci, czyli logiki formalnej, bez której nie możemy w pełnym świetle ujrzeć sylogistyki Arystotelesa. Pod koniec swego pracowitego życia Łukasiewicz podsumował wyniki swych badań nad sylogistyką Arystotelesa w dziele, które prześcignęło wszystkie poprzednie prace na ten temat”.

Są to słowa Tadeusza Kotarbińskiego, jakże wielkiego autorytetu w zakresie i logiki, i arystotelizmu. Cóż mógłbym do nich dodać, skorom ani filozof, ani logik? Chyba to tylko, że do dziś pamiętam wrażenie, jakie sprawiła na mnie przed wielu, wielu laty – byłem wtedy początkującym studentem – niewielka książka Łukasiewicza *O zasadzie sprzeczności u Arystotelesa*, chyba jedna z pierwszych jego prac, wydana w Krakowie w 1910 roku. Zaczyna się od słów: „W dziejach filozofii istnieją dwie chwile, w których spór o zasadę sprzeczności podniecał umysły; z jedną łączy się nazwisko Arystotelesa, z drugą – Hegla. Arystoteles sformułował zasadę sprzeczności jako najwyższe prawo myślenia i bytu. W zaciętej polemice, w której drga niekiedy gniew i pogarda, ścigał wszystkich, co prawa tego nie chcieli uznawać”. Przeczytałem książkę z zapartym tchem, była dla mnie olśnieniem i odkryciem. A więc tak zrozumiałe, tak interesująco można przedstawiać temat pozornie niesłychanie zawiły, formalny, abstrakcyjny! Czy wobec tego właśnie taki sposób pisarstwa ścisłego i precyzyjnego, a zarazem przystępnego i wręcz łatwego nie powinien obowiązywać również w dziedzinie badań historycznych? I tak to Jan Łukasiewicz, arystotelik, był jednym z tych, którzy pośrednio pchnęli mnie na złą drogę. Idę nią do dziś – i nie żałuję, mimo wszystko.

W tym samym roku, kiedy opublikowano rzecz Jana Łukasiewicza w Krakowie, to jest w 1910, młody student polski ogłosił w Marburgu swoją rozprawę, również poświęconą pewnym aspektom filozofii Arystotelesa. Nazywał się – Władysław Tatarkiewicz. O sprawie tej tak pisze: „Profesor zaproponował mi Arystotelesa jako temat rozprawy doktorskiej. Kupiłem sobie pięć wielkich tomów jego dzieł w starym wydaniu Akademii Pruskiej, stopniowo przypomniałem sobie wyuczoną w gimnazjum grekę. Po roku rozprawa była gotowa”. Tak więc i

jego musimy zaliczyć do grona naszych arystotelików. I to nie tylko ze względu na temat dysertacji. W moim przekonaniu ów rok spędzony nad pięciu tomami dzieł Stagiryty wywarł niezatarte piętno na sposobie myślenia i pisania oraz samego przedmiotu badań Władysława Tatarkiewicza. Do tych kwestii powrócę jeszcze w innym miejscu.

A mniej więcej w tymże czasie, to jest w latach przed I wojną światową, wyjeżdżał ze Lwowa do Warszawy młody doktor filozofii i filologii klasycznej – Tadeusz Kotarbiński. „Na odjeździe z Lwowa dostałem od kolegów bezcenny upominek w postaci pięciotomowego wydania pism Arystotelesa w opracowaniu Bonitza i Bekkera. Posiadanie tego dzieła ułatwiło mi później w wielkiej mierze studia nad Arystotelesem”.

Chodzi o to samo wydanie, które kupił sobie w tymże czasie Władysław Tatarkiewicz. I to samo, na którym musiał opierać się Jan Łukasiewicz. Trudno mi odsunąć myśl, że jest w tej zbieżności wydarzeń materialnych coś symbolicznego. To zupełnie tak, jakby genialny filozof Hellady ofiarowywał trzem młodym ludziom królewski dar z za grobu wiedząc, że wyda on piękny plon w kraju Hyperborejczyków, który już niedługo miał odzyskać wolność.

Władysław Tatarkiewicz i świat starożytny

Po raz pierwszy zetknąłem się osobiście z profesorem Tatarkiewiczem w lektorium Katedry Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dokładnie w tej sali, którą obecnie zajmuje Zakład Historii Starożytnej, mój macierzysty, w domu przy ulicy Świerczewskiego 3 na I piętrze. Jest to piękna, obszerna sala, jasna, o dużych oknach; przy ścianach i w szafach wpuszczonych w mury stały wtedy, jak stoją i dziś, półki z tekstami autorów antycznych. Profesor siedział przy stoliku najbliższym okna i sprawdzał właśnie jakieś teksty, omawiając je ze znakomitym hellenistą, profesorem Władysławem Madydą. I ten już nie żyje, choć był znacznie od Tatarkiewicza młodszy, zmarł przedwcześnie. Profesor filozof cenił wysoko owe dyskusje ze swym kolegą filologiem, czemu dał wyraz w słowach wstępu do I tomu Historii estetyki: „Szczególnie wiele zawdzięczam przyjacielskiej współpracy Władysława Madydy; bez jego pomocy opracowanie tekstów starożytnych nie byłoby możliwe, przez niego zostały sprawdzone filologicznie źródła greckie i łacińskie, a przekłady z nich są w większości wspólną robotą jego i autora”.

Były to więc lata pięćdziesiąte, kiedy przygotowywano ów pierwszy tom Historii estetyki. Profesor, jak wiadomo, mieszkał wtedy, to jest od schyłku wojny, przez lat piętnaście w Krakowie; a pobyt ten zawsze mile wspominał, zarówno on sam, jak i jego żona.

Tak więc profesor Tatarkiewicz, który był dla mnie do tego momentu postacią jakby abstrakcyjną i niemal legendarną, po prostu „Tatarkiewiczem”, z którego Historii filozofii uczyłem się, jak wszyscy wtedy studenci, do obowiązkowego egzaminu, właśnie tam i wtedy objawił mi się po raz pierwszy jako żywy człowiek – ale dosłownie na tle starożytności, bo otoczony księgami greckimi i rzymskimi. I kiedy obecnie przywołuję na pamięć tamtą scenę, skłonny byłbym przypuszczać, że ma ona charakter symboliczny. Albowiem związki Profesora ze światem i kulturą antyku były szczególnego rodzaju, głębokie i wielorakie, a uważam, że zbyt słabo się je podkreśla omawiając jego osobę i twórczość – podczas gdy bardzo mocno, i słusznie zresztą, uwydatnia się jego zainteresowania i osiągnięcia w zakresie historii sztuki.

Traktując sprawę czysto formalnie można by twierdzić, że w opublikowanym dorobku Profesora tematyka starożytna obejmuje prawie trzecią część całości. Trzeba bowiem uwzględnić i rozprawę doktorską o Arystotelesie – pierwszą rzecz, jaką opublikował osobno – i I tom Historii filozofii, i I tom Historii estetyki, a ponadto różnego rodzaju wzmianki, uwagi, przyczynki rozproszone po wszystkich pracach, niezależnie od ich tematyki tytułowej. Ale chodzi przecież nie o liczenie stron, a nawet nie o same problemy badawcze, lecz o coś może bardziej istotnego, choć nie tak wymiernego. W moim odczuciu i rozumieniu Tatarkiewicz kontynuował bardzo naturalnie pewien antyczny sposób widzenia i przedstawiania przedmiotu swych badań, sposób najbliższy metodzie czy też nawet technice wykładu Arystotelesesa. Co ma swoje konkretne uzasadnienie. Wskazuje to sam Profesor w swych Zapiskach do autobiografii, wydanych ze wspomnieniami żony we wspólnym tomiku Wspomnienia (Warszawa 1979).

Otóż czytamy tam na stronie 125, że po latach berlińskich znalazł się jako student w początkach wieku XX w Marburgu – i zajął się filozofią, albowiem tam nie było wyboru, jego

siłą była tylko filozofia, i to szczególna filozofia szkoły marburskiej. Nauczali Herman Cohen oraz Paul Natorp. Wykład tego ostatniego, „monotonny, źle wygłaszany, nudził mnie; wybitnego uczonego wolałem czytać niż słuchać”. Co czytać? Nie zblądzimy przyjmując, że chodziło o sławne dzieło Natorpa *Platos Ideelehre*, Platona nauka o ideach, dopiero co wydane (1903 r.). I zgodnie z tym Tatarkiewicz, jak sam powiada, przez pierwszy rok oddawał się lekturze dialogów założyciela Akademii. Wprawdzie na drugim roku przyszedł Kant, lecz na trzecim królował już tylko Arystoteles, jako że Cohen zaproponował młodemu studentowi właśnie tego filozofa jako temat rozprawy doktorskiej. O tym, jak pracował, tak pisał później we wstępie do polskiego przekładu tejże rozprawy:

„Teraz nabyłem dzieła wszystkie Arystotelesa w wydaniu Akademii Pruskiej, wielkie 5 tomów, i właściwie do lektury tych oryginalnych tekstów Stagiryty ograniczyłem się. W marburskim stylu miałem do czynienia tylko bezpośrednio z moim filozofem, a nie z nową o nim literaturą. Do biblioteki nie chodziłem, nie było potrzeby. Przydała mi się greka, o której przedtem myślałem, że się jej niepotrzebnie uczyłem w warszawskim gimnazjum filologicznym”. I dalej z całą szczerością: „Całej, wówczas już ogromnej literatury o Stagiryście, filozoficznej i filologicznej, nie znałem i – nie odczuwałem jej potrzeby. Później podziwiałem swą odwagę, dziś natomiast myślę, że pod naporem ogromu cudzych myśli zginęłaby moja własna i książki bym nie napisał”.

A więc tak z niesłychaną skromnością kwituje Władysław Tatarkiewicz ogromny wysiłek początkującego badacza; wysiłek, którego dziś ani by nie podjął, ani by mu nie sprostał niejednemu uczony bardzo utytułowany i doświadczony. Aby bowiem pojąć, co się kryje pod tymi prostymi zdaniem i zwykłymi słowami, trzeba przede wszystkim na własne oczy zobaczyć wspomniane wydanie Arystotelesa. Tomy duże, pękate, drukowane dwuszpaltowo małą czcionką grecką; komentarze starożytne i przekłady łacińskie zawarte są w tomach oddzielnych. W naszych czasach nawet wybitni luminarze historii filozofii wolą korzystać z edycji dwujęzycznych, a mniej wybitni posługują się po prostu przekładami, sprawdzając jedynie wybrane miejsca według indeksu. Mało kto zdobyłby się na trud samodzielnego przedzierania się przez wszystkie tomy oryginału, jak to było czymś oczywistym i obowiązującym jeszcze w początkach naszego wieku; a w każdym razie tak to rozumiał Tatarkiewicz. Ale też tylko taka praca, żmudna i czasochłonna, daje prawdziwą satysfakcję intelektualną oraz intymną znajomość dzieł i myśli mistrza. Wypada dalej wskazać, że Arystoteles należy do tych autorów starożytnych, których czyta się w wielu miejscach wyjątkowo trudno. Bierze się to stąd, że wprawdzie on sam przykładał ogromną wagę do tego, by swoją myśl przedstawić jasno i przystępnie, ale zachowały się tylko skrypty jego wykładów, nie wygładzone i nie sprawdzone, a w każdym razie te, których nie przeznaczyl on do publikacji.

Młody student czytał grube tomiska wciąż od nowa – i wciąż też spacerował po pięknych okolicach Marburga. „Kiedyś podczas marszu przysłała mi do głowy myśl, która wprowadziła ład do chaosu, jakim początkowo mogły mi się wydawać teksty Arystotelesa... Moja myśl polegała na tym: że tezy Arystotelesa stanowią nie jeden system (właśnie w jeden system nie dawały się ułożyć), lecz mnogość, hierarchię systemów. Gdy mi zaświtała ta myśl, wszystko stało się jasne, trzeba było tylko odróżnić te systemy”.

I tak stosunkowo szybko powstała dysertacja w języku niemieckim, a nosząca tytuł *Die Disposition der aristotelischen Prinzipien*, wydana drukiem w 1910 roku. Przełożyła ją na język polski profesor Izidora Dąbmska i ukazała się jako dar jubileuszowy dla Profesora w

1978 roku. I znowu zacytujmy słowa samego Tatarkiewicza, ale już z jego *Wspomnień*: „Po roku rozprawa była gotowa, nie zastanawiałem się nad tym, czy dobra; myślałem o tym, by mieć dyplom, a nie o tym, by robić odkrycia filozoficzne. Przedstawiłem profesorom, nic nie poradzili ani nie skrytykowali, zaaprobowali. Rygorozum odbyło się, znalazł się dla książki nakładca, a największy światowy znawca Arystotelesa, sir David Ross w recenzji »Mindu«

bardzo pochwalił me ujęcie Stagiryty. Ale wtedy ta recenzja nie dostała się do mych rąk;

gdyby się była dostała, to zapewne raczej by mię zdumiała, niż wbiła w pychę”.

W każdym razie jedno jest pewne: Władysław Tatarkiewicz rozpoczął swoją karierę badawczą jako historyk filozofii starożytnej. I choć później ogromnie rozszerzył krąg swych zainteresowań, owa starożytnicza i arystotelesowska formacja pozostała trwałym elementem jego umysłowości.

Arystotelesowska, nie platońska. To ważne rozróżnienie. A więc zamiłowanie do ładu, jasnych konstrukcji wykładu, przejrzystej dyspozycji, do harmonii i do rozważnego wypośrodkowania każdego sądu, każdej oceny. Cechy to typowe dla wykładów Arystotelesa – i także Tatarkiewicza. U Platona natomiast wygląda to inaczej. Owszem, i tam również tok wywodów bywa przystępny, dyspozycja jest staranna, ale każdy utwór staje się od razu dziełem artystycznym, literackim, wyobraźnia zaś łamie wszelkie pęta i unosi się bardzo wysoko, a bezwzględny racjonalizm staje się rodzajem poezji. Po cóż zresztą analizować i charakteryzować to, co z istoty swej nieuchwytnie? Wystarczy przeczytać choćby kilka stron Arystotelesa, kilka Platona, a następnie sięgnąć do którejkolwiek z prac Tatarkiewicza, by przekonać się, któremu z tamtych bliższy jest jego sposób myślenia, pisania, formułowania sądów. Tak, ów rok spędzony nad tomami Stagiryty wywarł decydujące piętno na osobowości naukowej młodego polskiego studenta w Marburgu!

A skoro takie jest wykształcenie, taka formacja umysłowa, doskonale też rozumiemy upodobania artystyczne Władysława Tatarkiewicza i nie dziwi nas jego wyznanie: „Sporo trudu włożyłem w to, by określić różne formacje stylowe: co to klasycyzm, a co romantyzm. W zasadzie jestem za klasycyzmem. Upodobanie to jest może refleksem teoretycznych studiów”.

A jak sam Profesor określa swój stosunek do Arystotelesa? Pisze o tym we wstępie do wspomnianego polskiego przekładu pracy doktorskiej. Stwierdza tam, że usiłował dwa razy w swym życiu wyrysować portret Arystotelesa. Najpierw przed rokiem 1910, kiedy widział w nim konstruktora wielkiego systemu pojęć, a więc filozofa z linii Platona i Plotyna, twórcę jakby wielopiętrowej budowli.

„Po raz drugi próbowałem wyrysować podobiznę Arystotelesa po roku 1925; niewiele wtedy myślałem o tym pierwszym portrecie, zaledwie go pamiętając. Tym razem zobaczyłem Stagirytę zupełnie inaczej: jako najrozsądniejszego z filozofów, jako tego, który znalazł złoty środek, był ostrożniejszy od wszystkich klasyków ostrożności. Ten drugi obraz utrzymałem dotąd. Uwypuklił mi się jeszcze, gdy w latach trzydziestych zajmowałem się etyką Arystotelesa, etyką umiaru i przyjaźni. Jeszcze bardziej wzmocnił się w latach pięćdziesiątych, gdy studiowałem jego estetykę, gdy znalazłem (w Polityce) określenie sztuki jako szlachetnej rozrywki, a także gdy znalazłem (w Etyce nikomachejskiej) analizę przeżycia estetycznego w całej jego złożoności i (w Retoryce) teorię piękna jako uchwytności zjawisk. Potwierdziło mi to koncepcję Arystotelesa jako filozofa zdrowego rozsądku. Taką filozofię spotkałem w moich czasach przynajmniej raz, u Kazimierza Twardowskiego, ale on wywodził się przeciw od Stagiryty. Co do Arystotelesa, to nie jest jednak wykluczone, że tak bogaty myśliciel mógł łączyć obie koncepcje: konstruktora wielopiętrowego systemu pojęć oraz mistrza zdrowego rozsądku”.

Mówiąc o antycznych źródłach filozofa, który napisał też książkę o szczęściu, jakże nie wspomnieć o antycznych rozważaniach poświęconych temu tematowi? Spotykamy je w starożytnej literaturze często, niektóre mają formę osobnych rozpraw i esejów, np. Seneki *De vita beata*. Tutaj jednak przychodzi mi na myśl inne dziełko łacińskie pod tymże tytułem, dziełko autorstwa św. Augustyna. W szczególności zaś wspominam piękne słowa jednego z końcowych rozdziałów. Powiada się tam, że człowiek szczęśliwy to ten, który nie odczuwa niedostatku, a takim jest mędrzec. Mądrość bowiem to równowaga duszy. Jeśli dusza zostanie nią obdarzona, ani nie przekroczy pewnych granic, ani też nie skurczy się w ciasnocie. A kie-

dy dusza przekracza granice? Wtedy, kiedy daje się pociągnąć urokom rozkoszy, ambicji, dumy – słowem takim namiętnościom i występkom, w których ludzie nie panujący nad sobą widzą istotę szczęścia. A co zacieśnia duszę, co ją krępuje? Lęk, smutek, niska chciwość i tym podobne nieszczęsne dolegliwości.

Władysław Tatarkiewicz nie odpowiada wprost na pytanie, które, jak sam stwierdza, stawiano mu wielokrotnie: czym jest szczęście? I czy autor książki o szczęściu sam był szczęśliwy. A raczej odpowiada jakby wymijająco: „Gdybym mógł powiedzieć krótko, czym jest szczęście, nie pisałbym długiej książki. A z własnym szczęściem różnie w długim życiu bywało, choć znacznie częściej dobrze niż źle”.

Kiedy jednak odczytuje się książki jego, kiedy rozważa się jego życie – a co najmniej trzykrotnie tracił w nim materialnie dosłownie wszystko! – i własne o nim refleksje, trudno się oprzeć wrażeniu, mając w pamięci przytoczone słowa św. Augustyna, że mimo wszelkich nieuniknionych ciosów i cierpień było to życie szczęśliwe w najgłębszym tego słowa znaczeniu: albowiem mędrzec jest człowiekiem szczęśliwym, a mądrość to równowaga duszy.

Ditfurth nie spadł z nieba

Gdyby przeprowadzić ankietę, czyje i jakie książki z gatunku popularnonaukowych są u nas – i zresztą nie tylko u nas – najbardziej poszukiwane i czytane, Ditfurth na pewno zająłby miejsce jedno z czołowych, jeśli nie wręcz pierwsze. Rozchwytują jego rzeczy wszyscy: profesorzy i uczniowie, artyści i dziennikarze, technicy, prawnicy. Jest to fenomen zasługujący na baczną uwagę. Skłania do porównań, refleksji i wniosków dotyczących funkcji i roli literatury tego typu.

Zjawisko jest tym bardziej zastanawiające, że książki Ditfurtha są wprawdzie napisane przystępnie, ale wcale nie rozleniwiają czytelnika. Autor nigdy i nigdzie nie pozwala sobie na łatwiznę, na ogólniki, na prześlizgiwanie się nad istotą problemu, na omijanie trudności i kwestii skomplikowanych. Czytać więc należy jego książki uważnie i systematycznie. Nie ma w nich tanich chwytów, nie ma polowania na sensację, nie ma też żadnego szokowania nie- zwykłościami. Pominięte zostały tylko sprawy czysto techniczne, obliczenia i wzory. Wywo- dy rozwijają się spokojnie, krok za krokiem, zataczają coraz szersze kręgi, wciągają różne dyscypliny naukowe jako przedmiot rozważań, zmuszają do pamiętania o tym, co zostało powiedziane poprzednio; a także do przypomnienia sobie, czego nas uczono w szkole śred- niej. Tak więc pod względem formy i poziomu wykładu rzeczy Ditfurtha stanowią po prostu przeciwieństwo tanich „kryminałów” popularnonaukowych typu serii pism Dänikena i auto- rów jemu podobnych; a te ostatnie to naprawdę kryminały również dlatego, że zadają gwałt zdrowemu rozsądkowi i kulturze myślenia, a ich twórcy choćby dlatego tylko zasługują na – kryminał.

Czemu więc przypisać powodzenie, jakim cieszy się Ditfurth w kręgach tak szerokich i w tylu krajach? Obecnie, kiedy mamy już w przekładzie całą trylogię, to jest Dzieci wszech- świata. Na początku był wodór i Duch, nie spadł z nieba, warto i można pokusić się o odpo- wiedź.

Częściowo jest ona już zawarta w podanych tytułach. Ditfurth mianowicie porusza zasadnicze kwestie od wieków nurtujące i pasjonujące każdego prawdziwie myślącego człowieka. A więc: skąd wziął się wszechświat, jaki i kiedy był jego początek, jaka materia i budowa? Kiedy i dlaczego poczęło się życie, jak kształtowała się świadomość człowieka i jaka jest jego rzeczywista rola? Mówiąc inaczej, omawia problemy kosmogonii i kosmologii, biologii, ewolucji, funkcjonowania psychiki.

Patrząc historycznie trzeba stwierdzić, że Ditfurth podjął śmiało i w całej rozciągłości do- kładnie te same zagadnienia, które zrodziły europejską myśl naukową. Pierwsi filozofowie greccy w wieku VI p.n.e., poczynając od sławnego Talesa, właśnie takie stawiali pytania: z czego zbudowany jest kosmos, jak poczęło się życie? Tales – wiadomo powszechnie – odpo- wiadał, że materią pierwszą i podstawową jest woda, Ditfurth zaś, że wodór. Kto wie, może naszym potomnym twierdzenie Ditfurtha, czyli po prostu nauki wieku XX, wyda się równie naiwne, jak nam jawi się Talesowe. To wszakże nie jest najważniejsze. Liczy się sama docie- kliwość, sposób stawiania pytań, dążenia do wniosków możliwie konkretnych i wyjaśniają- cych w sposób prosty jak najwięcej różnorodnych zjawisk. W tym sensie Ditfurth jest spad- kobiercą i reprezentantem starej, lecz wciąż żywej tradycji myśli europejskiej, czyli filozofii

przyrody. Doprawdy nie spadł z nieba, może wskazać z dumą nieprzerwany ciąg swych protoplastów duchowych aż po owych Greków żyjących w Milecie i w Efezie ponad dwadzieścia sześć wieków temu. Genealogia znakomita, jaką nie może poszczycić się żaden królewski ród.

Tak, filozofię przyrody, czyli próby całościowego, logicznego i konsekwentnego objaśnienia początków, budowy i funkcjonowania wszystkiego wokół nas – i nas samych – uprawia się od tamtych zamierzchłych czasów nieprzerwanie. Powstały miliony rozpraw, ksiąg, traktatów, całe ogromne biblioteki. Ale w tym zalewie pism wszelkiego rodzaju stosunkowo niewiele jest takich, które by dawały syntezę stanu wiedzy w każdej epoce zarazem i rzeczową, i przystępną, i pobudzającą do własnych przemyśleń. Można rzec, że uczeni zawsze obawiali się takich syntez. Jedni dlatego, że woleli uprawiać swoją wąską specjalność nie mając ani sił, ani ochoty, aby zapoznawać się choćby tylko z metodami i rezultatami badań prowadzonych nieraz dosłownie za ścianą ich pracowni. Inni znowu, choć posiadali prawdziwie rozległe zainteresowania, byli zbyt nieśmiali lub po prostu – bo zdarza się to często wśród uczonych – nie potrafili jasno wyrazić swych myśli. I wreszcie, bardzo wielu gardziło i wciąż gardzi wszelkim pisarstwem przystępnym, adresowanym do szerszego ogółu. Nie bez racji! Przecież wygodniej i bezpieczniej uprawiać rzemiosło w zakamarkach nauki niż zastanawiać się nad związkami przeróżnych zjawisk, szukać ich wyjaśnienia wspólnego, przedkładać społeczeństwu wyniki swych przemyśleń w formie możliwie czytelnej. Kto napisze kilka rozpraw fachowych, może spokojnie – i poniekąd cynicznie – na tym poprzestać. Ma zapewnioną opinię i rangę wybitnego, zasłużonego badacza. Niejako automatycznie, bo z samym biegiem lat, biegiem dni, spadną nań w należytym kolejności wszystkie honory akademickie. Kto natomiast ośmielił się pisać więcej i zrozumiale, może z równą pewnością liczyć na rosnącą niechęć środowiska, na lekceważenie, dokuczliwość, przeróżne szykany i przeszkody. Tak, Ditfurth zdobył sobie sławę światową, rozbudził wyobraźnię i dociekliwość milionów w różnych krajach, podejrzewam jednak, że jego żywot jako profesora nie jest usłany różami.

Wobec każdego, nawet najlepszego fachowca, który zaczyna przemawiać o sprawach nauki ludzkim językiem, można z łatwością wysuwać mnóstwo zasadnych zarzutów. To ujął nieprecyzyjnie. Tamto wręcz pominął. Tu nawet się pomylił. To znowu stwierdzenie jest zbyt śmiało lub słabo podbudowane dowodami. Całość zaś jest dyskusyjna w treści i nienaukowa w formie. Pewnie, najprecyzyjniej i naprawdę absolutnie bezbłędnie piszą ci, co po prostu nic nie piszą – lub w sposób tak hermetyczny, że do nikogo to nie dotrze i nikogo nie obchodzi. Ale ryzyko narażenia się na częściowo słuszne, w sumie zaś tylko złośliwe krytyki i zarzuty trzeba podjąć! A obowiązek ten ciąży przede wszystkim na tych, którzy znają sprawy nauki od środka, wiedzą, czym i jak to się robi.

Ditfurth nie cofnął się. Jest badaczem zawodowym. Zna technikę pracy laboratoryjnej w zakresie swej specjalności (psychiatria i neurologia). Przeszedł odpowiednie szczeble wstąpienia i kariery uczelnianej, podobne zresztą w całym świecie, niezależnie od ustroju i szerokości geograficznej. W pewnym wszakże momencie uświadomił sobie jasno, że może zrobić coś więcej – i coś społecznie pożyteczniejszego. Właśnie jak ci uczeni starożytni, którzy nigdy nie uważali sobie za ujmę zwracać się do wszystkich.

Ale zapyta ktoś, czy nie jest to zamiar zbyt ambitny, czy nie przekracza kompetencji i sił jednego badacza, choćby bardzo uzdolnionego: zamknąć w kilku tomikach historię kosmosu od wodoru aż po powstanie istot myślących? Moim zdaniem – nie. Człowiek inteligentny, systematyczny i pracowity, o odpowiednim przygotowaniu może w ciągu mniej więcej trzydziestu lat zdobyć dobrą orientację w problemach, metodach i wynikach głównych gałęzi wiedzy przyrodniczej. Taki właśnie cel postawił sobie w starożytności Arystoteles, z tym jeszcze, że rozszerzył swe zainteresowania na wszystkie w ogóle dziedziny wiedzy, niektóre z nich zresztą budując od samych podstaw. Pisał więc i o logice, i o zwierzętach, i o ustrojach państw greckich, a także o etyce, metafizyce, psychologii, meteorologii. Oczywiście, zasób

wiadomości był wówczas bez porównania skromniejszy, z drugiej jednak strony dziś istnieją czynniki koordynujące badania, ułatwiające poznanie rezultatów, a metody naukowe są w swym jądrze bardzo zbliżone. Mówiąc inaczej: w starożytności wiedziano wprawdzie nie- wiele, ale informacje były bardzo chaotyczne i rozproszone, nie umiano zaś stosować metod uogólniających, natomiast obecnie działania porządkujące ułatwiają szybką orientację w ogromie wszelkiego rodzaju danych – poczynając od zwykłych bibliografii.

Ditfurth nie pozuje na Arystotelesa, chyba nawet by się zachnął, gdyby o takim porównaniu usłyszał. Pewne wszakże podobieństwo istnieje, w obu bowiem wypadkach jeden tylko człowiek usiłuje dać sumę wiedzy swego wieku w zarysie ogólnym, lecz zwartym i objaśniającym logicznie powstanie oraz wzajemny związek najważniejszych zjawisk przyrody. A zważmy i to, że Ditfurth nie jest tylko rejestratorem cudzych wyników i nie pisze podręcznika. Jego książki od pierwszych słów po ostatnie przepojone są własną koncepcją, swoistym widzeniem spraw, osobowością autora, który przywykł śmiało stawiać pytania. Przy jednocześnie rzeczowości, przy wystrzeganiu się pogoni za oryginalnością i tanią sensacją, przy odwadze zatrzymywania się przed tym, co na razie niepoznawalne, nie wyjaśnione, tajemnicze. Właśnie te cechy jego książek sprawiają, że cieszą się one takim powodzeniem, nie tylko talent narratorski autora. Ditfurth po prostu budzi nasze zaufanie.

Spotykamy się często z poglądem, że przy obecnej specjalizacji badań synteza w jakiegokolwiek dyscyplinie jest możliwa tylko wysiłkiem kolektywu. Stanowczo nie zgadzam się z takim poglądem. Uważam nawet, że jest on wysoce szkodliwy, rozleniwia bowiem i z góry rozgrzesza samych uczonych zamykających się w ślepych uliczkach coraz węższych, a niekiedy wręcz dziwacznie przyczynkarskich dociekań. Tak zwane opracowania zbiorowe są z reguły czymś wyzbytym życia i osobowości. Dotyczy to zwłaszcza nauk społecznych, a przykłady znajdują się w zasięgu ręki.

Posiadamy obecnie trzy zbiorowe syntezy historii Polski adresowane do szerszego ogółu. Są to: tak zwana synteza krakowska, poznańska i warszawska, każda z nich przygotowana przez specjalistów z owych trzech środowisk. Nie musimy wspominać o ogromnym tworze sprzed lat, wielotomowym monstrum, które ukazało się pod egidą PAN – u i spoczywa spokojnie w pyle bibliotek. Otóż wszystkie owe syntezy zostały rozkupione natychmiast, a pierwsza z nich doczekała się licznych wznowień, panuje bowiem prawdziwy głód wiedzy o naszej przeszłości; oczywiście wiedzy rzeczowej, lecz podanej przystępnie. Recenzje były, jak należało się spodziewać, życzliwe lub mniej życzliwe, co w pewnej mierze wynikało ze stosunków przyjacielskich lub mniej przyjacielskich pomiędzy środowiskami. Każda z owych syntez pisana była przez znakomitych specjalistów, a w sumie każda z osobna i wszystkie razem spełniają rolę bardzo pożyteczną. Ale też wszystkie mają jeden grzech wspólny, pierworodny, i to w sensie dosłownym, urodziły się bowiem jakby z zamysłu martwe. Stanowią składanki, zbiory opracowań (lub wypracowań) na zadany temat, niekiedy czynią wrażenie wręcz zszywek. Żaden z zarysów nie jest w całości tworem organicznym, żaden nie ma znamion osobowości w swych podstawowych koncepcjach i w stylu.

Autorzy twierdzą: nie można być specjalistą jednocześnie w zakresie wczesnego średniowiecza i historii najnowszej, stąd konieczność podziału pracy. A moim zdaniem każdy przeciętnie zdolny historyk potrafi zdobyć dobrą orientację w problemach i osiągnięciach badań nad każdą epoką dziejów Polski. Więcej, jest to jego obowiązkiem. Nie można przecież zrozumieć roli i właściwości swego odcinka pracy nie widząc go na tle innych i w powiązaniach z całością. Historia żadnego narodu, żadnego państwa nie jest siekaniem faktów w ramach pewnych okresów. To dzieje indywidualnych, niepodzielnych, żywych bytów. Ale po co te ogólniki? Możemy przecież właśnie w naszej historiografii wskazać konkretne, znakomite przykłady opracowania całości przez jednego człowieka. Józef Szujski, Michał Bobrzyński, Wacław Sobieski, a ostatnio Paweł Jasienica udowodnili, że inteligentny historyk o pewnym

talencie pisarskim potrafi sobie poradzić świetnie z materia­ naszą dziejów od prapoczątków aż po czasy mniej więcej sobie bliskie.

Pozornie bardzo się oddaliłem od głównego wątku rozważań, to jest od sprawy Ditfurtha. Ale tylko pozornie. Chciałem pokazać, że jego wielkie dzieło – bo to naprawdę dzieło, choć tak skromne, tak proste w formie – jest pochodną wielkiej, starożytnej tradycji myśli i pisarstwa. Tej tradycji, która zobowiązywała twórców do szerokich zainteresowań, do śmiałego podejmowania problemów kluczowych, do prezentowania swych przemyśleń w kształcie humanistycznym, czyli dostępnym dla ogółu o średnim wykształceniu. Talenty osobiste, a więc pracowitość i systematyczność, polot i dar jasnego ujmowania kwestii zawiłych nabierają pełnego blasku, kiedy włączają się do potężnego nurtu rzeki płynącej od wieku VI p.n.e.

Czy słowa te zachęcą do pracy i do objawienia swych zdolności naszych Ditfurthów?

Makrobiotyka

Obaj filozofowie, o których stosunku do starożytności, a zwłaszcza do Arystotelesa, mowa była poprzednio – Tadeusz Kotarbiński i Władysław Tatarkiewicz – urodzili się w tym samym roku, 1886, i żyli długo, bo ponad 90 lat; pierwszy zmarł w roku 1982, drugi – w 1980. Owa długowieczność filozofów rówieśników to sprawa przypadku, ale czy tylko przypadku? W każdym razie skłania do zastanowienia się, „jaka jest długość, jakie są granice ludzkiego życia. Trudno je wyznaczyć, przedstawiają się bowiem inaczej w różnych miejscach i czasach, a zależą również od losu, jaki został każdemu człowiekowi dany”.

Tak pisał przed przeszło tysiąc dziewięciuset laty Pliniusz Starszy w VII księdze swej Historii naturalnej. Czy potrafimy dziś dodać coś istotnie nowego do tej ogólnej refleksji? Owszem: wprowadziliśmy dane i pojęcia statystyki. Pouczają one, że w naszym kraju mężczyzna może przeciętnie osiągnąć około 68 lat (ostatnio zaznacza się tendencja spadkowa), kobieta zaś więcej – ponad 70. Zgadza się jednak z Pliniuszem, że są to wielkości zmienne, zależne od rejonu i epoki. Wiemy, że w ogromnej mierze długość życia zależy od higieny społecznej i że w porównaniu z wiekami minionymi – statystycznie wzrosła, głównie dzięki spadkowi śmiertelności dzieci. Ale wciąż intrygująca, wciąż otwarta pozostaje sprawa inna: bariery naturalnej, ostatecznej granicy, wieku maksymalnego. Starożytni wyznaczali ją na mniej więcej lat 70 – i w tym aspekcie, trzeba przyznać z pokorą, niewiele się zmieniło mimo wszystkich osiągnięć medycyny i techniki.

Pragnienia jednak, by granicę tę przesunąć, i pytania, jak tego dopiąć, są równie stare, jak nasz gatunek. We wszystkich najdawniejszych zabytkach, w mitach, podaniach, wierzeniach i opowieściach różnych ludów spotykamy wciąż ten sam problem, choć ujmowany rozmaicie. Czy jesteśmy w stanie odsuwać kres coraz dalej, czy też istnieje bariera nieprzekraczalna? A może da się wyznaczyć jakieś rejon, sposoby odżywiania się, leki, tryb pracy i odpoczynku sprzyjające długowieczności? Nie mówiąc już o cudownych ziołach nieśmiertelności, stałym motywem przeróżnych mitów.

Z natury rzeczy i niejako zawodowo sprawy te zawsze i przede wszystkim interesowały lekarzy. Ale sporo uwagi poświęcał im również, jak i obecnie, każdy myślący człowiek. Czego dowodem i plonem są zachowane starożytne wzmianki i rozprawy o ludziach zwanych po grecku „makrobioj”, czyli długo żyjący. Zbierano takie przykłady gorliwie, w świadomej lub podświadomej nadziei, że samo ich zestawienie pozwoli wreszcie na odkrycie jakichś prawidłości, a więc w konsekwencji pozwoli też innym, lub może wszystkim, na skorzystanie z przywileju przejścia granicy lat siedemdziesięciu. Najczęściej bowiem ją uważano za przyrodzony kres człowieczej wędrówki.

W zbiorze pism Lukiana zachował się grecki traktat z wieku II n.e. zatytułowany właśnie Makrobioj. Rzecz poświęcona jest prześwietnemu Kwintyllusowi i została złożona jako dar w dniu jego urodzin, albowiem „traktat ten może ci dać korzyść podwójną. Najpierw przekonanie i nadzieję, że i ty możesz osiągnąć wiek piękny. A dalej naukę z przykładów, jeśli zwrócisz uwagę, że do późnej starości dotrwali w zdrowiu głównie ci ludzie, którzy należycie troszczyli się o swe ciało i o ducha”. Na początku autor podaje przykłady mityczne. Potem dane o rzekomo długowiecznych ludach. Tak np. krążyły opowieści, że Serowie, czyli Chińscy, żyją po 300 lat. Chaldecyzcy zaś w Babilonii po ponad 100; pierwsi piją tylko wodę, a

druzcy spożywają chleb jęczmienny. Następnie mowa o królach i wodzach, wśród nich o królu Masynissie, władcy Numidii. Panował on przeszło 60 lat, żył zaś 90, ciesząc się zawsze doskonałym zdrowiem i aż do końca wykazując imponującą wytrzymałość fizyczną; potrafił bez zmęczenia jechać konno dzień i noc. Gdy umierał, jego najmłodszy syn liczył zaledwie 4 lata.

Jeśli chodzi o filozofów i historyków, autor z wyraźną satysfakcją opowiada, że Demokryt zmarł mając 104 lata, i to właściwie dobrowolnie, odmówił bowiem przyjmowania pokarmów. Solon i Tales żyli podobno po sto lat, założyciel szkoły stoików Zenon – 98, jego zaś uczeń i następca Kleantes – 99. Sławny sofista Gorgiasz rozstał się ze światem w 108 roku życia przez dobrowolną głodówkę, a zapytany o przyczyny starości tak długiej i zachowania zdrowia rzekł: Nigdy nie włożyłem się po cudzych ucztach! Podobnie postąpił retor Izokrates, licząc lat 99. Platon żył krócej, lat 81, a historyk Polibiusz zmarł w 82 roku życia skutkiem upadku z konia. Inny historyk, Hieronim, żył 104 lata, choć uczestniczył w wielu wojnach, dużo się trudził, wielokrotnie był ranny; mimo to zachował aż do końca siły w pożyciu małżeńskim i pełną władzę we wszystkich zmysłach. Arystobul żył ponad 90 lat, a do pisania swego dzieła historycznego przystąpił mając ich ponad 84.

Godny podziwu jest również poczet długowiecznych poetów. Tragediopisarz Sofokles, autor Antygony, zmarł poniekąd przypadkowo po 90 roku życia: udławił się winogronem. Do końca swych dni cieszył się pełnią władz umysłowych, co podobno udowodnił publicznie, gdy syn chciał go ubezwłasnowolnić. Odczytał wówczas ku wzruszeniu wszystkich przed trybunałem i słuchaczami swoją ostatnią tragedię, Edypa w Kolonie. Komediopisarz Kratinos zmarł w 97 roku życia, podobnie jak Filemon, również autor komedii, który zaśmiał się na śmierć, gdy spostrzegł, że osioł zjada ze stołu przygotowane dla niego figi.

To oczywiście tylko garść przykładów spośród dziesiątków i setek. Powróćmy jednak do Pliniusza! Przytacza on częściowo te same nazwiska i dane, co autor greckiego traktatu, ale mówi też sporo o długowiecznych Rzymianach i Rzymiankach. A więc tak dobrze znana nam Liwia, żona cesarza Augusta, dożyła zaledwie lat 86. Żona natomiast Cyclerona, Terencja, osiągnęła imponujący wiek lat 103, pewna zaś aktorka wystąpiła na scenie w 112 wiosnie czy też raczej jesieni swego życia.

Najbardziej jednak interesujące są dane, jakie Pliniusz zaczerpnął – sam to stwierdza – ze spisu mieszkańców przeprowadzonego urzędowo w Italii w roku 74. Okazuje się mianowicie, że tylko w jednym regionie półwyspu, określanym wtedy jako VIII, a obejmującym ziemię pomiędzy Apeninami i Padem, żyło w owym roku: osób liczących po 100 lat – 54; po 110 –

14; po 125 – 2; po 130 – 4; po 135 lub 137 – 4; po 140 – 3. A są to dane oficjalne i chyba w pełni wiarygodne, jak wskazuje choćby wahanie w wypadku dwóch osób, co do których ma pewne wątpliwości: lat 135 czy też 137. Czy na tymże obszarze Italii znalazłoby się obecnie więcej osób długowiecznych?

Na przełomie wieku XVIII i XIX duży rozgłos w Europie zdobył lekarz Krzysztof Wilhelm Hufeland, twórca nowej gałęzi medycyny, którą z grecka nazwał makrobiotyką, czyli sztuką osiągnięcia długiego życia. Przekład polski książki Hufelanda, i to już drugi, ukazał się w roku 1828, a tłumacz Tomasz Krauze poświęcił go księciu Adamowi Czartoryskiemu. Jak w traktatach antycznych, tak i tu przytacza się sporo przykładów długowieczności. Materiał starożytny został, oczywiście, wzbogacony obserwacjami z wieków późniejszych, aż po czasy bliskie autorowi. Ale dla Hufelanda to tylko punkt wyjścia. Ustaliwszy bowiem, że natura rzeczywiście dopuszcza dość często odległą granicę wieku, zapytuje: co zrobić, by ją osiągnąć, by jak najwięcej kobiet i mężczyzn mogło odchodzić jako naprawdę sędziwi? I podaje następnie wiele uwag rozsądnych, racjonalnych, godnych aprobaty chyba także – a nawet na pewno – z punktu widzenia dzisiejszej nauki, dotyczą bowiem głównie samego trybu życia i odpowiedniej diety.

Ale o makrobiotyce dziś raczej głucho. Oczywiście, w sensie samej nazwy, jej istotne problemy budzą bowiem nadal zainteresowanie najżywsze. Obecnie wszakże zajmuje się nimi profilaktyka i higiena społeczna, przede wszystkim zaś gerontologia. Bada ona schorzenia typowe dla wieku starczego, a nawet stawia sobie cele ambitniejsze. W wypowiedzi dla

„Przekroju” profesor Ana Aslan, stojąca na czele znanego w świecie Rumuńskiego Towarzystwa Gerontologicznego, powiada wprost: „Sądzę, że jeśli poznamy tajemnicę życia i dotrzemy do istoty starzenia się, uda się nam nie tylko złagodzić i przesunąć starość, lecz być może również zlikwidować. Wierzę i wiem, że można się starzeć bez chorób i cierpień”. Jest to przekonanie, które podzielał również Hufeland.

Jaka jednak jest esencja rad zarówno współczesnych gerontologów, jak też makrobiotyka sprzed półtora wieku? Trudno nie zauważyć, że w gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do trzech ogólnych, ramowych zaleceń, które podobno podawał już Hipokrates, sławny lekarz grecki w wieku V p.n.e., współczesny Sokratesowi. Otóż jego – czy też jemu przypisywane – rady makrobiotyczne, które w życiu swym może zastosować każdy, brzmiały prosto i zwy- czajnie:

Po pierwsze – odżywiaj się skromnie i nigdy, ale to przenigdy nie objadaj się.

Po drugie – zawsze zachowuj aktywność psychiczną i fizyczną.

Po trzecie – bądź powściągliwy w życiu erotycznym.

Czy na tych przykazaniach mamy zakończyć nasze makrobiotyczne wywody? Chyba nie, wszyscy bowiem wiemy dobrze, że długowieczność sama w sobie, nawet w najlepszej kondycji fizycznej i psychicznej, nie może stanowić celu wyłącznego, nie jest dobrem najwyższym. Nam musi chodzić przede wszystkim o to, aby życie było moralnie piękne i społecznie owocne, prawdziwie użyteczne. I – rzecz to uderzająca – właśnie wśród ludzi długowiecz- nych spotykamy szczególnie wiele przykładów połączenia owych wartości! Nie trzeba po owe przykłady sięgać daleko, nie musimy wertować ksiąg starożytnych. Przecież nie tak dawno temu, bo zaledwie w roku 1980, odszedł od nas człowiek, który żył bardzo długo, pra- cował wspaniale, wytrwale i niemal do ostatnich dni, a pozostawił po sobie ogromne dzieło oraz pamięć kogoś wyjątkowo mądrego i szlachetnego; mowa, oczywiście, o Władysławie Tatarkiewiczu. Jego ostatnia książka, Wspomnienia (jego samego i żony Teresy), o której była już mowa poprzednio w innych związkach, stanowi dla nas dar piękny, zbiór rad i do- świadczeń. Można by cytować całymi stronami. Tu dla zachęty niech wystarczy przynajmniej kilka zdań, które pomogą zrozumieć i tę postać, i chyba jedną z tajemnic prawdziwej długo- wieczności:

„Z zalet moralnych cenię nade wszystko życzliwość dla ludzi, a nie lubię zawiści. Wolę uprzejmych niż szczerych, którzy mi mówią, że źle wyglądam lub napisałem niemądry artykuł Cenię zrozumienie dla stanowiska przeciwników”.

Albo też:

„Nie mam zaufania dla ludzi ambitnych, niechętnie jestem usposobiony do ambicji (...). Myślę, że ambicja ma tendencje, by stać się wygórowaną, a wygórowana ambicja paczy i utrudnia życie (...). Nie miałem zwłaszcza tej ambicji, by to, co robię, robić doskonale. Ani zwłaszcza: robić lepiej od innych. Natomiast jak najbardziej zależało mi na tym, bym swoje robił dobrze”.

A więc życzliwość, skromność, pracowitość. Te cechy mogą uczynić nasze życie dłuż- szym, a na pewno – lepszym.

Sarkofag Konstancji

Mądre przykazanie, że najlepszym środkiem dla zachowania młodości i pogody ducha oraz sprawności ciała jest stała aktywność, znajdowało piękne potwierdzenie także w życiu Kazimierza Michałowskiego. Ale tym większe i boleśniejsze zaskoczenie przyniósł drugi dzień roku 1981; bolesną wiadomość o śmierci Profesora, który przekroczył właśnie lat 80 (urodzony w 1901 r.). Wiadomość była zaskoczeniem nawet dla tych, którzy – jak piszący te słowa – wiedzieli, że Profesor już od kilku tygodni poważnie choruje i cierpi. Wciąż jednak można było się pocieszać i żywić nadzieję. Przecież jak dotąd niesłychana odporność, siła woli, umiłowanie pracy, kontaktów ze światem i ludźmi pozwalały mu zawsze, mimo podeszłego wieku, wychodzić zwycięsko z wszystkich słabości, nieodłącznych ód fizycznego bytowania człowieka na tej ziemi. Jakże więc może być, jakim prawem mogło się stać, że nie ma już wśród nas człowieka promieniującego tak niesłychaną, krzepiącą innych witalnością?

Nie byłem ani uczniem, ani też współpracownikiem Profesora. Jednakże, jak wszyscy miłośnicy antyku, zawdzięczam bardzo wiele jego dziełom oraz wszelkiego typu bezpośrednim kontaktom i rozmowom podczas sesji naukowych i spotkań bardziej towarzyskich. Byłaby więc teraz pora, aby usiłować ogarnąć myślą ogrom jego zasług, wskazać wielkość dorobku, podkreślić wyjątkowe cechy osobowości. Wiem jednak, że uczynili to i jeszcze uczynią lepiej, pełniej, kompetentniej ci, co byli dłużej i bliżej z nim związani, kontynuatorzy jego badań, a zwłaszcza archeolodzy średniego i młodego pokolenia. Pragnąłbym jednak i ja złożyć skromny bukiet dla uczczenia i upamiętnienia wybitnego uczonego, świetnego organizatora, znakomitego popularyzatora, bo i ja poczuwam się do wdzięczności.

Jak każdy w tym kraju, kto pasjonuje się starożytnością, mam wiele cennych książek profesora Michałowskiego: o sztuce Egiptu i Grecji, o wykopaliskach w Delfach, w Aleksandrii, w Faras, na Cyprze. Imponują erudycją i szerokością horyzontów, pięknym i przystępnym ujęciem, a sporo z nich wydano bardzo okazale ze wspinałym materiałem ilustracyjnym. A jednak, gdy przychodzi mi wspominać wielkiego archeologa jako człowieka, nie one przychodzą mi na myśl, nie owe dumne tomy, które rozślały imię Kazimierza Michałowskiego w tyłu krajach świata. Sięgam chętniej po skromną broszurę w szarej okładce, wydaną ponad pół wieku temu, w roku 1928. Jest to odbitka z tomu prac Niemieckiego Instytutu Archeologicznego w Rzymie, owoc pierwszych, młodzieńczych studiów autora, chyba na pewno pierwsza jego rzecz drukowana za granicą. Odnalazłem ją kiedyś przypadkowo w jakimś antykwariacie. Profesor wpisał z uśmiechem bardzo spóźnioną dedykację. A potem korzystałem z tej niewielkiej pracy pisząc książkę noszącą tytuł Ród Konstantyna.

Autor bowiem omawia w tym artykule pewne problemy związane ze wspinałym, porfirowym sarkofagiem, niegdyś kryjącym, jak zgodnie utrzymuje tradycja, prochy Konstancji

(zwanej też Konstantyną), córki cesarza Konstantyna Wielkiego. Urodzona około roku 320, zmarła w 354, była niewątpliwie jedną z najbardziej interesujących i wybitnych, choć wcale nie najsympatyczniejszych postaci niewieścich wieku IV, który przecież obfitował w mocne indywidualności. Z woli ojca musiała poślubić najpierw w roku 335 swego kuzyna Hannibaliana, a gdy ten został w dwa lata potem zamordowany, wcale nie wycofała się z widowni politycznej i brała bezpośredni udział w różnych dramatycznych wydarzeniach za panowania swego brata, Konstancjusza II.

Ten wydał ją w roku 351 za swego i jej kuzyna Gallusa, któremu powierzył prowincje wschodnie i dał tytuł Cezara. Odtąd oboje jako para monarsza rezydowali w syryjskiej Antiochii, mieście wspaniałym, ludnym, bogatym. Historyk i oficer rzymski Ammian Marcellinus, obserwujący z bliska poczynania obojga, wystawia im jak najgorsze świadectwo. Sam mianowicie Gallus, wyniesiony na szczyty władzy najwyższej zupełnie niespodziewanie, doznał typowego zawrotu głowy, ulegał atakom pychy i srogości, żona zaś jeszcze podniecała jego wrodzone skłonności do okrucieństwa. Była to, tak twierdzi Ammian, prawdziwa Megea w ciele niewieścim, niezmordowana podżegaczka Gallusowej złości, nigdy, jak i on, niesyta krwi ludzkiej – ale i majątków. Z biegiem czasu małżeństwo nabierało wprawy w czynieniu wszelkiego zła, i to zupełnie bezkarnie, posługując się zastępami donosicieli, którzy oskarżali ludzi zupełnie niewinnych, z reguły jednak bogatych, o antypaństwowe knowania lub o uprawianie praktyk magicznych.

Przebrała się wreszcie miara owych zbrodni, Konstancjusz postanowił odwołać Gallusa. Wpierw jednak uznał za stosowne odłączyć go od żony. Zapraszał więc do siebie Konstancję częstymi i uprzejmymi listami, niby to pragnąc się z nią spotkać po tak długiej rozłące. Ona wszakże nierychło przystała na prośby cesarza. Obawiała się jego podejrzliwości, przeczuwała też, że trzeba będzie zdać przed nim rachunek z wszystkiego, czego dopuściła się do-tychczas wraz z mężem. Ostatecznie jednak doszła do wniosku, że nie spotka ją nic złego, a w trakcie bezpośrednich rozmów zdoła wyjaśnić wiele spraw i ułagodzić gniew cesarza. Wybrała się więc w drogę na zachód lądem, przez krainy Azji Mniejszej. Na szczęście jednak dla niej samej i dla Konstancjusza nie doszło do spotkania obojga. U granic prowincji Bitynii, na zwykłej stacji pocztowej, powalił ją nagły atak gwałtownej gorączki. Zmarła w wieku zapewne trzydziestu kilku lat.

Zwłoki przewieziono do Italii i złożono w specjalnie zbudowanym mauzoleum na przedmieściach Rzymu, przy drodze via Nomentana. Zachowało się ono do dziś w dość dobrym stanie. Jest to ceglana rotunda nakryta kopułą, ale ta wspiera się nie na murach zewnętrznych, lecz na dwudziestu czterech kolumnach stojących parami kołem we wnętrzu rotundy. Taki sposób podtrzymania kopuły zastosowano tu chyba po raz pierwszy w architekturze rzymskiej. Ale nie tylko z tego powodu mauzoleum Konstancji ma trwałe miejsce w dziejach sztuki europejskiej. W równej mierze na uwagę zasługują barwne mozaiki zachowane na sklepieniu pomiędzy murem a kręgiem kolumn oraz w niszach murów. Tematyka owej mozaikowej dekoracji – amorki, rośliny, owoce, ptaki, igrające delfiny – pozornie nie licuje z powagą grobowca chrześcijańskiej władczyni (bo taką Konstancja była, jak cała jej rodzina), stosowniej- sza by się wydawała w pałacu lub w świątyni pogańskiej. Toteż jeszcze w wieku XVIII mauzoleum to uważano za świątynię Bachusa przerobioną na grobowiec. Ale należy zdać sobie sprawę, że każde z wyobrażeń mozaiki dopuszcza też w pełni interpretację symboliczną w duchu chrześcijańskim, w sumie więc chodziło na pewno o wizję raję, do którego wstąpiła dusza zmarłej.

Wierzono zaś, że ponad wszelką wątpliwość wstąpiła – tym bardziej że tutaj, w Rzymie, prosty lud nic nie wiedział o jej zbrodniach popełnionych w Antiochii. Tak więc w średniowieczu została uznana za świętą jako Santa Constanza. Ona, o której współcześni mówili jak najgorzej, przypisując jej tyle zbrodni! Legenda wszakże, wywyższając Konstancję, miała swoje racje, poczytywała jej bowiem za wielką zasługę budowę bazyliki nad grobem św. Agnieszki przy via Nomentana, w pobliżu mauzoleum. Ta bazylika, jedna z najstarszych w Rzymie, przetrwała do dziś, jednakże nie w kształcie pierwotnym, albowiem w ciągu wieków przebudowywano ją wielokrotnie. Oczywiście, nie należy jej mylić z kościołem św. Agnieszki przy Piazza Navona, wzniesionym podobno w miejscu męczeństwa dziewicy, które dokończyć miało za panowania cesarza Dioklecjana.

Ks. Henryk Fros pisze w swym znakomitym przewodniku onomastycznym – hagiograficznym Twoje imię o Konstancji: „Mimo że nie prowadziła przykładnego życia, wręcz przeciw-

nie, uchodziła za niewiaścę ambitną i pozbawioną skrupułów, pobożność ludu i legenda uczyniła z fundatorki bazyliki świętą dziewicę i dodała jej dwie towarzyski, Attykę i Artemię. Znalazła się też na kartach legendarnych Akt męczeńskich świętych Jana i Pawła. Z czasem dostała się wreszcie do martyrologiów, wspomniana tam pod różnymi datami”.

W mauzoleum stał wspomniany na początku sarkofag porfirowy Konstancji. Obecnie jego oryginał znajduje się w Muzeum Watykańskim. To wspaniałe dzieło sztuki późnorzymskiej, zdobne pięknymi płaskorzeźbami, było przedmiotem wielu studiów archeologów i historyków sztuki, a wśród owych prac chlubne miejsce zajmuje młodzieńczy artykuł Kazimierza Michałowskiego. Zainteresował go przede wszystkim problem, gdzie powstał ów zabytek: w samym Rzymie, choć oczywiście z materiału egipskiego (porfir pochodzi z egipskiej miejscowości Gebel – Duchan), czy też w Egipcie? I tu znowu pytanie: jeśli nad Nilem, a ściślej biorąc w Aleksandrii, to czy według wzorów nadesłanych ze stolicy imperium, czy też jakąś rolę odgrywała inwencja rodzima?

Młody uczyony przeprowadził bardzo wnikliwą, wręcz drobiazgową analizę wszystkich elementów ornamentyki i wyobrażeń figuralnych, dochodząc ostatecznie do wniosku: „Badanie to, jak sądzimy, wykazało, że trzeba przyznać pracy rzeźbiarza aleksandryjskiego znacznie większą rolę niż tylko mechaniczne przeniesienie wzorów (...). Materiał, forma, plastyczny wystrój pomnika wskazują poza paralelami historycznymi jednoznacznie i wyraźnie na miejsce pochodzenia i duchowy rodowód dzieła: była nim późnoantyczna Aleksandria”.

Tak więc w samych, początkach swej badawczej kariery Kazimierz Michałowski oddał co należy miastu, które miało w przyszłości stać się widownią jego wielkich sukcesów jako odkrywcy – archeologa. Jest w tym coś bardzo symbolicznego, jakby nić wiążąca całe życie jednego z najwybitniejszych znawców starożytnego świata nie tylko w naszym kraju.

Kojmeterion

Była w poprzednich rozdziałach mowa o tych wielkich uczonych i wspaniałych ludziach, którzy odeszli od nas na zawsze. Ale wszyscy zmarli towarzyszą naszemu życiu poprzez myśli o nich i pamięć, bo też stanowią drogocenną, ważną jego część. Jeśli więc szczególnie tłumnie udajemy się na miejsca ich wiecznego spoczynku tylko w pewnych dniach i okresach, to czynimy tak dla tradycji i zwyczaju; w istocie bowiem wiemy, że wobec tego, co największe i ostateczne, wszelkie rocznice nie mają żadnego znaczenia, nie odgrywają żadnej roli. Ale zmarli mieli swoje święto u wszystkich ludów naszego kręgu kulturowego i chyba zresztą także u wszystkich poza nim. Kontynuujemy więc obyczaj naprawdę tonący w pomroce wieków, a przez to sami stajemy się ogniwem łańcucha życia i śmierci, który biegnie od świtu prapoczątku cywilizacji ku mglistym horyzontom najodleglejszej przyszłości.

Określenie „miejsce wiecznego spoczynku” również ma swój głębszy sens i sięga wielu wieków wstecz, choć wieków nie tak odległych, jak samo święto zmarłych. Historia zaś owe go określenia jest również pouczająca i przenosi nas w epokę cesarstwa rzymskiego.

Zacząć jednak należy od dziejów pewnego wyrazu, który dobrze się zadomowił w polszczyźnie, a mianowicie od wyrazu „cmentarz”. Nie wywodzi się on, jak to utrzymuje etymologia ludowa, a za nią nawet niektórzy poeci, od smętku. Nie chodzi więc o zniekształcenie pierwotnego i rzekomego „smętarza”, miejsca, gdzie się smucimy. Nie, rzecz przedstawia się zupełnie inaczej. Jest to wyraz obcy, a wzięty został z łaciny, w której brzmi „coemeterium”. Tym mianem określali rzymscy pisarze chrześcijańscy miejsca spoczynku swych zmarłych już od wieku II n.e. Ale i w łacinie nie jest on rodzimy, przejęty został bowiem z greki, mamy do czynienia z latynizacją greckiego wyrazu „kojmeterion”. A Grecy posługiwali się nim w życiu codziennym po prostu dla oznaczenia sypialni, czyli pokoju, w którym się śpi; po greku bowiem „kojman” to spać. Natomiast pisarze chrześcijańscy chętnie podchwycili go i przejęli jako znakomite, obrazowe określenie miejsca, w którym ich bracia odpoczywają i śpiąc oczekują zmartwychwstania. Kryła się w tym skromnym wyrazie także wielka pociecha dla wiernych pozostałych jeszcze przy życiu.

Skoro więc cmentarz, wyraz i pojęcie, ma swe prawdziwe korzenie w chrześcijaństwie starożytnym, nasuwa się z kolei dalsze pytanie: jakie to miano dawali miejscu, gdzie chowano zmarłych, pogańscy Grecy i Rzymianie, zwłaszcza w czasach przed rozpowszechnieniem się nowej religii? I tutaj, rozglądając się jak najskrzętniej w materiale słownikowym, musimy wreszcie dojść do wniosku pozornie zdumiewającego: oto ani w grece, ani też w łacinie klasycznej nie znajdziemy żadnego wyrazu, który by w pełni odpowiadał znaczeniowo chrześcijańskiemu i naszemu określeniu „cmentarz”! Owszem, istniał w języku Hellenów termin

„nekropolis”, czyli miasto zmarłych, a raczej trupów, ale w epoce klasycznej występował on niezmiernie rzadko. To właśnie w dobie obecnej używa się go bardzo często, także w pracach archeologów, ale jest to termin sztuczny, wprowadzony przez nas dla oznaczenia rejonów grobowych, gdziekolwiek się je odkrywa. (A przy sposobności trzeba zauważyć, że przyjęły się w polszczyźnie zupełnie dziwaczne, niczym nie usprawiedliwione formy tegoż wyrazu:

„nekropola” i „nekropolia”. Formą poprawną jest nekropol w liczbie pojedynczej, nekropole w mnogiej, jak Akropol – Akropole).

Mówiąc krótko, Grecy i Rzymianie, tak dbający o swe groby, nie mieli właściwie żadnej nazwy wspólnej dla ich zbiorowiska i wydzielonego okręgu pochówków! Czym fakt ten wyjaśnić, czym uzasadnić? Otóż istnieje wyjaśnienie, i to dość proste: w starożytności klasycznej cmentarzy w naszym rozumieniu, to jest wyodrębnionych, zamkniętych obszarów, w zasadzie nie było, w każdym zaś razie spotykało się je stosunkowo rzadko. Groby budowano przeważnie za miastem, w miejscach nie zawsze łatwo dostępnych i na nieużytkach, a najczęściej wzdłuż dróg. W różnych krajach starożytnego Wschodu, np. w Egipcie, było znowu inaczej, tu jednak, podkreślam, mowa o epoce klasycznej, o zwyczajach Greków i Rzymian.

Najbardziej i najpowszechniej znany przykład takiego przydrogowego cmentarza stanowi sławna via Appia pod Rzymem. Ale sprawy te przedstawiały się podobnie również gdzie indziej, także w Atenach. Tam znowu najczęściej omawiana, bo też najlepiej zachowana, jest Aleja Grobów w dzielnicy podmiejskiej, zwanej Keramejkosem zewnętrznym. Ciągnie się owa aleja na przestrzeni około 90 metrów wzdłuż drogi tuż za Bramą Świętą; szło się tamtędy do sławnego przybytku misteriiów z Eleuzis. Wykopaliska prowadzone po roku 1863 odsłoniły w tym rejonie kilkadziesiąt różnego typu prywatnych grobów, wzniesionych głównie w wieku IV p.n.e., choć późniejsze bardzo skrupulatne prace archeologów wykazały, że zmarłych chowano tam poczynając już przynajmniej od wieku XII p.n.e. A więc ciągłość pochówków na tym samym niewielkim obszarze przez prawie dziesięć wieków!

Jak wyglądają groby przy alei za Bramą Świętą? Bardzo różnie, właściwie nie ma dwóch powtarzających się form. Są więc jakby małe kapliczki, sarkofagi, kolumny, stele podłużne lub prawie kwadratowe, niemal zwykłe kamienie. Bez mała wszystkie posiadają piękny wystrój. Najsławniejsze, najpowszechniej znane dzięki bezlikowi reprodukcji, są płaskorzeźby na kilku stelach; przedstawiają zmarłe osoby, zwykle z ich najbliższymi. Oto Eukoline z pieśkiem na ręce, przedmiot współczucia swej rodziny – mężczyzny i dwóch kobiet. Oto dziewczyna Korallion żegna się z Agatonem. Oto siedząca na krześle Hegeso, córka Proksenosa, wyjmuje ze skrzynki biżuterię, a przed nią stoi dziewczyna, pewnie służąca. Młody Deksylos, poległy w 394 roku w bitwie pod Koryntem, wciąż pędzi na swym rumaku nad ciałem powalonego wroga.

Groby tu zachowane mają tylko krótkie napisy. Było jednak powszechnym i pradawnym zwyczajem Hellenów, odkąd tylko rozszerzyła się znajomość pisma, by zdobić groby nie tylko rzeźbami, lecz także krótkimi utworami poetyckimi, uwieczniającymi pamięć tych, co odeszli, i ból tych, którzy pozostali.

Znamy setki owych wierszowanych epitafiów zarówno dzięki inskrypcjom zachowanym, jak też odpisom w zbiorach poezji. Najstarsze zachowane pochodzą z wieku VI p.n.e. Nie wszystkie wyróżniają się walorami artystycznymi, spotykamy jednak wśród nich także prawdziwe arcydzieła sztuki, wszystkie zaś wzruszają swoją treścią – i to najbardziej chyba te proste, jakby nieporadne. Prozaiczny przekład nie może oczywiście oddać uroku formy greckiej, warto wszakże tytułem ilustracji przytoczyć przynajmniej kilka owych inskrypcji grobowych. Pochodzą one z różnych miast greckich, wszystkie jednak z wieku IV p.n.e., są więc współczesne grobom zza Bramy Świętej.

„Któż ze śmiertelnych ma serce tak nieczułe, by nie uronił łzy nad twoim losem, dziewczyno? Piękna i miła rozkwitałaś ku nadziei dobrej sławy, Hediste. Lecz utraciłaś swe życie młodziutkie jeszcze przed ślubem”.

„Gdyby się godziło zaliczać do istot nieśmiertelnych niewiastę śmiertelną, lecz czystą, tobie pierwszej przypadłby taki zaszczyt, Herakleo. Ty jednak pożegnałaś młodość dopiero rozkwitającą, pożegnałaś także dom swej matki, sama zaś przed czasem odeszłaś do domu bezlitosnej Persefony”.

„Witaj grobie Melity. Spoczywa w nim uczciwa kobieta miłująca ze wszystkich sił swego równie miłującego męża. Był nim Onesymos. Dlatego też tęskni on do ciebie, dobra żono.

– I ty witaj, najdroższy mężu. Kochaj tych, których ja kochałam!”

„Często bawiłeś się wesoło z rówieśnikami. Wyrosłeś z tej ziemi i znowu stałeś się ziemią.– Aristokles jestem z Pireusu, syn Meonona”.

„Ta kobieta, gdy żyła, nie pragnęła ani sukien, ani złota. Miłowała tylko swego męża i niewieścią uczciwość. A teraz oto, Dionizjo, mążzonek musi dbać o to, aby grób ten zdobić – a nie urok twej wdzięcznej młodości”.

„Mówi Hegilla, córka Filagrosa. Każdy winien poznać mój wiek: w dwudziestym i piątym roku życia zgasły dla mnie promienie słońca. O moich zaś obyczajach i skromności najlepiej potrafiłby mąż powiedzieć”.

„Ta oto ziemia przyjęła Kratystę, dzielną córkę Damajnetę, a ukochaną żonę Archemachosa. Zmarła jęcząc w bólach straszliwych, pozostawiając mężowi małe dziecko, sierotę”.

To tylko przykłady. Poetyckie dziedzictwo grobów greckich jest bogate i różnorodne, a cenne dlatego, że odsłania bardzo ludzkie oblicze antycznego świata. To, o którym często zapominamy, podziwiając wspaniałe dzieła myśli i sztuki. A przecież tworzyli je ludzie kochający swych bliskich tak samo, jak my kochamy, i tak samo bolejący, gdy przyszło rozstać się z nimi na zawsze. W ciągu tylu wieków nic się nie zmieniło w naszych reakcjach wobec tego, co ostateczne. Poganin i chrześcijanin boją i rozpaczają tak samo – i wyraz „koj-meterion”, jakim ten drugi się posługuje, niewiele pomaga; tym bardziej że tak niewielu wie o jego prawdziwym znaczeniu!

Moody i Plutarch

Tak głośną u nas od kilku już lat książkę R. A. Moody *Życie po życiu* otrzymałem i mogłem przeczytać dopiero niedawno, z dużym opóźnieniem; dostałem ją zresztą w przekładzie nie polskim, lecz niemieckim, ceny bowiem tej przecież niewielkiej książeczki – ceny oczywiście czarnorynkowe, nie ma bowiem co zaglądać do księgarń – są zawrotnie wysokie. Muszę otwarcie wyznać, iż rzecz ta ogromnie mnie rozczarowała i właściwie dziwię się wszystkim, na których wywiera ona wrażenie; a jest przecież wśród zwolenników, ba, entuzjastów książki sporo osób poważnych, światłych, myślących krytycznie. Widocznie jednak w tym wypadku działają jakieś szczególne czynniki i mechanizmy psychiczne, a pragnienie, by mi-mo wszystko prawdą było posłannictwo książki, przesłania wszystko inne.

Dlaczego jednak dziełko to pozostawiło mnie obojętnym, nieprzekonanym, zawiedzionym? Otóż najpierw dlatego, że relacje i świadectwa, które przytacza, nie są praktycznie biorąc w ogóle udokumentowane, czyli nie są sprawdzalne, ich wiarygodność jest więc z naukowego punktu widzenia żadna. Nie chciałbym wszakże być małostkowy, nie chcę zasłużyć sobie na miano niewiernego Tomasza. Dobrze więc, zgadzam się, zaufam autorowi, który jest przecież lekarzem, psychiatrą i który na pewno ani nie ulega cudzej fantazji, ani też świadomie nie chce nikogo w błąd wprowadzić. Pragnąłbym ufać mu tym bardziej, że wyniki jego badań – czy też raczej ankiet i wywiadów – zdaje się potwierdzać inny lekarz, doktor E. Kübler – Ross. Tak przynajmniej twierdzi się w Posłowiu książki. Faktem wszakże pozostaje

– i to jest drugi powód, dla którego rzecz ta sprawiła mi zawód – że gdyby nawet uznać cały materiał za wiarygodny i w pełni udokumentowany oraz przyjąć za pewnik dużą zgodność relacji tych osób, które przeżyły śmierć kliniczną, ostateczne wnioski muszą pozostać jakby w zawieszeniu, interpretacje mogą być rozmaite i z gruntu rozbieżne.

Przecież w żadnym wypadku próg śmierci prawdziwej, to jest klinicznej, nie został przekroczony! A więc tajemnica jest nadal tajemnicą, noc nocą, kraj milczenia, z którego nikt nie wraca, krajem milczenia. Zaskoczyło mnie w książce R. A. Moody jeszcze coś innego. Oto badacz, który – tak przynajmniej twierdzi – zadał sobie tyle trudu, aby przez wiele lat zbierać wypowiedzi i zeznania współczesne, wykazuje prawie kompletną niewiedzę oraz brak orientacji w wypadku materiału z epok dawniejszych. W istocie wszystko, co w jego książce w tym zakresie znajdziemy, to bardzo ogólnikowe wzmianki o archeologicznych dowodach kultu zmarłych oraz kilka fragmentów z Biblii i Platona. To żenująco mało, to prawie nic – w stosunku do tego, co

by się dało i co należało powiedzieć, przytoczyć, wskazać.

Pytanie bowiem, jakie są losy duszy ludzkiej po śmierci fizycznej, dręczyło każdego myślącego człowieka od prawieków, wciąż więc pojawiały się różnego rodzaju próby odpowiedzi. Powoływano się w rozmaitych krajach i epokach na doznania tych, którym jakimś cudem udało się wyrwać ze świata zmarłych. Miały to być istoty boskie, herosi, postaci mityczne, ale niekiedy też zwykli ludzie, i to w czasach już w pełni historycznych. Dlatego też w literaturze antycznej wyróżnia się specjalny rodzaj utworów, jakby odrębny gatunek; są to tak zwane katabazy, czyli zstąpienia do krainy zmarłych – zstąpienia, choć w istocie były to często raczej wzloty, ponieważ świat tych, co odeszli, umiejscawiano nie tylko w głębi ziemi, lecz także gdzieś w rejonach niebiańskich i gwiazdnych. Niektóre z owych katabaz mają wysoką rangę artystyczną i są szeroko znane, np. podróż Odyseusza do świata cieni, spotkanie Enea-

sza z duchami tych, co żyli i dopiero żyć będą, czy też wreszcie, już w literaturze średnio-wiecznej, wędrówka Dantego po piekle, czyściu i raju. Wspominamy tu o Boskiej Komедии dlatego, że jej podstawowy pomysł i założenia są w prostej linii pochodną koncepcji antycznych.

Mógłby jednak ktoś powiedzieć, że taki materiał nie może i nie powinien interesować lekarza, uczonego, autora *Życia po życiu*, jemu bowiem chodziło tylko o przypadki konkretne, a nie o literackie i wręcz poetyckie pomysły, fantazje, fikcje. Dobrze, ale cóż w takim razie robi w jego książce Platon ze swymi filozoficznymi rozważaniami uskrzydłonymi i ubarwionymi wyobraźnią poety? To zresztą nie jest zarzut tak istotny. Ważniejsze jest to, że wśród owych antycznych katabaz znajdujemy też pewne relacje i opowieści, które Moody powinien znać niejako z urzędu, a przynajmniej wzmianka o nich była jego obowiązkiem. Chodzi bowiem właśnie o konkretne przeżycia ludzi zwykłych, a więc takich, jacy mogliby być jego pacjentami. Oczywiście, mamy prawo nie wierzyć tym, którzy nam owe opowieści przekazali. Ale w takim razie czemu mamy wierzyć panu R. A. Moody?

Jako przykład chciałbym tu przypomnieć – oczywiście w skrócie – co mówi Plutarch, żyjący około 50–120 n.e., ów sławny Plutarch, autor *Żywotów*, o podróży w zaświaty niejakiego Tespezjosa z miasta Soloj w Cylicji. Nie był ów Tespezjos żadnym człowiekiem świętym, żadnym prorokiem lub wizjonerem. Przeciwnie – tak zapewnia Plutarch – zbijał on majątek w sposób zdecydowanie nieuczciwy, niegodny. A kiedy zapytał wyroczni, czy będzie mu się wiodło lepiej przez resztę życia – myśląc oczywiście o warunkach materialnych, jak każdy bowiem chciwiec wciąż uważał się za biedaka – otrzymał dziwną odpowiedź: Będiesz żył dobrze dopiero wtedy, kiedy umrzesz! Wkrótce potem zdarzył się tragiczny wypadek: Tespezjos runął z jakiegoś wysokiego miejsca wprost na kark i pozornie wyzionął ducha. Ale po trzech dniach, tuż przed pogrzebem, rzekomy nieboszczyk nagle ocknął się, ożył, sam po-wstał z mar. Odtąd żył jak najrzetelniej, pobożnie, zacnie, uczciwie. Skąd ta przemiana? – pytało wielu, lecz na próżno. Dopiero po długich, usilnych naleganiach Tespezjos wyjawiał swym przyjaciołom całą prawdę o tym, co przeżył i widział:

– W chwili, gdy mój umysł oderwał się od ciała, znalazłem się na skutek strasznego wstrząsu w stanie kogoś, kto został raptownie wyrzucony z pokładu wprost w głębinę morza. Potem jednak zacząłem jakby unosić się nieco w górę. Miałem przy tym wrażenie, że oddycham całym sobą, a rozglądałem się na wszystkie strony bez żadnego wysiłku, jakby to sama dusza moja rozwarła się szeroko niby jedno wielkie oko. Nie dostrzegłem wszakże ani jednego z tych przedmiotów, które otaczały mnie poprzednio, w chwili upadku. Znalazłem się na-prawdę w zupełnie innym świecie. Widziałem gwiazdy ogromne, oddzielone od siebie niezmiernymi przestrzeniami, a jaśniejące blaskiem o tak zdumiewająco intensywnej barwie i o takim natężeniu, że mogłem unosić się po jego promieniach lekko, szybko, bez wysiłku i we wszystkich kierunkach niby łódź po falach spokojnego morza.

Ujrzałem także dusze zmarłych wstępujące z dołu ku górze. Przypominały bańki ogniste, gdy powietrze rozstępowało się przed nimi. Potem ich powłoczki łagodnie pękały, a z wnętrza wynurzały się jakieś istoty o kształtach człekopodobnych, niewielkie jednak. Ale nie wszystkie dusze poruszały się w swej drodze ku górze tak samo. Jedne wyskakiwały z zadziwiająco szybkością i zmierzały prosto w niebo niby strzały. Inne natomiast kręciły się długo wkoło jakby wrzeczona, to nieco się chyląc, to znowu podnosząc, a wykonywały przy tym niepewne ruchy po spirali dziwnie pogmatwanej. Obroty ich ustawały dopiero po długim czasie, a i to bardzo powoli.

Większości dusz nie potrafiłem w ogóle rozpoznać. Spostrzegłem jednak dwie lub trzy postaci jakby skądś znajome, podszedłem więc ku nim i pozdrowiłem uprzejmie. Nie dosłyszały wszakże moich słów lub ich nie zrozumiały. Czyniły wrażenie istot zupełnie nieprzytomnych, bezrozumnych i straszliwie czymś przerażonych. Uciekały w popłochu przed wszelkim dotknięciem, a nawet spojrzeniem. Najpierw długo krążyły samotnie, ale po jakimś czasie spo-

tykały inne, znajdujące się w stanie podobnym. Splatały się z tamtymi mocno i dopiero wtedy wszystkie razem zaczynały się miotać w różnych kierunkach, wydając jednocześnie dźwięki niepojęte. Były to jakby przeraźliwe wołania, przemieszane z zawodzeniem i jękami. Inne natomiast dusze – a widziałem je bardzo wyraźnie – szybowały spokojnie wysoko w górze, po przezroczystej światłości sklepienia. Bił od nich miły blask. Stroniły wyraźnie od tamtych, czyniących zamieszanie, chętnie natomiast zbliżały się wzajem ku sobie, pełne życzliwości. Odniosłem wrażenie, że oznajmiają smutek kurcząc się i jakby malejąc, radość zaś i powita- nie – rozszerzając się niby kwiat, co rozkłada płatki.

I wtedy to przystąpiła do mnie dusza jednego z moich krewnych mówiąc:

– Nie dziw się i nie lękaj. Nie przekroczyłeś jeszcze progu śmierci prawdziwej. To tylko twój umysł przebywa tutaj na skutek boskiego zrządzenia, ale pozostałe władze duszy wciąż tkwią mocno zakotwiczone w ciele na ziemi. Zresztą, sam możesz łatwo przekonać się o tym, dusze bowiem naprawdę zmarłych nie rzucają cienia.

Tak rozpoczęła się długa wędrówka Tespezjosa po tamtym świecie, zwiedzanie tych rejonów zaziemskich, które wieki późniejsze miały nazwać piekłem, rajem i czyścem. Owe dalsze etapy to oczywiście już interpretacja filozoficzna i religijna tego, co mogłoby, a raczej powinno być ukazane po tamtej stronie – żywym ku przestrodze i zachęcie, aby tutaj dobrze się prowadzili. Natomiast część wstępna przeżyć Tespezjosa, przytoczona powyżej, dałaby się jeśli ktoś bardzo by tego pragnął – wyjaśnić przynajmniej w jakiejś mierze zgodnie ze schematem doznań i relacji osób, z którymi Moody rozmawiał. A więc wstrząs i tunel, niezwykła jasność, widzenie osób zmarłych.

Komu więc wierzyć – czy też nie wierzyć? Jedno wydaje się pewne: antyczny autor pisze bardzo pięknie. Opowieść Tespezjosa, podana przez Plutarcha w traktacie O późnej pomście bożej, stanowi niewątpliwie arcydzieło wyobraźni wizjonerskiej. Autor wieku XX pragnie natomiast przekonywać przez samą rzeczowość, każe nam ufać, że podany przezeń materiał jest wiarygodny. W istocie jednak świadkowie, na których się powołuje, są dla nas tak samo nieuchwytni i niesprawdzalni, jak Tespezjos Plutarchowy. Nie widzę więc żadnego postępu w tej dziedzinie – od starożytności po czasy obecne – poza niezbyt zręcznymi próbami wprowadzenia sztafażu naukowego, kosztem jednak wzniosłości i piękna ekspresji. Tajemnica, jak się rzekło, pozostaje tajemnicą. I chyba powinna nią zostać – dla dobra żywych.

Pliniusz, czyli męstwo i śmierć uczonego

„My patrzący z dala, bo z Misenum, początkowo nie byliśmy pewni, która to góra dymi chmurą. Dopiero później rozpoznano, że to Wezuwiusz. Chmura zaś swym kształtem najbardziej przypominała drzewo – właśnie pinię, nie inne. Wzbijała się bowiem wysoko, jakby pień prosty i bardzo śmigły, tam dopiero rozpościerając szeroko swe gałęzie. Sądzę, że wynosiła ją w górę mocny podmuch, który jednak słabł później; albo też ugiwała się pod własnym ciężarem. Wydawała się raz biała, raz znowu brudna i jakby popstrzona, zależnie od tego, czy niosła popiół, czy też ziemię.

Dzień był 9 przed kalendami września (24 sierpnia), godzina zaś dnia mniej więcej siódma (po wschodzie słońca). Moja matka pierwsza oznajmiła wujowi, że pokazała się chmura tak niezwykle wielkością i kształtem. On zaś już zażył kąpieli słonecznej i potem zimnej, już zjadł coś leżąc i właśnie zabrał się do studiów. Zażądał sandałów, wszedł na miejsce, z którego najlepiej można było oglądać dziwne zjawisko. Jako człowiekowi wielkiej uczoności wydało mu się ono czymś ogromnym i godnym bliższego zbadania. Rozkazał więc natychmiast, aby przygotowano lekki okręt liburnijski. Dał także mnie możliwość pojechania tam z nim razem, o ile bym chciał, odpowiedziałem jednak, że wolę pracować – a właśnie sam dał mi coś do pisania.

W chwili, gdy już wychodził z domu, wręczono mu list od pani Rektyny, przerażonej bliskością niebezpieczeństwa, jej bowiem willa leżała u samych stóp góry i nie było żadnego sposobu wydostania się stamtąd prócz okrętu; błagała więc mego wuja, by ją wyrwał z położenia tak krytycznego. Zmienił plan bezzwłocznie. To mianowicie, co rozpoczął powodowany tylko pasją badania, spełnił wielkodusznie. Wyprowadził na morze trójrzędowce i wszedł na pokład jednego z nich, aby nieść pomoc nie tylko Rektynie, lecz bardzo wielu ludziom, tamto bowiem wybrzeże było gęsto zamieszkane. Spieszy więc tam, skąd inni uciekają w popłochu. Trzyma kurs i steruje wprost ku niebezpieczeństwu.

Miał wtedy lat 56. Jest mi prawdziwie miło, że tak pilnie czytając rzeczy mego wuja chciałbyś mieć je wszystkie i pytasz, ile ich jest razem. Chętnie spełnię rolę informatora i podam ci również, w jakim powstały porządku. A więc:

O walce jeździeckiej, księga jedna. Napisał ją – równie dokładnie, co i pomysłowo – gdy jeszcze służył w wojsku jako dowódca szwadronu. O życiu Pompejusza Sekundusa, księgi dwie. Pompejusz ów bardzo go miłował, spełnił to więc jako swój obowiązek należny pamięci przyjaciela. Wojny z Germanami, ksiąg dwadzieścia. Zawarł w nich opis wszystkich wojen, jakie prowadziliśmy z tym ludem. Zaczął pisać, gdy jeszcze służył wojskowo w Germanii, napomniany w widzeniu sennym. Kiedy bowiem spoczywał, stanęła przed nim podobizna Druzusa Nerona – tego, który dokonał tak szerokich podbojów Germanii i tam zginął – polecając, by o nim pamiętał, i prosząc też, by go ocalił przed krzywdą zapomnienia. Trzy księgi uczone, podzielone jednak na sześć tomów, w których kształci i doskonali mowę od samych początków. Wątpliwości językowe, ksiąg osiem. Pisał je za Nerona, w ostatnich latach jego panowania, kiedy tyrania uczyniła czymś niebezpiecznym każdy rodzaj badań nieco swobodniejszy i szlachetniejszy. Od końca dzieła Aufidiusza Bassusa, ksiąg trzydzieści jeden. Jest to kontynuacja historycznego dzieła Bassusa, które dobiegało tylko do połowy panowania cesa-

rza Klaudiusza. Wreszcie Badania przyrodnicze, ksiąg trzydzieści siedem. Dzieło obszerne, uczone, bogate i urozmaicone nie mniej niż sama przyroda.

Dziwisz się może, jakim to sposobem człowiek bardzo zajęty potrafił napisać aż tyle tomów, a w nich poruszyć tyle problemów tak skomplikowanych? Otóż zdziwisz się jeszcze bardziej, kiedy się dowiesz, że przez czas jakiś prowadził również sprawy sądowe; i że wiele czasu zajęły mu bardzo poważne obowiązki oraz pielęgnowanie przyjaźni cesarzy. Lecz umysł miał bystry, energię niewiarogodną, czujność ogromną.

Dlatego też zwykłem się śmiać, kiedy ten lub ów nazywa mnie pracowitym; mnie, który w porównaniu z nim jest skończonym leniem! Ale któż z tych, co całe życie ślęczą nad nauką, nie musiałby wydać się wobec niego człowiekiem oddanym tylko spaniu i nieróbstwu?

Pewnie jednak chciałbyś się dowiedzieć, co ja przeżyłem pozostawiony w Misenum, jakie lęki i przypadki? Mówiąc słowami poety: Choć ducha przeraża samo wspomnienie – zacznę opowiadać! Otóż po wyjeździe wuja resztę czasu poświęciłem studiom, bo przecież po to zostałem. Następnie kąpiel, wieczera, sen niespokojny i krótki. W dniach poprzednich już się dawało odczuć drzenie ziemi, było jednak o tyle mniej straszne, że w Kampanii częste. Ale tej nocy wzmogło się potwornie. Można było sądzić, że wszystko wokół nie tylko się porusza, ale wnet runie. Wbiegła do mej sypialni matka, właśnie gdy ja już wstawałem, żeby ją zbudzić, jeśliby spała. Usiedliśmy na placu dzielącym morze od naszych zabudowań. I nie wiem, czy mam to nazwać stałością ducha, czy też nierozwagą; a miałem wtedy lat osiemnaście. Oto zażądałem książki Tytusa Liwiusza i czytałem ją, jakby nic się w ogóle nie działo; ba, nawet robiłem sobie wypiski, jak przedtem!”

Są to wyjątki z kilku różnych listów Pliniusza Młodszego, pisanych z początkiem wieku II n.e., swobodnie zestawione. Ich adresatem był Korneliusz Tacyt, sławny historyk. Miłośnicy starożytności znają je dobrze, szerszy wszakże ogół chyba mniej, niż na to zasługują. Zresztą, przytacza się zwykle tylko jeden z owych listów, ten opisujący śmierć Pliniusza Starszego, wówczas komendanta floty w Misenum. Autor Historii naturalnej (bo tak przyjęło się u nas podawać tytuł dzieła oznaczający właściwie Badania przyrodnicze) zginął, jak powszechnie wiadomo, w sierpniu roku 79 podczas wybuchu Wezuwiusza, który to wybuch pogrzebał pod popiołami Pompeję. Z wszystkich jego wymienionych dzieł dotarło do nas w całości tylko to jedno, rodzaj wielkiej encyklopedii rozumowanej, to jest ułożonej nie według haseł, ale działami. Jedyna znana nam encyklopedia starożytna! Kopalnia informacji z wszystkich dziedzin ówczesnego życia, pomnik niewiarogodnego wręcz wysiłku jednego tylko człowieka, a zarazem rzecz mająca swoje walory językowe i pełna osobistych refleksji autora.

Już sama Historia naturalna wystarczyłaby, aby zapewnić Pliniuszowi nieśmiertelną chwałę i poczesne miejsce w dziejach światowej nauki. A przecież także inne jego prace żyją do dziś przynajmniej pośrednio, z nich to bowiem czerpali różne dane pisarze starożytni. Sławna Germania Tacyta ponad wszelką wątpliwość zawdzięcza bardzo dużo Pliniuszowym Wojnom z Germanami i chyba był tam również opis ziem nad Odrą i Wisłą. Wreszcie, jako ukoronowanie życia tak pracowitego, tak dobrze zorganizowanego i owocnego – dobrowolna, męska wyprawa w samo centrum rozpiętego kataklizmu. Wybuch Wezuwiusza – przypominajmy – był czymś wtedy niezwykłym i niespodziewanym, ponieważ wulkan ten od wieków uchodził za niemal wygasły, czynna natomiast, wciąż groźna i opisywana była Etna na Sycylii. Uczony i dowódca spełnia do końca wszystkie swe obowiązki: bada i niesie pomoc zagrożonym. Zginął prawdziwie na posterunku, w domu u stóp Wezuwiusza, ale śmiercią dość łagodną, zasnął bowiem na wieki – podczas snu; bezpośrednią przyczyną zgonu było zapewne niedotlenienie serca w atmosferze przesyconej wyziewami wulkanu. To zdaje się wynikać z opisu, jaki przekazał jego siostrzeniec pozostawiony w Misenum. A i on usiłował po swojemu iść w ślady odważnej postawy wuja. Czynił to może trochę śmiesznie, trochę jakby pozował, sam to przyznaje: czytał mianowicie i ekscerpował księgi historyczne Tytusa Liwiusza, choć ziemia drżała tak mocno, że strach było przebywać pod dachem. W pomroce słychać było

szlochanie kobiet, płacz dzieci, rozpaczliwe głosy tych, co szukali swych najbliższych; jedni modlili się głośno i wręcz prosili bogów, aby rychłą śmierć zesłali, ale jeszcze więcej było takich, którzy wołali, że nie ma już bogów, a noc, co zapada, jest ostatnią, wieczną, śmiercią i zgonem wszystkiego...

Kiedy w roku 1979 mijało 1900 lat od zagłady Pompei i śmierci Pliniusza Starszego, ukazało się sporo prac i artykułów poświęconych tej tematyce w różnych krajach i w rozmaitych językach. Sądzę jednak, że o tamtych wydarzeniach godzi się pamiętać zawsze i właśnie nie-rocznicowo, w każdym roku i w każdej sytuacji. Systematyczna, niezmordowana i dobrze zorganizowana praca na co dzień i spokojne, nieustraszone wypełnianie swych obowiązków nawet wtedy, gdy wydaje się, że to nie ma sensu, kataklizm bowiem pochłonie wszystko – oto postawa prawdziwie rzymska i męska.

Starożytność nie znała, na szczęście, widma grzyba atomowego. Kształt chmury nad Wewzuwuszem był podobny, choć nie stanowił dzieła ludzkiego geniuszu – i obłędu. Groza wszakże i w tym wypadku musiała wywierać tak samo wpływ paraliżujący. Nie na wszystkich jednak, jak świadczą przykłady obu Pliniuszów. A cóż by rzekli oni, gdyby ujrzeli, że nawet znacznie mniej dramatyczne wydarzenia wystarczą, by zakłócić spokój naszego ducha i rytm pracy? Nie musimy, jak Pliniusz Starszy, udawać się w samo epicentrum katastrofy. Możemy jednak w każdej sytuacji wzorować się na jego siostrzeńcu – choćby to była tylko poza. Ale bywają też dobre pozy.

Sprawy olimpiad

Gałązka dzikiej oliwki

Jeśli się zastanowić, co właściwie przejęliśmy po starożytnych igrzyskach olimpijskich, ostateczny wniosek musi brzmieć dziwnie i paradoksalnie: bardzo wiele – i prawie nic. Bardzo wiele, jeśli mamy na myśli sprawy zasadnicze, ogólne. Przecież to starożytnym zawdzięczamy samą ideę odbywania zawodów sportowych w regularnych, czteroletnich odstępach czasowych. I podobnie jak w świecie antycznym, również nasze igrzyska są zjawiskiem, które przekracza barierę granic państwowych. Zawodnicy i widzowie z różnych krajów powinni w tym okresie zapomnieć o wszelkich dzielących ich antagonizmach politycznych, w miejscu zaś, gdzie się spotykają, ma obowiązywać absolutny pokój, zwany po grecku „ekechejria”. Oczywiście, wzięliśmy od starożytnych również samą nazwę igrzysk najświętszych, wywodzącą się od miejscowości Olimpia na Peloponezie. A nie – jak to niektórzy zdają się przypuszczać – od góry Olimp w północnej Grecji! Z tym jednak, o czym niewiele wie i pamięta, że Grecy obejmowali mianem olimpiad czteroletnie okresy między igrzyskami, a nie same igrzyska, obecnie zaś utarło się inne znaczenie wyrazu: olimpiady to właśnie zawody. Co więcej, końcówka – ada jakby się usamodzielniała i zrobiła zawrotną karierę; mówimy przecież o spartakiadach, rozumiejąc pod tym określeniem różnego typu mniejsze i skromne igrzyska, a podobnie można też tworzyć inne tego rodzaju terminy.

Tyle więc wzięliśmy z epoki antyku, jeśli chodzi o olimpiady. Dużo, bardzo dużo, w historii bowiem liczą się ogromnie pomysły, idee, tradycje, nazwy – a to wszystko w tym wypadku starożytne. Z drugiej wszakże strony, rozpatrując rzecz konkretnie i na płaszczyźnie poszczególnych faktów, musimy stwierdzić, że nasze igrzyska nie mają prawie nic wspólnego z antycznymi!

Odbywają się, w przeciwieństwie do tamtych sprzed wieków, za każdym razem w innej miejscowości, a więc nie miejsce jest święte i ważne, lecz sama idea. Olimpijskość pozostała tylko w imieniu i w symbolicznym przenoszeniu znicza właśnie stamtąd, z Peloponezu, co zresztą w starożytności było zupełnie nieznaną: znicz płonął tam stale jak w każdym świątynnym okręgu. A sam przebieg igrzysk i rozgrywane konkurencje? Wszystko wygląda inaczej, zupełnie inaczej. Przecież na palcach jednej ręki policzyć można te, które w jakiejś mierze odpowiadają starożytnym: biegi, rzuty, skoki, ewentualnie pewne elementy pięściarstwa, zapasów, pięcioboju. Oczywiście i w tych wypadkach całkiem odmiennie przedstawiają się zasady, warunki i wymogi zawodów. A co powiedzieć o samej oprawie igrzysk, o ceremoniach otwarcia i zamknięcia, tak pysznych widowiskowo, o organizacji i wyposażeniu technicznym? Są to sprawy absolutnie i ze względów oczywistych nieporównywalne.

I jeszcze kwestia nagród. W starożytności jedynym trofeum zwycięzcy była gałązka dzikiej oliwki, nie znano żadnych medali, miejsc nie liczono. I w tym wypadku trudno oprzeć się refleksji, że chyba jednak starożytni byli roztropniejsi nie rozdając złota, srebra i brązu, nie prowadząc skomplikowanego systemu punktacji indywidualnych i drużynowych, nie klasyfikując tak i owak. To wszystko przecież ma swoje powiązania i wydźwięki zupełnie poza-sportowe, a prawdę mówiąc – wręcz polityczne. Może więc byłoby lepiej i uczciwiej, gdybyśmy właśnie w tej dziedzinie powrócili do antycznego wzoru, do zasad, które obowiązywały

przez 12 wieków (bo tak długo trwały olimpiady świata starożytnego): jeden tylko zwycięzca w każdej konkurencji i tylko jedna nagroda – gałązka dzikiej oliwki?

Historyk w Olimpii

Jest jeszcze coś innego, co bardzo bym pragnął przenieść z antycznej Olimpii do każdej kolejno miejscowości, w której będą się odbywały igrzyska naszej doby. Chodzi mi o pewne treści, sprawy i pokazy wprawdzie nie związane bezpośrednio ze sportem, ale za to dodające blasku całości imprezy. Mogłyby one nawet przez sam kontrast wobec żywiołowych emocji stadionów uczynić pobyt w olimpijskiej miejscowości przeżyciem jeszcze głębszym, jeszcze bogatszym. Myślę o literaturze i sztuce.

Twierdzi się niekiedy, że podczas starożytnych igrzysk olimpijskich odbywały się również jakby zawody – po grecku „agony” – czy też raczej popisy poetów, muzyków, pisarzy. Z czysto formalnego punktu widzenia można by takie poglądy zakwestionować, albowiem właśnie w Olimpii tego rodzaju literackich lub pieśniarskich konkurencji oficjalnie nigdy nie było. Jest to nawet zastanawiające, ponieważ stanowiły one uznawaną i często praktykowaną część składową wielu innych igrzysk greckich. Natomiast zawody w Olimpii były chyba od początku i pozostały przez 12 wieków istnienia wiernie tylko sportowi pojmowanemu jako pokaz fizycznej sprawności. Gałązki oliwki przypadły więc w udziale wyłącznie zwycięzcom na stadionach i placach zmagania atletów. Faktycznie wszakże rzecz przedstawiała się nieco inaczej i dlatego mają pewną rację ci, co utrzymują, że sławę zdobywało się w Olimpii nie tylko siłą mięśni.

Skoro bowiem ściągali tam masy ludzi z wszystkich krajów i krańców greckiego świata, spieszyli również twórcy, aby okazać swoje dzieła i umiejętności. Ufali, i słusznie, że przyniesie to im rozgłos, wsławi ich imiona i osiągnięcia wszędzie, gdzie sami dotrzeć by nie zdołali. Toteż poza oficjalnym tokiem widowisk odbywały się różnego rodzaju spotkania, odczyty, popisy, wystawy organizowane indywidualnie. Wcale, ale to wcale nie musiały mieć one za temat igrzysk i walk sportowych, choć oczywiście takie utwory również powstawały, niekoniecznie jednak w samej Olimpii i niekoniecznie musiały być tam prezentowane.

Mówiąc krótko: kto z pisarzy i artystów dał się poznać podczas olimpiad, miał już zapewnione nazwisko ogólnogreckie, czyli w ówczesnych warunkach – światowe. Ta praktyka i droga zdobywania imienia poprzez Olimpię była tak częsta, że później powstawały nawet legendarne o tym opowieści. Utrzymywano mianowicie, że byli tam i zyskali poklask także ci twórcy, którzy może nigdy w życiu tej miejscowości nie odwiedzili. Skoro jednak – tak rozumowano – są tacy sławni, musieli kiedyś zabłysnąć właśnie w Olimpii.

Do najbardziej interesujących i wciąż spornych spraw tego rodzaju należy pytanie, czy podczas igrzysk rzeczywiście wystąpił Herodot. Tym czytelnikom, którzy przypadkowo nie pamiętają, wypada przypomnieć, jak wielkie to nazwisko. Otóż Herodot żył od około roku

485 do około 430 p.n.e. i nosi do dziś zaszczytny, prawdziwie zasłużony przydomek ojca historii. Jego dzieło to jedna z pierwszych opowieści prozą o przeszłości, jakie w ogóle powstały w świecie greckim. Ponadto jest to najstarszy w całości zachowany zabytek greckiego piśmiennictwa historycznego, a więc i europejskiego.

Każdy, kto zajmuje się jakimkolwiek okresem dziejów, musi uznać Herodota za swego przodka duchowego; i każdy też powinien znać jego rzecz dobrze, mieć w swojej bibliotece. Mamy polski przekład, wydany został po wojnie dwukrotnie, ale rzadko, bardzo rzadko spotykam ów tom w zbiorach historyków; co niniejszym należy im przypomnieć i wypomnieć, powinniśmy bowiem szanować spadek po naszym protoplaście, aby kiedyś i nasze prace szanowano. Zresztą, nie pożałuje nikt, kto weźmie książkę Herodota do ręki. Zachwyca ona postycznością i naturalnością narracji, wdziękiem i swobodą kompozycji; autor wciąż niby to gubi się w dygresjach i dywagacjach, a przecież zawsze i nieomylnie powraca do głównego nurtu wywodów. To naprawdę wspaniała rzeka, płynąca raz spokojnie i majestatycznie, to

znowu rozlewająca się szeroko, a kiedy indziej wijąca się kapryśnie, sceneria zaś przybrzeżna wciąż się zmienia. Ileż to krain poznamy dzięki Herodotowi, niestrudzonemu podróżnikowi i bystremu obserwatorowi! Egipt i ziemie nad Morzem Czarnym, Babilonia i Italia, Azja Mniejsza i Tracja – o nich wszystkich ma coś do powiedzenia, nie mówiąc, oczywiście, o Grecji właściwej. Miło byłoby tak pisać, jak ów mistrz starożytny: niby to trochę chaotycznie, a przecież bardzo przemyślanie – i zawsze zajmująco. Jeszcze i to trzeba dodać: właśnie Herodotowi zawdzięczamy takie rozumienie wyrazu „historia”, jakie przyjęło się potem w Grecji, a następnie w Rzymie i we wszystkich językach Europy: badanie przeszłości.

Księgi swe Herodot poświęcił wydarzeniom, które dla ludzi wtedy żyjących były historią najnowszą i wciąż pasjonującą – zupełnie i dokładnie tak, jak dla nas najbardziej interesujące, bo bliskie, są dzieje ostatniej wojny. Przedstawiał mianowicie, oczywiście na tle szerokim i często cofając się w przeszłość dość daleką, walki Greków z Persami, powstanie Hellenów w Milecie, bitwę pod Maratonem, wyprawę Kserksesa, bitwę w przesmyku termopilemskim, morskie zmagania pod Salaminą. Wielu z jego słuchaczy i czytelników brało udział w tamtych wojnach, inni zaś, młodszy i najmłodszy, wiedzieli o nich od starszych z żywej, ustnej, często rodzinnej tradycji. Lecz Herodot dał jako pierwszy pełny obraz owych dramatycznych walk na lądzie i na morzu, poczynając od najodleglejszych przyczyn i początków aż po triumf oręża Hellenów.

Czy dzieło tak świetne, tak bliskie sercu wszystkich Greków nie powinno zostać przedstawione właśnie tam, gdzie najwięcej ich się gromadziło, i to w świętej oprawie igrzysk olimpijskich? Zgodzimy się wszyscy chętnie, że tak byłoby najpiękniej, najgodniej, i nie dziwimy się wcale, że również w starożytności wielu tak myślało. Wyobrażano więc sobie, że Herodot najpierw długo się zastanawiał, jakim sposobem mógłby wsławić siebie i swe dzieło najszybciej i najłatwiej. Jeździć po całym świecie od miasta do miasta i tam odczytywać księgi? Ogromny wysiłek, wielkie koszty, dużo niebezpieczeństw. A ile by to czasu wymagało, ile lat! Najlepiej więc tam wystąpić, gdzie zgromadzą się tłumy przybyszów z różnych krain, słuchacze bowiem sami rozniosą wieść o dziele i jego autorze po najodleglejszych zakątkach helleńskiej wspólnoty.

Zgodnie z tymi wyobrażeniami pisał grecki autor Lukian, żyjący w II wieku n.e., a więc prawie w siedem stuleci po Herodocie:

„Bliskie już były wielkie igrzyska olimpijskie i Herodot uznał, że nadarza się sposobność, której gorąco pragnął. Poczekał na wielkie zgromadzenie świąteczne, kiedy zbierają się najwybitniejsi ludzie z całej Grecji, i pojawił się w tylnej kaplicy świątyni. Przedstawił się jako współzawodnik na olimpijskich igrzyskach, a nie jako widz. Następnie odczytywał swe Dzieje i tak oczarował obecnych, że księgi nazwano imionami muz, gdyż ich także było dziewięć”.

To ostatnie twierdzenie jest na pewno mylne i mylące. Podział na księgi i ich nazwy nie pochodzą od Herodota, to zasługa późniejszych wydawców starożytnych. Ale powróćmy jeszcze na chwilę do wywodów Lukiana:

„Podówczas ludzie znali go o wiele lepiej niż samych zwycięzców olimpijskich. Nie było człowieka, który by nie słyszał imienia Herodota. Jedni usłyszeli je w samej Olimpii, drudzy dowiadywali się od powracających ze zgromadzenia. Gdziekolwiek się zjawił, wszędzie pokazywano go palcem: To jest ten Herodot, który napisał dzieje wojen z Persami i uświetnił nasze zwycięstwa! Na jednym zebraniu zdobył uznanie całej Grecji. Imię jego rozbrzmiewało nie z ust tylko jednego herolda, lecz w każdym mieście, które wysłało tam widzów”.

Te dwa urywki przytoczono tu w przekładzie zmarłego przed laty znakomitego hellenisty Władysława Madydy. A pora już najwyższa, by wznowić ów przekład Lukiana, ważny i poręczny nie tylko dla tych, co zajmują się starożytnością, ale dla wszystkich humanistów.

Postępek Herodota, stwierdza dalej Lukian, znalazł wielu naśladowców. Odtąd pisarze chętnie odczytywali swe utwory w Olimpii. Tak było rzeczywiście, mówi o tym sporo świa-

dectw antycznych. Można wprawdzie wątpić, czy sam Herodot istotnie stanął kiedykolwiek tam ze zwojem swych ksiąg i zyskał taki aplauz, ale praktyka olimpijskich odczytów i popisów była później częsta. Powtórzmy bowiem raz jeszcze: wtedy najkrótsza i najłatwiejsza droga do światowej sławy pisarza lub artysty wiodła właśnie przez Olimpię.

Powie jednak ktoś: czy w naszej epoce, kiedy cierpimy raczej na nadmiar wszelkiej informacji – zalewa nas potok słowa drukowanego, ogłusza radio, oślepia telewizja, poraża reklama, urabia propaganda – czy więc w takiej sytuacji twórca musi szukać dojścia do słuchacza i widza właśnie przy sposobności igrzysk olimpijskich? Były już przecież próby przyznawania laurów poetyckich w związku z tymi igrzyskami w czasach nowożytnych, zyskał taki laur nawet jeden z polskich twórców (Kazimierz Wierzyński), ale poniechano tej „konkurencji”, sprawy to bowiem zbyt niewymierne, kłopotliwe w ocenie.

Otóż twórcom rzeczywiście tego rodzaju olimpijskie zawody i nagrody nie są w naszej dobie koniecznie potrzebne, przydałyby się natomiast, tak sądzę, samym olimpiadom. Po prostu po to, aby o ich blasku i pamięci u potomnych decydowała nie tylko tężyzna fizyczna zawodników, liczba flag w pochodach, sprawność organizatorów, liczba zdobytych medali, bo wszystko to rzeczy bardzo zewnętrzne i przemijające. Istotniejszy i trwalszy w swych skutkach byłby fakt, że tę olimpiadę uświetnili swoją obecnością tacy to a tacy twórcy; że pokazano takie wystawy obrazów i rzeźb; że odbyły się premiery takich filmów i sztuk teatralnych, występy takich artystów. Będzie za dużo imprez, będą zachodziły na siebie? A czemu nie dać tym, co przyjadą, możliwości wyboru między zawodami sportowymi a przeżyciami innego typu?

Olimpiada 65

Wiem dobrze, iż te moje skromne życzenia i postulaty nie zostaną zrealizowane z powodów licznych i poważnych. Nikt nie zrezygnuje z medali na rzecz gałązki oliwki, nikt nie zgodzi się na przydanie igrzyskom wielkiej oprawy artystycznej; byłoby to zbyt kosztowne i kłopotliwe. Krytycy tego, co tu powiedziałem, wysuną ze swej strony sporo słusznych uwag. Pozwolę więc sobie wyrazić jeszcze trzecie życzenie, również związane z historią olimpiad antycznych.

W chwili, gdy piszę te słowa, najbliższe czekające nas igrzyska to te, które powinny odbyć się w roku 1984 jako 640 z kolei – gdyby wszystkie odbywały się regularnie i bez żadnej przerwy od roku 776 p.n.e. Ale była przerwa, i to długa, bo trwająca aż 15 wieków,

od roku 393, kiedy odbyła się ostatnia olimpiada świata starożytnego – o czym pisałem w osobnej książce – aż do roku 1896, kiedy to święcono pierwszą nowożytną.

W roku 1980, roku olimpiady moskiewskiej, minęło dokładnie 2500 lat (jeśli nie liczyć roku zerowego) od wprowadzenia konkurencji dość niezwykłej: oto podczas olimpiady 65, czyli według naszej rachuby w roku 520 p.n.e., po raz pierwszy stanęli na mecie biegacze w pełnym uzbrojeniu ówczesnego żołnierza. Mieli więc na sobie hełmy, pancerze, nagołenniki, w rękę trzymali duże, ciężkie, okrągłe tarcze. Skąd taki pomysł? Tradycja twierdziła, że ów bieg miał upamiętnić wydarzenie rzeczywiste, historyczne: oto na stadion olimpijski podczas igrzysk wpadł uzbrojony żołnierz, donosząc o pewnym zwycięstwie swego kraju. Ale to legenda. Naprawdę bowiem chodziło o to, jak dziś się przypuszcza, aby udowodnić wszystkim, że igrzyska odgrywają istotną rolę w przygotowaniu wojskowym. Już bowiem w starożytności podnosiły się głosy, że wyselekcjonowani zawodnicy są w gruncie rzeczy mało odporni fizycznie i zupełnie niesprawni w boju prawdziwym, do tego mało wytrzymali na trud. Bieg ciężkobrajnych oddziałów decydował wówczas nieraz o wynikach zmagania w walce; miało się to okazać szczególnie dowodnie już w 30 lat później, w bitwie pod Maratonem. Co prawda w Olimpii stopniowo ograniczano uzbrojenie, to jest odejmowano zawodnikom po kolei pewne jego części. W wieku II n.e., czyli w czasach cesarstwa, odbywali oni biegi już tylko w hełmach na głowach i z tarczami; tych przechowywano w skarbcu 25, a wszystkie były jed-

nakowego kształtu i dokładnie tej samej wagi. Nie, wcale nie pragnę i nie proponuję, aby podobne zawody dodawać do i tak już licznych konkurencji naszych igrzysk. Ale z drugiej strony życzę sobie i wszystkim, aby jak najrychlej, jeszcze za naszego życia, komitet przygotowawczy którejś tam z rzędu olimpiady postanowił jednak wznowić biegi zawodników w pełnym, oczywiście nowoczesnym rynsztunku bojowym, argumentując tak: Skoro wreszcie nastąpiła era prawdziwego pokoju i pełnego rozbrojenia, niechże przynajmniej widzowie olimpijscy ujrzą na własne oczy, jak *n i e g d y ś* wyglądał i jak się musiał trudzić żołnierz! Uczciemy w ten sposób znój i krew tych, co walczyli właśnie w takich mundurach, taką bronią, tak obciążeni, ale nie na stadionach i nie o gałązkę oliwki!

Sport i nauka

Zacząłem od rozważań, co łączy i co różni antyczne i nowożytne igrzyska olimpijskie. Na zakończenie więc wrócę do tego tematu. Wskażę problem, który zrodził się wraz z karierą sportu i trwa do dziś. Posłużę się słowami poety Ksehofanesa, piszącego około roku 500 p.n.e., a więc przed dwudziestu pięciu wiekami. A słowa te nic nie straciły ze swej aktualności:

„Jeśli ktoś w biegu zwycięży lub zmysł w pięcioboju wykaże w mieście Olimpji, gdzie Zeus święty od wieków ma gaj, w Pizu krainie, lub jeśli w zapasach zwycięstwo odniesie albo nieczuły na ból w walce na pięści się zda, albo jeżeli pankration okrutne zwycięsko zakończy, wtedy kierują doń wzrok wdzięczni ziomkowie ze czcią. A na igrzyskach zasiada on odtąd na miejscu zaszczytnym i utrzymanie mu skarb państwa zapewnia, gdy żyw, nadto otrzyma nagrodę świadczącą o wielkim uznaniu. Gdy na rydwaniu ktoś mknie zręcznie, tę samą ma cześć, chociaż zasługę ma mniejszą niż ja. Przecież moja nauka lepsza od wszelkich jest sił, które ma człowiek lub koń. Lecz gdy już to się uznaje, to przecież nie godzi się cenić siły fizycznej nad myśl, która szafarką jest dóbr. Bo jeśli znajdzie się pięściarz wyborny lub ktoś w pięcioboju będzie wspaniale wiódł rej, albo gdy znajdzie się mistrz w ciężkich zapasach lub biegu, co chwałę przynosi obecnie, lub gdy popisze się ktoś jaką by kolwiek z swych sił, to praworządność bynajmniej nie wzrośnie dlatego wśród ludzi, długo nie cieszy się lud z takich osiągnięć jak te, które nad Pizu brzegami zdobywa się w różnych zawodach; tym nie napełni się spichrz i nie wzbogaci się gród” (przekład W. Steffena).

A więc – pierwsze olimpiady i pierwsze żale, utyskiwania, narzekania, że pod każdym względem lepiej się powodzi sprawnym osiłkom niż uczonym i twórcom. I cóż się zmieniło?

Piękno i mądrość elegii

W roku 1979 ukazał się w Lipsku, w ramach sławnej i tak zasłużonej Bibliotheca Teubneriana – drukuje się w niej już od wielu dziesięcioleci teksty autorów greckich i rzymskich w językach oryginału i w coraz to doskonalszych edycjach – niewielki tomik pod tytułem *Poetae elegiaci*. Zawiera fragmenty starogreckiej poezji elegijnej w krytycznym opracowaniu dwóch filologów włoskich, B. Gentili i C. Prato. Podam tu najpierw kilka objaśnień terminologicznych i rzeczowych, a następnie będę starał się uzasadnić, dlaczego rzecz tę, pozornie interesującą tylko wąskie grono starożytników, uważam za godną zainteresowania ze strony każdego humanisty.

Poeci, o których tu mowa i których utwory tomik zawiera, należą do najstarszych w ogóle znanych, żyli bowiem w wiekach VII i VI p.n.e., a więc tuż po czasach Homera i Hezjoda. Fragmenty ich dzieł zachowały się głównie dzięki temu, że cytowali je późniejsi autorzy starożytni. W epoce nowożytnej, poczynając od wieku XVI, pokolenia filologów europejskich cierpliwie zbierały, poprawiały i wydawały owe strzępy pradawnej poezji rozproszone po księgach różnej treści. Każda generacja uczonych dawała edycje coraz pełniejsze i doskonalsze. Obecna jest w kolejności już ponad pięćdziesiąta! Wypada zaznaczyć, że również polscy badacze mają swój chlubny i wysoko ceniony udział w owej żmudnej pracy, którą porównać by można do rekonstruowania mozaiki z rozrzuconych kamyków. Nazwiska Leona Sternbacha, Wiktora Steffena i Witolda Klingera pojawiają się zaszczytnie wśród dziesiątków innych z niemal wszystkich krajów i narodowości. I oni bowiem przyczynili się swą wiedzą, umiejętnością skojarzeń, zmysłem krytycznym i intuicją do stopniowego ulepszania obrazu poezji sprzed tylu wieków i do coraz właściwszego jej rozumienia.

Zapyta jednak ktoś, jaki właściwie jest sens i cel praktyczny owej pracy trwającej nieprzerwanie już właściwie kilkaset lat, a wymagającej zaiste wręcz benedyktyńskiej cierpliwości i głębokiej intuicji, a zarazem szczególnego umiłowania i rozumienia poezji. Dlaczego to, z jakich konkretnych przyczyn od tylu już pokoleń setki badaczy poświęca taki ogrom wysiłku owym zaledwie kilkuset liniom tekstu? Otóż istnieją konkretne powody, by właśnie tę pracę wciąż na nowo podejmować i kontynuować; można wskazać rzeczowe i wielorakie uzasadnienia.

Najpierw więc działa naczelne i zupełnie bezinteresowne pragnienie każdego prawdziwego uczonego, by zgłębić wszelki problem, rozwiązać każdą zagadkę i wyświetlić tajemnicę bez względu na to, czy przyniesie to jakiegokolwiek praktyczne korzyści. Nagrodą bowiem najwyższą i ostateczną jest satysfakcja intelektualna. W omawianym wypadku ogromne znaczenie ma też fakt, że owe nikłe fragmenty poetyckie są przecież niemal jedynymi świadectwami pewnych faktów językowych i historycznych, są relikami mentalności, poglądów i obyczajów ludzi sprzed dwudziestu sześciu, siedmiu wieków. Mówią do nas poprzez poszarpane i cudem ocalałe wiersze nasi bracia żyjący w jakże odmiennej rzeczywistości, a przecież tak bardzo nam bliscy. I wreszcie owa poezja, z którą czas obszedł się tak okrutnie, jest nawet w swej okaleczonej postaci wspaniała i prawdziwa. Przypomina współczesne jej, równie nie liczne i zachowane tylko w ułamkach zabytki archaicznej rzeźby. Nie brak zaś dziś wybitnych znawców, którzy uważają właśnie te posągi, pozornie sztywne i jakby niezdarne, za

najwspanialsze dzieła greckiej sztuki, stawiając je nawet wyżej od późniejszych, tak wy- chwalanych tworców epoki klasycznej.

Aby jednak uniknąć nieporozumień, trzeba tu dodać jedną uwagę: jak każda wielka poezja, również i ta pierwszych elegików jest prawie nieprzetłumaczalna, można bowiem usiłować przekazać jej treść – przeważnie i pozornie dość banalną – ale trudno oddać przenikanie się myśli i formy językowej, co przecież dopiero stanowi o walorze utworu artystycznego. Choć więc przekłady są potrzebne i cenne – w naszym języku najłatwiej dostępne są tłumaczenia, jakie ukazały się w tomiku Biblioteki Narodowej Antologia liryki greckiej w opracowaniu J. Danielewicza – nie należy wyrokować o wartości i pięknie pierwowzorów na ich podstawie. Można natomiast oddać wiernie w każdym języku treść elegii. Ale tu czeka współczesnego czytelnika pewne zaskoczenie. Nam bowiem samo pojęcie elegii, sam ten wyraz kojarzy się z poematem o nastroju smętnym lub wręcz żalobnym. Starożytni natomiast określali tym mianem każdy utwór zachowujący pewną formę i miarę wierszową, tak zwany dystych elegijny, złożony z heksametru i pentametru. Kryterium więc było czysto formalne, treść zaś w zasadzie obojętna: miłosna lub po prostu erotyczna, polityczna albo też mitologiczna, refleksyjna lub pouczająca. Elegia przyjmowała gościnnie i życzliwie wszelkiego typu wypowiedzi, opisy, sądy. Jeden z najstarszych elegików, Kallinos, opłakiwał w wieku VII zniszczenia, jakie spowodowali w Azji Mniejszej swymi najazdami Kimmeriowie. Tyrtajos, z pochodzenia Ateńczyk, słynął przez wieki dzięki elegiom, które zagrzewały Spartan do boju. Mimnermos mówił o sprawach mitycznych, opiewał uroki miłości, wyrzekał na starość, która je odbiera. Solon, tak dobrze znany w historii ateński prawodawca w roku 594, poruszał w swych elegijnych utworach zarówno kwestie aktualne, polityczne, jak też zastanawiał się nad tym, co w życiu ludzkim ważne i wartościowe.

Do szczęścia zaś, pouczał Solon swych słuchaczy i czytelników, niewiele wystarcza: „Miłe dzieci, szybkie konie, dobre psy myśliwskie, zacny gość przy stole”. Ideał ów funkcjonował długo i bez zmian, bo jeszcze w wieku XIX, oczywiście w sferach zamożnych, ziemiańskich; bo też z tej warstwy społecznej Solon pochodził. Ale i dziś także uznamy jako swój pierwszy i czwarty człon twierdzenia, czy też życzenia, to jest miłe dzieci i zacnego gościa. Co do drugiego, to bardzo wielu wstawiłoby na jego miejsce samochód, a zamiast psów myśliwskich zadowoli się spacerkiem z ulubionym pieskiem pokojowym albo biegiem po zdrowie.

Powiada Solon w innej elegii: „Jednakowo bogaty jest ten, kto posiada stopy srebra i złota, pszeniczne łany, stada koni i mułów, jak i ten, kto ma tyle tylko, by nie cierpieć głodu i chłodu, oraz chłopca lub dziewczynę; bo i to jest przydatne. Oto całe ludzkie bogactwo! Co zaś ponad to, i tak nie pójdzie za nami do grobu. Nikt też nie wykupi się od śmierci, choroby, nieszczęsnej starości”.

Albowiem Solon, jak zresztą wszyscy Hellenowie, był głębokim pesymistą. Mówi też wprost: „Żaden człowiek nie jest prawdziwie szczęśliwy. Wszyscy my śmiertelni jesteśmy godni litości, ilu nas widzi słońce z wysoka”.

A współczesny Solonowi Mimnermos żali się: „Cóż to za życie, jakaż rozkosz bez Afrodyty złocistej? Niech więc śmierć mnie zabierze, kiedy utraci swój czar miłość tajemna, i słodkie dary Cyprydy, i łoże – owe najpiękniejsze kwiaty młodości w życiu kobiet i mężczyzn”. Zgodnie z tym Mimnermos życzył też sobie: „Oby bez chorób i bez przykrych boleści wyrok śmierci dotknął mnie, gdy lat będę miał sześćdziesiąt”. Solon wszakże wcale się z nim nie zgadzał – widocznie przekroczył sześćdziesiątkę – i radził raczej takie wyrażać życzenie:

„Niech wyrok śmierci dosięgnie mnie wtedy dopiero, gdy będę miał lat osiemdziesiąt”.

Owa różnica życzeń jest w pełni zrozumiała także z tej przyczyny, że Solon miał głębsze pasje i szersze zainteresowania niż poeta służący tylko Afrodycie, umysł zaś nie wędnie tak szybko jak ciało. Zresztą, to podwyższenie granicy wieku wiązało się również z siódemkowym podziałem okresów życia, o którym mówi Solon w innej elegii.

Nie wiem, czy przytoczone prozaiczne przekłady zachęcą kogokolwiek do studiowania starogreckiej poezji elegijnej. Na pewno jednak i te urywki dowodzą, jak nieznacznie zmieniła się nasza psychika w ciągu tylu stuleci. A jeśli wolno wyrazić jeszcze jakieś życzenie, to należy prosić bogów nieśmiertelnych, aby za dwa i pół tysiąca lat zachowały się przynajmniej fragmenty, drobne urywki dzieł poetów naszego wieku – Herberta i Różewicza, Szymborskiej i Miłosza; aby cieszyły się takim samym szacunkiem, były wciąż tak samo pieczołowicie wydawane i wnikliwie interpretowane, jak szczątki twórczości greckich elegików; i aby ktoś przeglądając je mógł powtórzyć te same słowa: Jak nieznacznie zmieniła się nasza psychika w ciągu tylu stuleci!

Bogini Demokracja

Tytuł ten wcale nie jest przenośnią. Nie stworzyłem tego pojęcia, nie wymyśliłem go szukając jakiegoś określenia symbolicznego i podniosłego. Naprawdę istniał niegdyś kraj, w którym Demokracja odbierała pełną cześć jako istota niebiańska w oficjalnym panteonie bóstw i miała swoje osobne miejsce kultowe, a także posągi ją wyobrażające i kapłanów. Przypominam to wszystko, oczywiście, nie w tym celu, aby postulować odnowienie pradawnego kultu pogańskiego. Czego przecież jak czego, ale wszelkich bożyszczy o różnych nazwach, imionach, zawołaniach wcale nam obecnie nie brakuje w żadnej sferze naszego życia społecznego, a odpowiednie kultury raczej się mnożą, niż wymierają. Sądzę jednak, że dobry to początek, jeśli przywoła się na patronkę rozważań o demokracji – boską Demokrację. Dobry, a zarazem znamienity, skłaniający do pewnych refleksji. Zresztą, tak często używamy i nadużywamy tej nazwy – demokracja – oraz pochodnych od niej, że samo pojawienie się terminu w formie imienia własnego może działać jakby odświeżająco.

Najpierw jednak pytania proste i bardzo konkretne. Skąd wzięła się ta nazwa, kiedy się pojawia? Czy rozumiemy ją tak samo jak ci, co stworzyli ów fakt ustrojowy, który miała oznaczać? Jest przecież oczywiste, że właśnie ci, co powołali demokrację do bytu w dziedzinie polityki i języka, mogą pomóc nam w znalezieniu odpowiedzi. Jak w każdej sprawie znaczącej w naszym kręgu kulturowym, musimy się zwrócić po naukę i wskazówkę ku źródłom naszego życia duchowego, to jest ku starożytności. Wysłuchajmy więc najpierw głosu człowieka sprzed dwudziestu pięciu wieków. Głosu kogoś, kto był nie tylko świadkiem, lecz także współtwórcą fenomenu historycznego zwanego demokracją, czyli ludowładztwem. Chodzi o słowa Ateńczyka z drugiej połowy piątego stulecia p.n.e.

„Nasz ustrój polityczny nie jest naśladownictwem praw obcych, a my sami raczej jesteśmy wzorem dla innych niż inni dla nas. Nazywa się ten ustrój demokracją, ponieważ rząd zależy od większości, a nie od mniejszości. W sporach prywatnych każdy nasz obywatel jest równy w obliczu prawa. Jeśli zaś chodzi o poważanie, to jednostkę ceni się nie ze względu na jej przynależność do jakiejś warstwy, lecz ze względu na zalety, jakimi sama się wyróżnia. Nikomu też, kto może przysłużyć się ojczyźnie, nie przeszkadza ani ubóstwo, ani niskie urodzenie w osiągnięciu godności. W naszym życiu państwowym kierujemy się zasadą wolności, a w życiu prywatnym nie wglądamy z podejrzliwą ciekawością w zachowanie się współobywateli. Nie odnosimy się z niechęcią do sąsiada, jeśli robi to, co mu przyjemne, i nie rzucamy nań owych wzgardliwych wejrzeń, które wprawdzie nie wyrządzają szkody, ale przecież ranią. Wyrozumiali więc w życiu prywatnym, szanujemy prawa w życiu społecznym. Jesteśmy posłuszni każdorazowej władzy i prawom, zwłaszcza tym niepisanim, które bronią krzywdzonych i których przekroczenie przynosi powszechną hańbę.

Stworzyliśmy też umyślnie najwięcej sposobność do wypoczynku po pracy, urządzając w ciągu całego roku igrzyska i uroczystości religijne oraz pięknie zdobiąc nasze domy, aby ich codzienny urok rozpraszał troski.

Także w sprawach wojennych wielce różnimy się od nieprzyjaciół. Miasto nasze stoi otworem dla wszystkich. Nie zdarza się, abyśmy wydalali cudzoziemców i nie pozwalali komukolwiek uczyć się u nas albo patrzeć na coś, co mogłoby przydać się naszym wrogom. Mamy bowiem zaufanie nie tyle do zbrojeń i podstępów wojennych, ile do własnej odwagi w

działaniu. Inni przez twarde i pełne trudów wychowanie i ćwiczenia już we wczesnej młodości dochodzą do męskiej sprawności, my zaś, żyjąc swobodniej, z nie mniejszą odwagą stawiamy czoło różnym niebezpieczeństwom.

Kochamy piękno, ale z prostotą, kochamy wiedzę, ale bez zniewieściałości, bogactwem się nie chwalamy, lecz używamy go w potrzebie. Przyznanie się do ubóstwa nie przynosi ujmy nikomu, jednakże jest ujmą, jeśli ktoś nie stara się z niego wydobyć. U nas ci sami ludzie, którzy zajmują się sprawami państwa, zajmują się także swoimi osobistymi, a ci, którzy wykonują jakieś rzemiosło, znają się również na polityce. Jesteśmy jedynym narodem, który jednostkę nie interesującą się życiem państwa uważa nie za bierną, lecz za nieużyteczną.

Twierdzę, że państwo nasze jako całość jest szkołą wychowania Hellady. Właśnie u nas każda jednostka może najswobodniej przystosowywać się do najrozmaitszych form życia i stać się w ten sposób samodzielnym człowiekiem”.

Czyje to słowa, kiedy zostały wypowiedziane? Odpowiedź jest znana. W roku 430 p.n.e. urządzano – w Atenach pogrzeb żołnierzy poległych w bitwach pierwszego roku ze Spartą. Żałobna ceremonia odbyła się na koszt państwa, a zbiorowa mogiła stanęła na państwowym cmentarzu zasłużonych za Bramą Dypilońską, przy drodze do gaju Akademos. Mowę wygłosił sam Perykles, przywódca stronnictwa demokratycznego i państwa, współtwórca ustroju. Była to mowa poważna, lecz bez łzawego smętku. Wielki mąż stanu wyzyskał uroczystość, aby przedstawić świetność i osiągnięcia państwa, któremu poświęcili swe życie młodzi ludzie. Pragnął w ten sposób usprawiedliwić obecną wojnę – a przyczynił się w dużej mierze do jej rozpętania – oraz natchnąć słuchaczy dumą z ojczyzny i wiarą w jej ostateczne zwycięstwo. Wśród tłumu zgromadzonych znajdował się również młody arystokrata i polityk Tukidydes. Gdy po wielu latach, już na wygnaniu, przystąpił do opisywania dziejów wielkiej wojny – dla ówczesnych ludzi wojny światowej, ogarnęła bowiem wprost lub pośrednio cały znany im świat cywilizowany – w drugiej księdze swego dzieła odtworzył słowa Peryklesa, tak jak je zapamiętał, ale zarazem swobodnie rozwijając i stylizując, zgodnie z zasadami antycznego pisarstwa. Przytoczone fragmenty pochodzą z przekładu prof. Kazimierza Kumanieckiego, z drobnymi wszakże zmianami.

W niemal wszystkich pracach o Atenach, o wieku Peryklesa, o starożytnej demokracji właśnie tej mowie przyznaje się miejsce poczesne, podając i objaśniając przynajmniej jej urywki. I słusznie. Choć powstała ona w szczególnych okolicznościach, a przekazana została tylko pośrednio i nie może uchodzić za całkowicie wierne powtórzenie wywodów Peryklesa, i choć wreszcie tak wyraźne są jej aktualne cele propagandowe, ma jednak wartość bezcenną. I to nie tylko ze względu na swoją wspaniałą formę artystyczną, porównywalną – i porównywaną

– z arcydziełami sztuki współczesnej, np. z fryzem partenońskim. Jest to przede wszystkim wiecznie żywe i autentyczne świadectwo tego, jak sami Ateńczycy widzieli i oceniali swój ustrój, w czym dopatrywali się jego istoty oraz różnic w stosunku do kształtu innych państw. Powie ktoś, że Perykles przedstawił ideał ustroju demokratycznego, a nie tę demokrację, jaka rzeczywiście funkcjonowała w Atenach. To prawda. Ale dla nas ogromnie ważne i pouczające jest samo wskazanie przez człowieka sprzed tylu wieków, co uważa za ideał i sens ludowładztwa. Albowiem z pewnego punktu widzenia nie to się liczy, czy ideał w pełni odpowiada rzeczywistości – który zresztą i kiedy odpowiadał lub odpowiada? – lecz to, że zdawano sobie sprawę lub po prostu tylko marzono, jak być powinno. Niezmierne znaczenie ma również sam fakt nakreślenia idealnego modelu. Ten bowiem natychmiast staje się samoistnym bytem, działa i promieniuje przez wieki, każąc wszystkim kolejnym pokoleniom dokła-

dać starań, aby jednak wcielić go w życie w sposób możliwie pełny i doskonały.

Ktokolwiek przeczyta, choćby tylko pobieżnie, mowę Peryklesa, musi przyznać: ideał demokracji sprzed dwudziestu pięciu wieków pozostaje wciąż jeszcze naszym ideałem. Po tylu stuleciach! Równość wobec prawa wszystkich obywateli, swoboda w życiu publicznym i prywatnym, wyrozumiałość dla wszelkich poglądów i zainteresowań, czyli tolerancja, jaw-

ność i otwartość także wobec cudzoziemców, poczucie współodpowiedzialności za losy państwa zarówno rządzących, jak i rządzonych – oto cechy prawdziwego ludowładztwa, które są tak samo drogie nam, jak były starożytnym Ateńczykom. A raczej: to są te cechy, które musi posiadać i faktycznie realizować każdy ustrój pragnący zasłużyć na szczytne miano demokracji. To prawda, że w każdej epoce realia konkretnych sytuacji, inercja wynikająca z przyzwyczajęń, ograniczoność horyzontów mas i jednostek, nacisk zagrożeń z zewnątrz, a wreszcie zwykłe ludzkie przywary, ambicje, przyziemne interesy, chciwość i swarliwość zmieniają ów wzniosły ideał, wypaczając jego najszlachetniejsze cechy. Ale ideał trwa.

Nie trzeba tu chyba przypominać, jak istotne i różnorodne były ograniczenia ateńskiej demokracji. Była ona przecież udziałem i przywilejem tylko wolnych obywateli, mężczyzn. Dawiała zawsze pewną faktyczną przewagę – dzięki mechanizmowi głosowań – warstwom zamożnym i średnim, a w sytuacjach krytycznych łatwo wyrodniała, przeradzając się w rządy pospólstwa, czyli ochlokrację. Pełny zaś rozkwit demokracji w Atenach był w gruncie rzeczy krótkotrwały, obejmując życie tylko kilku pokoleń obywateli tego państewka w wieku piątym i czwartym p.n.e. Jakież to znikomy ułamek dziejów całej ludzkości – i jak ogromnie ważny dla dalszych jej losów! Jakież przemożny wpływ tego, co wówczas się stało w najróżniejszych dziedzinach życia społecznego, na istotę i kształt europejskiej kultury aż po dzień dzisiejszy! Wystarczy uświadomić sobie te fakty, aby pojąć, jak ogromnym dobrem dla każdego kraju i ludu jest demokracja – nawet ta ograniczona realiami właściwymi każdej epoce, nawet ta daleka od ideału.

W dalszej części swej mowy Perykles wskazywał, że potęga Aten najlepiej dowodzi wartości i wyższości systemu ludowładztwa. Wołał więc: „Państwo nasze dlatego budzi podziw i szacunek, że swoją odwagą zmusiliśmy wszystkie morza i lądy, aby stały się nam dostępne, i że wszędzie postawiliśmy wieczne pomniki klęsk, któreśmy zadali, i dobrodziejstw, któreśmy wyświadczyli”. Ale owa potęga polityczna i chwała militarna Aten miały być bardzo krótkotrwałe. Wojna, która ciągnęła się przez lat 27, przyniosła po straszliwych stratach ostateczną klęskę i kapitulację. A więc pod tym względem Perykles mylił się, i to bardzo. Brutalna siła, przewaga zbrojeń i oręża nie muszą być i nie bywają prostą pochodną demokratycznego systemu rządów. Przeciwnie. Państwo rządzone autokratycznie, twardą ręką jednego pana, niejako z natury rzeczy góruje wojskowo nad ludowładztwem, gdzie każde stronnictwo ma odrębny program i swój punkt widzenia, decyzje zaś, nawet w kwestiach pilnych i oczywistych, zapadają dopiero po długich, często jałowych debatach, plany i przygotowania obronne są całkowicie jawne, a względem opinii publicznej i na głosy wyborców nie pozwala czynić poważniejszych nakładów zbrojeniowych, te bowiem wymagają zwiększenia podatków, tymczasem demokratyczna większość nigdy na to nie zezwala. Tak właśnie w wieku V demokracja Ateny była wojskowo słabsza od oligarchicznej Sparty, a w wieku IV – od monarchicznej Macedonii. Przewaga więc i owocność ustroju zaznacza się naprawdę nie w tej płaszczyźnie.

Właściwą mocą demokracji jest i było to, że pozwala na pełny rozwój aktywności gospodarczej, pobudza przedsiębiorczość i wynalazczość, nade wszystko zaś wyzwala twórczość we wszystkich dziedzinach kultury. Za najbardziej przekonujący dowód prawdziwości tych twierdzeń niech posłuży tylko proste zestawienie: oto otwarte, demokratyczne Ateny, macierz europejskiej kultury z jednej strony, z drugiej zaś zamknięta oligarchiczna Sparta, koszarowa pustynia, która nie dała światu nic, absolutnie nic, jeśli chodzi o naukę, literaturę, sztukę. A właśnie Sparta stanowiła przez wszystkie wieki ideał polityków o dyktatorskich zapędach, jak również wielu filozofów marzących o państwie ukonstytuowanym racjonalnie i dobrze zharmonizowanym.

Mówiąc o antycznej demokracji, myślimy niejako automatycznie i przede wszystkim o Atenach. Jest to oczywiście usprawiedliwione zarówno dziejową rolą tego państwa, jak też wspaniałą, bogatą dokumentacją jego historii, ustroju, zasług. Nie należy jednak zapominać,

że demokracja zrodziła się już wcześniej, w innych miastach greckich, zwłaszcza tych u wybrzeży Azji Mniejszej. I nieprzypadkowo właśnie tam miała swe początki, owe bowiem państwa opierały swój byt i znaczenie na handlu i żegludze, były otwarte na wpływy i podniety płynące z wszystkich stron. Musiały też reagować szybko na zmienną grę czynników politycznych i gospodarczych, a jako organizmy stosunkowo drobne i słabe – w porównaniu z despotami orientalnymi – swoją odporność i żywotność czerpały głównie z pomysłowej aktywności jednostek. Indywidualizm, czyli swobodny i możliwie pełny rozwój umiejętności tkwiących w każdym obywatelu dla dobra społeczności, okazał się wspaniałą bronią w walce o byt ogółu.

I jeszcze jedna ważna sprawa. Przywykliśmy do terminu demokracja. Wiemy, że jest on złożony z dwóch wyrazów greckich: „demos”, czyli lud, i „kratia”, czyli władza, oraz że po polsku można go bardzo wiernie oddać jako ludowładztwo. Rzadko jednak przychodzi nam na myśl pytanie, kiedy właściwie pojawił się ów termin i czy nie używano w starożytności innych określeń na oznaczenie tego typu ustroju. A sprawa ta, pozornie bardzo filologiczna, jest wysoce pouczająca z różnych względów. Przede wszystkim więc należy wskazać, że wyraz „demokracja” pojawia się w zachowanych zabytkach piśmiennictwa greckiego dość późno, bo dopiero u schyłku pierwszej połowy wieku V p.n.e., podczas gdy ustrój ów zarówno w Atenach, jak też w innych miastach rozwijał się znacznie wcześniej. Jakże go więc nazywano? Czy to tylko przypadek, że termin „demokracja” pojawia się dopiero tuż przed rokiem

450 p.n.e.? Otóż nie. Były i wcześniej, i potem w obiegu oficjalnym oraz potocznym dwa inne terminy dla nas bardzo znamienne, wskazują bowiem, co uważano wówczas za najistotniejsze dla prawdziwego ludowładztwa. Brzmiały one „isonomia” i „isegoria”. Pierwszy ła- two przełożyć: równoprawie, a więc równe i to samo prawo dla wszystkich. Drugi trzeba w polszczyźnie oddać omownie: jednakowe dla wszystkich prawo zabierania głosu. Byli nawet w starożytności tacy, którzy uważali, że to lepsze określenie od wyrazu „demokracja”, ten bowiem kładzie zbyt nacisk na rządy tylko jednego, choćby najliczniejszego, odłamu społeczeństwa; a chodzi przecież o to, aby zapewnić wszystkim obywatelom jednakowe prawo decydowania o sprawach państwa, co najlepiej gwarantuje pełna swoboda głosu. Zwyciężyła jednak – demokracja. I ona to, a raczej jej pojęcie, doczekała się, jak przypomniałem na początku, swego kultu, czyli posągu i kapłanów, co poświadczane jest w Atenach napisami. Ale pochodzą one z okresu, kiedy przychodził już faktyczny zmierzch demokracji pojętej jako isonomia i isegoria. Kultury bowiem są zawsze namiastką lub przeżytkiem czegoś, co naprawdę istnieć już przestaje.

Mądrość polityczna Rzymian

Kto Rzym zwiedza, powinien ujrzeć i kontemplować nie tylko to, co najbardziej znane i efektowne, a więc Forum Romanum, bazylikę św. Piotra, piękne place, wspaniałe kościoły, bogate muzea. Radzę udać się na wzgórze Palatynu, gdzie niegdyś wznosiły się świetne pałace cesarów – stąd zresztą pochodzi sam wyraz „pałac” – a obecnie sterczą tylko nędzne ruiny. Ale w części północnej wzgórza, które swym kształtem, obszarem i wysokością porównywalne jest do wawelskiego, znajduje się niezbyt głęboki wykop, który odsłania niewielką po-wierzchnię skały rodzimej, pofałdowanej i jakby podziurawionej. Nic tu niezwykle, nic imponującego, pozornie nic godnego uwagi. Lecz mylne to wrażenie. W istocie bowiem stoimy przed jednym z najdziwniejszych miejsc ludzkiej historii; tak czcigodnym, że musi pobudzić do refleksji każdego myślącego człowieka. Oto owych kilkadziesiąt metrów kwa-dratowych szarej skały to prawdziwa kolebka Rzymu – miasta, państwa, imperium, symbolu. Tak przynajmniej wierzyli i twierdzili starożytni, nazywając właśnie to miejsce chatą Ro-mulusa. Miał to być najstarszy załążek grodu, noszący miano Roma quadrata, czyli Rzym kwadratowy. Stąd, niby z maleńkiego ziarna – porównanie to często używane i nadużywane, ale przecież w tym wypadku wyjątkowo trafne i wręcz się narzucające – wyrosło potężne drzewo państwa, które przez kilka wieków obejmowało w swych granicach wszystkie kraje wokół Morza Śródziemnego, po raz pierwszy i jak dotąd jedyny w dziejach ludzkości. Tu, dokładnie tu, wzięło swój początek ogromne imperium, jedno z największych i najtrwalszych na tym globie. Tu zrodził się organizm, który – choć już nie istnieje politycznie – żyje prze-cież dobrze zakorzeniony w świadomości i dziedzictwie kulturowym wszystkich Europejczyków. To kolebka naszej duchowej ojczyzny.

Czy mamy ufać Rzymianom? Czy naprawdę patrzymy na ślady chaty mitycznego Romulusa? Oczywiście, nie należy brać zbyt dosłownie owych rzymskich legend i tradycji. Ten, kto chatę w tym miejscu Palatynu zbudował – zwie się ono Cermalus – na pewno nie nazywał się Romulus, bo imię to sztuczne, zmyślane, jak w naszych podaniach Lech, Czech i Rus a ponad wszelką wątpliwość nie on był założycielem miasta. Ale chaty rzeczywiście stały tu w czasach pradawnych, bo w wiekach X–VIII p.n.e. Nie było to zresztą jedyne tak stare osiedle na terenie przyszłego Rzymu; podobne wznosiły się w innych punktach jako maleńkie wioseczki, zarówno na Palatynie, jak i na pozostałych wzgórzach, a każda wioska składała się zaledwie z kilku prymitywnych chat.

Wygląd i konstrukcję owych chat możemy odtworzyć wcale dokładnie dzięki zachowanym urnom, w których składano popioły ich mieszkańców.

Jak to się dzieje dość często w wielu krajach i epokach, urny, czyli domki zmarłych, oddają wiernie kształt domostw, w jakich bytowali żywi. Były to budowle okrągławe, dachy miały kryte słomą, stożkowate albo dwuspadowe, strome, z otworami na dym, kominów bo-wiem oczywiście nie znano. Zewnętrzne ściany pleciono z trzciny i wylepiano gliną oraz wzmocniano palami, których ostre końce osadzano w skale rodzimej, tutaj dość miękkiej. Wgłębienia w wykopie na Palatynie to właśnie ślady po palach. Ubogie było to wszystko, niezdarne, prawdziwie pasterskie.

Ale zapyta ktoś, dlaczego właśnie obecnie przypominam to niepozorne miejsce, mające swą wymowę tylko dla archeologów i historyków? Przeżywamy przecież chwile tak drama-

tyczne, tyle mamy drobnych a uciążliwych kłopotów każdego dnia, zarazem wciąż ocieramy się o problemy wielkiej historii, mogące prawdziwie zdecydować o losach nie tylko naszego kraju, lecz chyba nawet świata! Czy więc zaprzatanie uwagi w takiej sytuacji sprawą chaty Romulusa, jakichś zagłębień w skale, urn i lepianek nie jest czymś w rodzaju myślowego luksusu, nie jest zabawką intelektualną i błahostką, czy też raczej ciekawostką – miłą, lecz przydatną raczej w innych, mniej interesujących czasach? Otóż nie, i to z wielu powodów. Człowiek prawdziwie kulturalny właśnie tym się cechuje, że wypadki doczesne nigdy tak go nie zgnębią, by nie znalazł nieco czasu dla zainteresowań oderwanych od spraw bieżących i pozornie nieważnych, niepotrzebnych. Ponadto takie zainteresowania odgrywają w naszym życiu psychicznym ogromną rolę jako oddech i odejście od codzienności, zmiana scenerii.

Urodziny Rzymu to tradycja w tym mieście stale i nieprzerwanie podtrzymywana, a już to samo stanowi fakt niezwykły – i krzepiący. Zmieniło się wszystko na świecie, państwo powstało i upadło, ale pamięć o prapoczątku osady trwa. Chodzi zwłaszcza o datę, a ściślej – o dzień. Rzymianie mianowicie zgodnie utrzymywali, że ich miasto założono dokładnie w dniu 21 kwietnia. Rok podawali różny – 753 p.n.e., najczęściej dziś spotykany w różnych opracowaniach, to tylko jedna z dat przyjmowanych w starożytności – ale co do dnia nie mieli nigdy najmniejszych wątpliwości: Romulus wytyczył święte granice przyszłego miasta i dokonał odpowiednich obrzędów 21 kwietnia. I my nie możemy zaprzeczyć, że ten, kto zakładał Rzym, mógł dokonać tego właśnie w dniu, który odtąd obchodzono corocznie przez wieki jako święto. W pewnym sensie obchodzi się je w Wiecznym Mieście także obecnie jako *Na tale di Roma – Urodziny Rzymu*. Natomiast rok założenia nie jest znany i w tej kwestii zdania uczonych są wciąż odmienne. Brzmi to może paradoksalnie, ale w pamięci indywidualnej, rodzinnej, społecznej takie wypadki zdarzają się wcale często: zna się, pamięta i świętuje rocznicę dnia pewnych wydarzeń, natomiast rok, w którym to się stało, ulega zatarciu w miarę upływu czasu.

Są też i inne przyczyny, dla których warto o powstaniu Rzymu stale przypominać. Staralem się pokazać, że same ślady ubogiej, prymitywnej chaty na Palatynie, jednej z tych, które stanowiły prapoczątek Rzymu, muszą pobudzać do refleksji każdego, kto zdaje sobie sprawę, jak potężnym państwem stał się Rzym później. I oto pytanie: co do tego doprowadziło, co dało Rzymowi jego niesłychaną wielkość? Można, oczywiście, doszukiwać się wielu przyczyn, bo też na pewno w rozwoju miasta i państwa współdziałało mnóstwo rozmaitych. A więc samo położenie w miejscu, gdzie krzyżowały się dwa ważne szlaki: jeden wiodący wzdłuż Tybru od jego ujścia w głąb półwyspu i drugi poprzez rzekę. Dalej fakt, że właśnie tu stykały się z sobą różne ludy: Latynowie, Sabinowie, Etruskowie. Ale jaką rolę w tej karierze Rzymu tak czy owak trzeba przyznać samym jego mieszkańcom, ich specyficznym uzdolnieniom, cechom, talentom. Krótko mówiąc, ich mądrości politycznej – i tej wrodzonej, i tej nabytej drogą walk, prób, niepowodzeń i sukcesów w ciągu wieków. Oto przykłady.

Ponieważ dla funkcjonowania każdego państwa ogromnie ważny jest system wyższych urzędów, przypomnijmy w największym skrócie, jak wyglądał on w czasach pełnego rozkwitu republiki rzymskiej, a raczej, by nie wdawać się w kwestie zbyt szczegółowe, jakie były jego cechy najistotniejsze, wykształcone w ciągu wieków dzielących republikę od prymitywu wspólnoty wioskowej kilku chałup na Palatynie.

Wszystkie rzymskie urzędy były wybieralne. I to w głosowaniu bezpośrednim, co oznacza, że obywatele oddawali głosy wprost na danego kandydata, a nie na elektorów. Urzędy można było piastować tylko w określonej kolejności, od najniższego rangą, czyli od kwestury, do najwyższego, to jest do konsulatu. Kto chciał robić karierę polityczną, musiał przechodzić kolejno stopniami w górę. Nie mógł owych stopni przeskakiwać, ale też żadnego nie wolno było powtarzać. Każdy więc urząd – poza bardzo rzadkimi wyjątkami i niezwykłymi sytuacjami – piastowało się raz i tylko raz w życiu, przez jedną kadencję. A te były krótkie, bo tylko roczne. Co więcej, pomiędzy piastowaniem poszczególnych urzędów musiały być prze-

rwy, nieraz kilkuletnie. Urzędy uchodziły za honorowe, nie pobierało się w zasadzie żadnych poborów. Traktowano ich piastowanie jako służbę publiczną, jako ofiarę na rzecz społeczności. Taka przynajmniej obowiązywała zasada idealna, choć u schyłku republiki praktyka wyglądała zupełnie inaczej, urzędy bowiem stały się drogą do szybkiego zbierania zawrotnych bogactw, zwłaszcza kosztem prowincji. Ale też to właśnie w dużym stopniu przyczyniło się do zwyrodnienia i upadku dawnego ustroju. Wszystkie urzędy były kolegialne, to znaczy piastowało je równocześnie i z równymi kompetencjami przynajmniej dwóch obywateli, wzajem się kontrolując i ograniczając swe ambicje. Nie dotyczyło to, oczywiście, dyktatury, ustanawianej wszakże tylko w chwilach wyjątkowych i na czas określony – sześciu miesięcy. I wreszcie, urzędnicy byli odpowiedzialni za swoją działalność po upływie kadencji.

Trybunat ludowy. Sama nazwa tego urzędu stała się czymś symbolicznym w naszym kręgu kulturowym. Nawijamy do niej w różnych kontekstach, a zwłaszcza wtedy, gdy budzą się w społeczeństwie siły i prądy o charakterze demokratycznym, opozycyjnym lub wręcz rewolucyjnym. I słusznie, ponieważ trybunat plebsu był w ustroju i w dziejach republiki rzymskiej instytucją właśnie o takim znaczeniu. Tyle wystarczy, by na co dzień, zwłaszcza w publicystyce, posługiwać się tym określeniem prawidłowo, troskę natomiast o szczegóły i konkrety pozostawia się najchętniej historykom. A ci mają rzeczywiście sporo do powiedzenia w tej kwestii, chodzi bowiem o zjawisko prawdziwie wyjątkowe – i to nie tylko w skali świata starożytnego – a zarazem bardzo pouczające, także dla współczesności. Może więc będzie użyteczne przedstawienie pewnych faktów oraz prób ich interpretacji.

Historycy starożytni, a zwłaszcza Liwiusz i Dionizjos z Halikarnasu, opowiadają szeroko i barwnie, jak to w roku 494 p.n.e. (lub około tego roku) część uzbrojonych, bo właśnie powołanych do służby wojskowej plebejuszów, odeszła z miasta na Mons Sacer, czyli na Górę Świętą. Trwa spór, czy chodzi tu o wzgórze położone na północ od Rzymu, za rzeką Anio, czy też po prostu o wzgórze Awentyn. To odejście zwie się tradycyjnie pierwszą secesją, czyli odstąpieniem, oddzieleniem się plebsu od społeczności. A przez plebs rozumiano wtedy obywateli pozbawionych praw obywatelskich, obciążonych wszakże wszystkimi obowiązkami. Było to więc rozróżnienie raczej ustrojowe i prawne niż majątkowe – rozróżnienie w stosunku do patrycjuszów posiadających pełnię przywilejów.

Plebs powrócił dopiero dzięki perswazjom Agryppy Meneniusza, cieszącego się zaufaniem obu warstw, był bowiem pochodzenia plebejskiego, wchodził jednak w skład senatu. Jego opowieść o tym, jak to zbuntowały się różne części i organa ciała ludzkiego przeciw żółdowi twierdząc, że tylko one pracują, on natomiast nic nie robi korzystając tylko z ich działalności i trudu, jest oczywiście zmyślona w czasach późniejszych, zachowuje wszakże zawsze swą wartość jako wyraz refleksji nad współzależnością społeczną; a zależność warstw i grup wzajem od siebie wzrasta w miarę rozwoju organizmu i specjalizowania się różnych funkcji. Łatwo też wyobrazić sobie, że gdyby Agryppa Meneniusz zmartwychwstał, miałby i nam coś do powiedzenia!

Powróćmy jednak do wydarzeń roku 494. Postanowiono wówczas, że odtąd plebs będzie miał swych własnych urzędników, i to nietykalnych, to jest takich, którzy podczas pełnienia swych funkcji nie będą podlegali władzom, stojąc w pewnym sensie ponad prawem. W naszym prozaicznym języku powiedzielibyśmy oczywiście, że nietykalność to po prostu immunitet, jaki np. przysługuje posłom. Nie zapominajmy jednak, że jednym ze źródeł powstania koncepcji tego immunitetu jest właśnie starorzymski pomysł, by dać trybunom ludu przywilej świętości, „sacrosanctitas”, co z kolei miało swoje korzenie w jeszcze starszym pojęciu tabu religijnego. To prawdziwie zdumiewające i zachwycające, jak wiążą się z sobą i wciąż odżywają w nowej postaci, pod zmienionymi imionami, tradycje wieków i prapoczątków!

Jakie były zadania trybunów? Mieli nieść pomoc, i to natychmiastową, konkretną, gdyby urzędnik państwowy wyrządził plebejuszowi krzywdę. Mogli zakładać veto przeciw ustawom

i zarządzeniom, które uważali za szkodliwe dla plebsu. Przysługiwało im wreszcie prawo zwoływania zgromadzeń tej klasy obywateli. Zastrzeżono także, iż żaden patrycjusz nigdy nie będzie piastował trybunatu.

Nasze źródła nie są zgodne co do tego, ilu było pierwszych trybunów. Według jednych tylko dwóch, według innych – czterech, a według jeszcze innych – pięciu. Później, to jest w czasach w pełni historycznych, kolegium trybunów ludu liczyło zawsze dziesięciu członków. Swoją roczną kadencję rozpoczynało ono w dniu 10 grudnia, w odróżnieniu od urzędników państwowych, a zwłaszcza konsulów, którzy obejmowali godność najpierw z początkiem marca, a potem 1 stycznia; i dlatego ten właśnie dzień, 1 stycznia, jest również dla nas początkiem nowego roku – tylko dlatego, innej racji nie ma.

Fakt, że w jakimś państwie powstaje oficjalnie urząd służący programowo interesom wyłącznie jednej warstwy społecznej, i to właśnie niższej, przy tym dostępny przedstawicielom tylko tej warstwy, jest czymś prawdziwie niezwykłym. Stąd wciąż wysuwane i rozstrząsane pytania: jaka geneza takiej instytucji, skąd zrodził się pomysł, co posłużyło za punkt wyjścia?

Uczeni schyłku wieku XIX i początków XX powoływali się chętnie na okoliczność, że nazwa „tribunus” wywodzi się z całą oczywistością od wyrazu „tribus”, czyli okręg, dział. Wskazywali również, że według niektórych źródeł pierwotnie było czterech trybunów, a więc właśnie tylu, ile istniało w Rzymie tribus – dzielnic miejskich. Utrzymywali, że chodziło o urzędników początkowo stojących na czele tych miejskich okręgów administracyjnych, a po- nieważ przeważała tam ludność plebejska, naturalną kolejną rzeczą przekształcili się oni w reprezentantów plebsu w ogóle. Lecz przeciw tej pozornie przekonującej tezie można wysunąć poważne zastrzeżenia. Przede wszystkim więc to, że w czasach historycznych trybunowie nigdy nie zajmowali się żadnymi sprawami administracyjnymi żadnej tribus i z żadną też nie byli ściślej związani. Jest poza tym wysoce wątpliwe, czy istotnie było ich początkowo

właśnie czterech.

Z tych oraz innych względów obecnie przyjmuje się dość powszechnie inną tezę, opartą na uwadze rzymskiego pisarza Warrona w jego dziele O języku łacińskim. Pisze on tam dosłownie: „nazwa trybunów plebsu stąd, że pierwotnie powoływano ich spośród trybunów wojskowych”. Jeśli tak, to stanowiliby oni odpowiednik oficerów dowodzących oddziałami w legionach, a zwanych przez wszystkie wieki dziejów Rzymu „tribuni mihtares”. Przemawia za taką tezą również opowieść o secesji ludu podkreślająca, że na Górę Świętą szły uzbrojone oddziały ludu i że następnie, gdy powoływano trybunów, skłócone stany zaprzysięgły świętą ustawę, „lex sacra”. Otóż ta ostatnia stanowiła rodzaj pradawnego rytuału, wspólnego wielu ludom pradawnej Italii: młodzież podczas wyprawy wojennej wiązała się najświętszą przysięgą wspólnej walki na śmierć i życie, kto by zaś zdradził lub odstąpił, musiał zapłacić głowę. W tym wypadku najpierw plebs, a potem również patrycjusze złożyli taką przysięgę w obronie trybunów ludu; stąd ich nietykalność.

Dzięki tej tarczy mogli sprawować swe funkcje jako rodzaj legalnej, urzędowej, jawnej opozycji. Jest to dowód wielkiej mądrości politycznej już pierwszych pokoleń Rzymian, a zwłaszcza warstwy patrycjatu, wówczas decydującej. Okazała ona, że potrafi postawić interes państwa jako całości nad wąsko i płytko widzianą korzyścią tylko swojej warstwy. A przecież byli to ludzie żyjący w prymitywnych warunkach, w dużej części na pewno niepiśmienni, a chaty wielu ich współobywateli chyba niewiele się różniły od tych, które kilka wieków wcześniej stanęły na Palatynie jako pierwsze osiedle.

Na pewno zbyt jaskrawe jest powiedzenie Teodora Mommsena, tak sławnego historyka Rzymu i jego ustroju, że trybunat stanowił rodzaj permanentnej rewolucji w państwie rzymskim. Przyznać jednak trzeba, że to właśnie trybunowie w ciągu wieków ostro piętnowali przeróżne nadużycia władzy jako rzecznicy sprawy najszerzych warstw społecznych. W gruncie rzeczy tylko im w Rzymie przysługiwała pełna, niczym nie skrzepowana swoboda publicznego wypowiedzenia poglądów. Zwykły obywatel nie miał prawa zabierania głosu na-

wet podczas zgromadzeń – mógł tylko przyjąć lub odrzucić proponowany wniosek albo kandydaturę bez dyskusji, senatorzy zaś przedstawiali swe zdania w trakcie posiedzeń tylko imiennie wezwani przez przewodniczącego, to jest konsula lub pretora, a w swych wypowiedziach byli skrepowani samym faktem przynależności do swego stanu.

Lecz cóż za ironia losu! Trybunat, podobnie jak większość instytucji republikańskich, przetrwał upadek republiki, ale po to tylko, aby stać się formalnie jedną z podpór nowego ustroju – cesarstwa. Każdorazowy bowiem cesarz rzymski posiadał zarazem władzę, czyli

„potestas”, trybuna plebsu i właśnie według lat jej piastowania liczył lata swego panowania, co określało się zwrotem: „gdy miał władzę trybuna po raz ten a ten”. Był więc nietykalny, uosabiał majestat ludu rzymskiego, miał prawo sprzeciwu wobec wszelkich uchwał, ustaw, zarządzeń. Tak w ciągu wieków zmieniało swoją treść i swój sens to samo zjawisko ustrojowe

– a nazwa trwała niezmiennie. Pouczające.

Może ktoś twierdzić, że system sprzed dwudziestu wieków niczego nie może nas nauczyć, skoro żyjemy w warunkach całkowicie odmiennych. Czy na pewno? Nie chodzi przecież o niewolnicze przenoszenie i naśladowanie starożytnych wzorów, ale o zastanowienie się, czy i jak dalece te lub inne elementy tamtych rozwiązań mogłyby nam pomóc w naszych poszukiwaniach. Przecież i my dyskutujemy o sprawie powtarzania kadencji, o urzędach wyższych jako służbie społecznej, o odpowiedzialności, o zasadzie faktycznej kolegialności, o potrzebie konstruktywnej, jawnej krytyki. Czy byłby to wielki wstyd iść choćby w części i z odpowiednimi modyfikacjami za głosem starych, mądrych Rzymian?

Rzymski miesiąc maj

Wiosenny, uroczy, młodzieńczy, radosny, kwitnący i pachnący – ale zarazem dostojny, bo starożytny, antyczny, rzymski. W naszym polskim kalendarzu jeszcze tylko jeden miesiąc może się równać z nim wiekiem: marzec. Chodzi oczywiście o sprawę imion. Te dwa, wy- łącznie te dwa miesiące mają nazwy wywodzące się z łaciny, w którym to języku ich odpowiednikami są Martius i Majus. Jak powszechnie wiadomo, nasi przodkowie, zwłaszcza ci bardziej wykształceni, niegdyś chętnie używali łacińskich nazw miesięcy w pismach urzędowych i nawet w prywatnej korespondencji, dodawało to bowiem wypowiedziom splendoru; potem jednak polskie imiona wyparły z kalendarza tamte, wzięte od Rzymian. I wreszcie pozostały, utrzymały się na stałe tylko te dwa ostatnie relikty dawniejszego umiłowania antycznego nazewnictwa miesięcy: marzec i maj. Z tym wszakże, iż oba w swej formie bardzo się spolszczyły. Do tego stopnia, że niektórzy skłonni byliby wywodzić nazwę marca od tego, że

„jeszcze się marznie”! Ale, prawdę mówiąc, w naszym klimacie bywa, że marznie się niekiedy i w maju... Wyraz zaś „maj” brzmi tak swojsko i rodzinnie, taki jest zwyczajny, prosty i dobrze zdomowiony, że doprawdy aż wierzyć się nie chce, jak dawny i odległy w czasie jego rodowód. Przyszedł do nas aż z Półwyspu Apenińskiego, aż znad Tybru, aż z siedmiu wzgórz Rzymu! I liczy sobie dobrze ponad dwadzieścia wieków, może nawet trzydzieści. Któż bowiem odgadnie i ustali ponad wszelką wątpliwość, kiedy to zaczęto stosować w Italii tę nazwę miesiąca pełnej, kwitnącej wiosny?

Dobrze, powie ktoś, wyraz jest łaciński, z tym się zgadzamy, ale przecież powstaje dalsze pytanie: co znaczył on naprawdę w tym języku, jaka jego etymologia? I tu, prawdę mówiąc, zaczynają się kłopoty. Nie ma ich, jeśli chodzi o nazwę marca. Przecież Martius to po prostu miesiąc boga Marsa, boga wojny, a dano mu ją dlatego, że wyprawy wojenne rozpoczynano właśnie wtedy, kiedy mijały zimowe deszcze i chłody, a bydło – najbardziej upragniona zdobycz italskich wojowników – wychodziło w pole. Wtedy też otwierano w dawnych czasach nowy rok urzędowy, razem z budzeniem się przyrody do życia; 1 stycznia ustanowiono jako początek roku dość późno, bo dopiero w roku 153, i to z przyczyn dość przypadkowych. Natomiast maj nie posiada tak przejrzystego i oczywistego rodowodu. Sami starożytni, sami Rzymianie podawali różne wyjaśnienia. Na przykład to, że Majus jest starszy w stosunku do następującego po nim miesiąca o nazwie Junius (nasi juniorzy), a łacińskie maior – to większy, starszy. Może jednak maj ma boskie pochodzenie? Niegdyś czczono w Italii bożka o imieniu Majus, o którym jednak prawie nic nie wiadomo, rychło bowiem został zapomniany. Ale była też bogini Maja. Uchodziła za matkę boga Merkurego, lecz łączono ją również z bogiem Wulkanem, opiekunem kowali. Ofiary składano jej właśnie w dniach 1 i 15 maja. A więc może to dało nazwę miesiącowi, w którym sprawuje się kult Mai? Co prawda nasi najmłodsi jeszcze inaczej tłumaczyliby pochodzenie nazwy: oczywiście od pszczołki Mai, bo w tym miesiącu, kiedy kwiaty tak piękne, pracuje ona szczególnie gorliwie. Ale w rzeczywistości Maja otrzymała swe imię i od miesiąca, i od italskiej prastarej bogini.

To wszystko, co się powiedziało, jeszcze nie wyczerpuje starożytności miesiąca. Ważniejsze przecież od samej nazwy są fakty historyczne związane z danym okresem. Fakty, które powinien znać każdy Europejczyk, ponieważ ich pośredni wpływ trwa do dziś dnia.

A więc najpierw trzeba przypomnieć, że z samym początkiem maja odbyła się w roku 305 w Nikomedii małoazjatyckiej ceremonia wręcz wyjątkowa w dziejach imperium. Oto cesarz Dioklecjan dobrowolnie zrzekł się władzy, abdykował, odszedł na emeryturę. Co prawda, godną monarchy, osiadł bowiem po złożeniu purpury w swym ogromnym pałacu koło Solinu w dzisiejszej Jugosławii. Budował go od dawna. W średniowieczu przytuliło się do murów potężnych budowli miasteczko i całość stanowi dziś jedną z najwspanialszych atrakcji archi- tektonicznych świata: splecione z sobą sale pałacowe i domki wieków późniejszych. Owa miejscowość to sławny Split. Nazwa jest oczywiście zniekształceniem łacińskiego wyrazu palatium – pałac. Warto zwiedzając Split uświadomić sobie, że akt majowej abdykacji w Nikomedii wiąże się pośrednio właśnie z tą miejscowością, ściągającą corocznie rzesze turystów z całego świata.

Podobno głównym zajęciem cesarskiego emeryta była odtąd hodowla jarzyn w pałacowym ogrodzie. Może to i prawda. Ale jeśli tak, to musiał on, sadząc kapustę czy też ją pieczołowicie podlewając, szukać przede wszystkim zapomnienia. Chciał odsunąć od siebie myśl, że dzieło jego życia idzie w gruzy, że abdykacja była pomyłką lub co najmniej gestem darem- nym.

Dlaczego bowiem zrzekł się władzy najwyższej? Po to, aby przekazać ją młodszym następcom, których sam wybrał spośród, jak sądził, najgodniejszych. Wierzył, że po pewnym czasie ci nowi postąpią zgodnie za jego przykładem, dzięki czemu uniknie się wojen domowych, a zawsze będą współwładacze cesarze doświadczeni, najlepsi z najlepszych, wyznaczeni nie przez przypadek, ale przez rozważny osąd swych starszych kolegów. Lecz oto już w następnym roku po abdykacji Dioklecjanowej pewien młody człowiek brutalnie zburzył tę konstrukcję: Konstantyn, nazwany później Wielkim, choć nie przewidziano go na współwładającego, zbuntował się i rozpoczął swój marsz ku zawładnięciu całym cesarstwem; i dokonał tego poprzez wojny domowe w ciągu lat kilkunastu.

I oto znowu pojawia się miesiąc maj. Jest rok 330, dokładnie – dzień 11 maja, urodziny nowego miasta. A raczej, mówiąc ściśle, pewne stare miasto nad Bosforem, zwane dotychczas Bizancjum, otrzymało nowe imię i nową rangę. Powstał Konstantynopol, Miasto Konstantynowe, ulubiona rezydencja cesarza, w niedalekiej przyszłości nowa stolica imperium – drugi Rzym.

11 maja święcono tam corocznie i bardzo uroczyście jako dzień jego urodzin, podobnie jak 21 kwietnia – także w naszych czasach – obchodzi się nad Tybrem jako rocznicę założenia Rzymu. Jest charakterystyczne, że przy inauguracji Konstantynopola zachowano dawny rytuał pogański. Zasięgano nawet rady astrologa, aby wybrać pomyślną konstelację planet. Obchody w 330 roku trwały przez dni czterdzieści. Złożono bogom ofiary, a w cyrku przed rozpoczęciem wyścigu rydwanów obniesiono wokół stadionu posąg cesarza. Zasiadający w swej łoży Konstantyn podobno wówczas po raz pierwszy wystąpił publicznie w diademie na głowie; a diadem to zapowiedź i wstępna forma korony królów średniowiecza. Ale prócz obrzędów tradycyjnych odbyły się także chrześcijańskie procesje, zresztą w swych formach wzorowane na podobnych pogańskich. To wszystko razem stanowiło bardzo dziwną mieszankę. Konstantyn wszakże był biegłym politykiem, także w niezmiernie drażliwych wówczas kwestiach religijnych zręcznie lawirował i każdemu wyznaniu oddawał jakąś cześć w odpowiedni sposób.

Założyciel Konstantynopola zmarł w 337 roku w samo południe dnia 22 maja. Znowu maj! Zmarł w Nikomedii, ale zabalsamowane zwłoki przewieziono nad Bosfor, do miasta jego imienia, gdzie spoczęły w porfirowym sarkofagu.

Miasto, które w maju roku 330 urodziło się jako Konstantynopol, przeżyło cios straszliwy 29 maja roku 1453. Wtedy to Turcy pod wodzą Mehmeda II przypuścili szturm ostateczny i decydujący. Podczas walk na ulicach zginął cesarz Konstantyn XI – jego zwłok nie odnaleziono nigdy – a z nim cesarstwo rzymskie. Pamiętajmy bowiem, że do samego końca, to jest

do schyłku maja roku 1453, cesarstwo to istniało formalnie, kontynuując starożytną tradycję, mimo iż Rzym na zachodzie upadł już w roku 476.

Tak przedstawiają się wielkie daty historii antycznej związane z jednym tylko miesiącem, pogodnym, radosnym, wiosnianym. Oczywiście, można by przytoczyć więcej faktów różnego rodzaju, ale te wydały mi się najważniejsze, bo w jakiś sposób wciąż obecne. Bogini Maja, Dioklecjan, Konstantyn Wielki, urodziny i śmierć Konstantynopola... Ileż to spraw, osób i wydarzeń sprzed wielu, wielu wieków patrzy na nas milcząco, gdy oddajemy się beztrosko zabawom i radości majówek!

Czy powinniśmy pamiętać o tym, co minęło? Na pewno tak. Bo przecież nic nigdy nie odchodzi bez śladów, a zdając sobie sprawę z ich trwania, sami stajemy się bogatsi o całą przeszłość naszej kultury. A wreszcie – i my kiedyś staniemy się tylko historią.

Plutarcha rady małżeńskie

„Szczególnie w początkach małżeństwa należy jak najstaranniej unikać wszelkich nieporozumień i uraz wzajemnych. Stłuczoną wazę na wiele części można jakoś zlepować, ale bezpośrednio po takiej reperacji łatwo się ona rozpada; trzeba więc cierpliwie czekać, póki sam czas nie umocni spoidła nierozzerwalnie”.

To jedna z rad Plutarcha na użytek małżonków. Znany jest ów pisarz głównie jako autor Żywotów porównawczych, to jest biografii kilkudziesięciu najślawniejszych Greków i Rzymian zestawionych parami; mamy więc żywot Aleksandra i Cezara, Demostenesa i Cyserona, Nikiasza i Krassusa, porównuje się bowiem losy ludzi sławnych i podobnych do siebie pod pewnymi względami, a więc wodzów, mówców, bogaczy, prawodawców. Jednakże dla poznania kultury świata antycznego i sposobu myślenia warstw wykształconych w początkach cesarstwa, a także z racji wpływu na późniejszą myśl europejską, co najmniej równie ważny jest jego zbiór kilkudziesięciu esejów poświęconych zagadnieniom filozofii, etyki, obyczajów, religii, historii, obejmowanych umownie wspólnym tytułem łacińskim *Moralia*.

Plutarch był, oczywiście, Grekiem i pisał po grecku. Żył długo, bo około lat osiemdziesięciu; urodził się przed rokiem 50, a zmarł po roku 120 n.e. Przyszedł na świat i większą część życia spędził w miasteczku Cheroneja w środkowej Grecji; tym samym, które tak wślawiła bitwa stoczona w roku 338 p.n.e. między wojskami macedońskimi pod wodzą króla Filipa a koalicją państw helleńskich, bitwa uchodząca słusznie za kres niepodległego bytu tychże państw. Ale dla Plutarcha tamte czasy były już tylko historią odległą o ponad cztery wieki. Epoka, w której żyć mu wypadło, czyli wczesne cesarstwo, to okres pokoju, praworządności, stabilizacji, stosunkowo wysokiego dobrobytu i prawdziwego upowszechnienia kultury w krajach nad Morzem Śródziemnym. Plutarch, choć gorąco przywiązany do wielkich tradycji historycznych swej ojczyzny, akceptował rzymskie panowanie. Stał się nawet rzecznikiem jakby podwójnego patriotyzmu grecko – rzymskiego, czego najlepszy dowód stanowią wspomniane Żywoty porównawcze. Sama bowiem ich koncepcja, sam pomysł zestawienia przedstawicieli obu narodów na równi jest już wyrazem pewnej postawy, nieuniknionej zresztą i słusznej w ramach imperium, które było językowo tworem bilingwicznym.

W życiu osobistym Plutarcha nie było wielkich dramatów i przygód, a jego twórczość nie odznacza się nowatorstwem, oryginalnością, głębią myśli, niezwykłością formy. Mimo to ma ona swój urok szczególny, podobnie jak musiała go mieć sama osobowość pisarza. Jest to mianowicie urok wysokiej kultury, harmonii, poczucia umiaru, a także dużej wiedzy, podporządkowanej wszakże zawsze szczytnym ideałom moralnym. Język jest bogaty, stylistyka przemyślana i jakby barokowa, zgodnie z gustem tamtej epoki, kompozycja wielu utworów artystycznie bardzo udana. Ktokolwiek zajmuje się światem antycznym, musi sięgać często po dzieła Plutarcha zarówno dla zawartych w nich informacji – a dzięki swemu ogromnemu odczytaniu przekazuje on ich mnóstwo, także z prac pisarzy, którzy skądinąd nie są znani – jak też dla samej satysfakcji obcowania z mądrym człowiekiem.

Jest rzeczą smutną i żenującą, że nie mamy w języku polskim – po tylu wiekach, my, naród humanistów, tak przywiązany do kultury klasycznej! – pełnego przekładu ani Żywotów, ani też *Moralii*. Z jednego i drugiego zbioru ukazały się tylko tłumaczenia częściowe lub streszczenia. Jeśli chodzi o *Moralia*, to pewne traktaty wydano w tomiku Biblioteki Narodo-

wej, inne w osobnym tomie Biblioteki Klasyków Filozofii, w obu wypadkach w przekładzie profesor Zofii Abramowiczówny, a jeszcze kilka innych na łamach różnych periodyków. Łącznie nie dałoby to chyba nawet połowy objętości całego zbioru.

Traktat Rady małżeńskie ukazał się po polsku pod niezbyt dokładnym tytułem Prestrogi małżeńskie w okresie międzywojennym aż – w Antwerpii. Dokonał przekładu doktor H. Birnbaum, rysunkami zaś ozdobił E. Szingale. Miejsce wydania, niewielki nakład, lata, które upłynęły od roku wydania – wszystko to sprawia, że książeczkę należy traktować raczej jako kuriozum. Zresztą i wstęp, nieco dziwny, i sama forma tłumaczenia nie w pełni odpowiadają obecnym wymaganiom. A szkoda, że właśnie ten traktat nie jest u nas tak znany, jak na to zasługuje, jego bowiem tematyka jest ważna i aktualna nie tylko dla historyka kultury, opatrzone zaś odpowiednimi objaśnieniami mógłby stanowić prawdziwy klejnocik wydawniczy.

Plutarch, jak wiemy ze wzmianek w różnych jego esejach, miał prawo udzielać rad małżeńskich, ponieważ uchodził za dobrego męża i ojca. Z małżeństwa z Timokseną miał synów i tylko jedną córeczkę, upragnioną i ukochaną, przyszła bowiem na świat, kiedy ojciec już przekroczył 60 lat życia. Otrzymała imię matki. Rodzice wszakże niedługo się nią cieszyli; dziewczynka zmarła licząc zaledwie dwa latka. Plutarch dowiedział się o tym nieszczęściu powracając z Aten do domu i zareagował, jak przystało na filozofa: napisał piękny traktat pocieszający, adresowany do żony. Ale tak naprawdę tym dziełkiem chciał pocieszyć przede wszystkim siebie. Podobnie w wiele wieków później miał postąpić polski poeta, zawsze wier-

ny klasycznym tradycjom, kiedy śmierć zabrała mu ukochaną Urszulkę.

Stosunek Plutarcha do kobiet był pełen szacunku, czułości, zrozumienia dla ich poświęcenia w życiu rodzinnym. Postawa to nie tak często spotykana w starożytności, a przynajmniej dość rzadko dochodząca do głosu w literaturze. Najpełniejszym wykładem poglądów Plutarcha byłby traktat Także kobiety należy kształcić, niestety, zachowany tylko we fragmentach. Ale również w innych esejach, na przykład w dialogu O miłości, problemy te występują bardzo wyraźnie. W gruncie rzeczy dialog ów można by uważać za próbę obrony miłości małżeńskiej wobec tych, którzy uważali i głosili, że prawdziwa miłość jest możliwa tylko między mężczyznami, bo tylko oni mogą być prawdziwymi partnerami w sensie intelektualnym i duchowym, natomiast pożycie mężczyzny z kobietą ma charakter biologiczny i służy tylko przedłużeniu gatunku, a rzeczywistego zrozumienia między przedstawicielami różnych płci nie da się osiągnąć. Najważniejsze wywody wkłada Plutarch w usta nie byle kogo, bo swego ojca Autobulosa. Przedstawia on w sposób piękny i wychwala kobiecą zdolność do wszelkich poświęceń w imię i dla dobra miłości małżeńskiej oraz domu. Kobiety zaś, poucza Plutarch gdzie indziej, należy kształcić właśnie dlatego, żeby jako żona mogła stać się prawdziwym, równorzędnym przyjacielem i partnerem.

Esej Rady małżeńskie ma charakter zbioru luźnych zaleceń, aforyzmów, przykładów. Dedykowany jest Pollianowi i Eurydyce, dopiero co poślubionej parze:

„Kapłanka bogini Demeter połączyła was, zamkniętych w ślubnej komnacie, więzami małżeńskimi zgodnie z obyczajem ojczystym. Myślę, że postąpię według prawa i z korzyścią dla was, jeśli słowa te jeszcze silniej was połączą i uczczą wasze wesele”.

Chodzi o to, jak pisze następnie, aby dwoje ludzi, którzy mają odtąd pędzić wspólne życie, potrafiło odnosić się wzajem do siebie życzliwie, łagodnie, wyrozumiale. „Te zasady, które niejednokrotnie słyszeliście studiując filozofię, połączyłem w formie krótkich nauk, aby łatwiej można je zapamiętać. Obecnie posyłam wam je jako wspólny podarunek dla obojga, modląc się zarazem, aby Muzy stanęły obok Afrodyty i wespół czar swój roztaczały”.

A jak brzmią same rady? Podajmy tu przynajmniej kilka:

„Starożytni umieszczali obok Afrodyty Hermesa, albowiem rozkosz małżeńska jak najbardziej potrzebuje słowa. Umieszczali też boginię Przekonywania i panie wdzięku Charyty, aby małżonkowie uzyskiwali wzajem od siebie to, czego pragną, przekonując się wzajem, a nie kłócąc i walcząc”.

„Księżyc ma tym więcej blasku i tym bardziej jaśniej, im bardziej oddala się od słońca; natomiast gdy się doń zbliża, staje się ciemniejszy. Inaczej postępuje poważna żona: właśnie obok męża jaśniej, kiedy wszakże go nie ma, pozostaje w ukryciu domowym”.

„We współbrzmieniu tonów bas jest podstawowy. Tak samo powinno być w rządym domu. Wszystko toczy się za wspólną radą i zgodą, ale wydaje się, że o wszystkim decyduje wola męża”.

„W Rzymie Katon usunął z senatu pewnego senatora, który objął swoją żonę na oczach córki. Jeśli więc nie godzi się, aby małżonkowie okazywali sobie czułość publicznie, tym bardziej nie powinni kłócić się i czynić sobie wyrzuty oraz wymieniać uwagi przy drzwiach otwartych, wobec obcych”.

„Platon twierdzi, że szczęśliwe jest państwo, w którym rzadko padają słowa: To moje, to twoje. W takim bowiem państwie każdy obywatel dba należycie o dobro nie swoje, lecz wspólne. Słowa wszakże Platona odnoszą się najcelniej właśnie do pożycia małżeńskiego”.

Sztuka kochania

Sławną książkę doktor Michaliny Wisłockiej Sztuka kochania najpierw otrzymałem tylko na krótko i zaledwie mogłem przeglądnąć, był to bowiem egzemplarz pożyczony, rozchwytywany i za mną ustawiła się doń kolejka. Ale już po przekartkowaniu całości i pobieżnej lekturze wybranych fragmentów odniosłem pozytywne wrażenie: rzecz napisana dobrze, spokojnie, taktownie, bardzo po kobiecemu – co w tym wypadku jest oczywiście komplementem. Potem, dzięki pewnemu spektaklowi telewizyjnemu, mogłem poznać Panią Doktor osobiście

– i szczerę się obecnie egzemplarzem Sztuki kochania z jej autografem. Mogłem więc spokojnie sięgać po książkę i bez pośpiechu ją czytać, co wcale nie zachwiało moim pierwszym, aprobującym sądem; tak samo jak nie wpłynęły nań wszelkiego rodzaju złośliwe uwagi, uszczypliwości, niby to zabawne dowcipy, jakimi różne kręgi naszego społeczeństwa, z prawa i z lewa, zasypywały odważną autorkę, poruszającą temat tabu, i jej bardzo potrzebną książkę.

Oczywiście, piszę to wszystko zupełnie bezinteresownie, sama bowiem problematyka Sztuki kochania osobiście mało mnie obchodzi, skoro coraz lepiej rozumiem głęboki sens pewnej starożytnej opowieści o Sofoklesie. Jak wiadomo, w swej młodości autor Antygony odznaczał się gorącym temperamentem, o czym krążyło sporo zabawnych anegdot. Kiedy więc spostrzeżono, że z biegiem lat sprawy erotyki coraz mniej go interesują, ktoś zapytał uprzejmie, czy jednak nie żałuje tamtych dni i możliwości. Wówczas Sofokles zakrzyknął oburzony:

– Człowiecze, lepiej byś milczał! Przecież ja dopiero teraz zaczynam żyć normalnie. To zupełnie tak, jakbym się wreszcie wyzwolił spod władzy jakiegoś szaleńca.

Owym szaleńcem była oczywiście popędliwość seksualna.

Przyznaję również rację tym, którzy tak periodyzują żywot pocziwego, normalnego mężczyzny:

Młodemu człowiekowi z reguły wydaje się, że najważniejsze i najistotniejsze w życiu są sprawy erotyki. Jest to więc homo eroticus. Ale nieco później, gdy staje się dojrzały i ambitniejszy, gdy otwierają się przed nim szersze horyzonty, zaczyna go pasjonować polityka. Chce zbawiać swój kraj i naród, a nawet świat cały. Czyli – homo politicus. Ale w miarę upływu lat i pod wpływem nacisku potrzeb życiowych przychodzi stopniowo rozeznanie, jak wiele zależy po prostu od pieniędzy; w tym kierunku działają też łagodne perswazje żony. Tak rodzi się homo oeconomicus. Aż wreszcie po wielu, wielu doświadczeniach nadchodzi etap prawdziwej i najwyższej mądrości: podstawę wszelkiego dobrego życia stanowi dobra kuchnia. Objawi się wreszcie homo gastronomicus. Niestety, etap to ostatni i dla bardzo wielu przychodzi zbyt późno, kiedy apetyt już nie ten.

Tyle żartem, ale muszę przyznać, że bardzo mi się spodobał sam tytuł książki Wisłockiej – Sztuka kochania, świadomie nawiązuje bowiem, ładnie i zręcznie, do sławnego poematu Owidiusza Ars amandi czy też Ars amatoria; tradycja przekazała dwie wersje tytułu i trudno dziś orzec, która pochodzi od samego twórcy. Co zresztą nie ma wielkiego znaczenia, różnica jest czysto formalna, a rzecz tak czy inaczej zrobiła karierę.

Owidiusz opublikował swój poemat w trzech księgach w latach około przełomu starej i nowej ery, prawie dokładnie dwa tysiące lat temu, w pełni panowania cesarza Augusta. Od

momentu ukazania się aż po nasze czasy rzecz cieszyła się ogromną popularnością i była chętnie czytana, choć oczywiście nie w szkole. Istnieją przekłady, parafrazy, przeróbki niemal we wszystkich językach europejskich, oczywiście również i w polskim. A iluż artystów w ciągu wieków ilustrowało owe księgi! Popularność w pełni zasłużona, ponieważ jest to poemacik bardzo wdzięczny, udany, a przedmiot i sposób ujęcia są dokładnie dopasowane do talentu twórcy. Dla miłośnika antycznej kultury to galeria żywych, barwnych obrazów z zakresu rzymskiej obyczajowości w początkach ery cesarskiej, to źródło informacji o sprawach, które wielcy autorowie zwykle pomijają milczeniem. A czym jest *Ars amandi* dla zwykłego czytelnika, to znaczy takiego, który pragnie się dowiedzieć czegoś o sztuce kochania? Choćby po to, aby stwierdzić, czy jest w tej dziedzinie jakikolwiek postęp?

Nie ma co ukrywać, spotka go pewien zawód, może nawet przykry zawód. Tym zresztą przykrzejszy, im więcej sobie obiecywał po lekturze dziełka tak sławnego z powodu swej rzekomej frywolności. A tymczasem znajdzie w nim zaledwie wzmianki, nader nieliczne, skromne i powściągliwe, o „metodach rozszerzania doznań, wzbogacania pieszczot i zalotów”

– czemu właśnie, jak głosił swego czasu prospekt, poświęcona jest Sztuka kochania Wisłockiej. W rzeczywistości zresztą jego treść jest znacznie bogatsza, dotyczy bowiem również, a może nawet przede wszystkim, sfery uczuciowej.

Co więc opiewa Owidiusz, skoro, jak się rzekło, fizyczna strona erotyki właściwie go nie interesuje? Otóż poucza on młodzież swoich czasów, jak i gdzie podrywać (tak, użyjmy tego określenia, bo dokładnie o to chodzi poecie), jak uwodzić i jak rozpalać namiętności rozmową i uprzejmością. Wszystko to przetykają niby winietki sceny mitologiczne, satyryczne docinki, szkice rodzajowe. Całość zaś stanowi ponadto parodię modnej wówczas i bardzo poważanej tzw. poezji dydaktycznej, czyli nauczającej. Pisał Wergiliusz poemat o uprawie roli, Horacy o sztuce poetyckiej, czemu nie miałyby Owidiusz przedstawić sztuki miłowania?

W dwóch pierwszych księgach jest on doradcą panów; wskazuje im, jak się zachowywać i jak zastawiać sidła, udając rozkochanych – słowem, jak tokować. W księdze natomiast trzeciej poeta staje się życzliwym sojusznikiem dziewcząt, ich mistrzem i przewodnikiem. Rzecz to zastanawiająca i chyba nieprzypadkowa, że właśnie w tej części, ostatniej, pisanej na użytek pań, znajduje się kilkanaście wierszy, które w jakiejś mierze mogłyby spełnić oczekiwanie konkretów, tak typowe dla mentalności wielu ludzi wieku XX, roznamiętnionych erotyką. Poeta zresztą wspomina o tym z wyraźną niechęcią, ociągając się, jakby pod przymusem, a odpowiedzialnością za poruszenie owych drażliwych kwestii obarczył ostatecznie boginię Wenus. Oto jego słowa:

„Było mi wstyd poruszać inne sprawy, ale właśnie w tej chwili odezwała się sama Wenus:

– Właśnie to, czego się wstydzisz, jest najważniejszym moim dziełem!

Niechże więc każda kobieta wie, jakie ma przybierać pozy zgodnie z budową swego ciała, nie każda bowiem odpowiada każdej. Ta, której twarz piękna, niechaj się kładzie na wznak. Te, które mają ładne plecy, niechże pozwolą je oglądać. Drobne niechaj będą jeźdźcami! Ponieważ Andromacha była bardzo wysoka, nigdy w ten sposób nie dosiadała Hektorowego rumaka. Kobieta wysoka niechaj się kolanami oprze na łóżku, głowę lekko odwróci. Jeżeli biodra są pełne młodzieńczej jędrności, a piersi także bez wad, to niechaj mężczyzna stoi patrząc, jak kładziesz się na łóżku nieco ukośnie. Wiedz również, że dobrze jest rozwinąć włosy jak tesalska bachantka i szyję nimi owinać”.

I jeszcze kilka rad w tym stylu. Trzeba więc stwierdzić, że przywykliśmy do mocniejszych rad i opisów w sprawach erotyki; i że owi starożytni, tak pogardzani poganie, byli od nas delikatniejsi, subtelniejsi, bardziej wstrzemięźliwi, a mniej perwersyjni. Ci niedobrzy poganie, specjaliści od sztuki kochania...

Metamorfozy

Pewne sprawy i problemy, które my przywykliśmy formułować bezbarwnym i chłodnym, ale za to rzeczowym i precyzyjnym językiem nauki, starożytni najchętniej ujmowali obrazowo, barwnie, dramatycznie, przy pomocy i za pośrednictwem mitów, metafor, przypowieści. Odcyfrowanie zapomnianego języka mitologii i symboliki sprzed wieków nie jest zadaniem prostym, tym bardziej że łatwo w tej dziedzinie zbroczyć na tory nie kontrolowanych spekulacji, a nawet dziwactw, co przytrafiło się już wielu badaczom i pseudouczonym. Mimo to w ostatnich dziesięcioleciach dokonano na tym polu sporo, choć ogromna praca wydaje się jeszcze daleka od zakończenia.

Już na podstawie tego, co zostało dotychczas zrobione, wolno stwierdzić, że rozszyfrowując mity niejednokrotnie stajemy niespodziewanie oko w oko wobec tych samych zagadnień, które w równym stopniu intrygują nas, ludzi wieku XX, jak i naszych przodków duchowych sprzed kilkudziesięciu stuleci. Okazuje się, że my i oni myślimy podobnie i o tym samym, choć wyrażamy się inaczej. Tam ludzi nas barwna szata opowieści uroczych i pozornie naiwnych, tutaj zaś zwodzi napuszona terminologia nazw brzmiących obco i niezrozumiale, które jedną niewiadomą zastępują inną, tyle że o cudzoziemskim imieniu. W rzeczywistości zaś wszystko sprowadza się do tego, że poprzez wieki i tysiąclecia dręczą nas identyczne lęki i pytania, ożywiają natomiast i krzepią podobne nadzieje.

Takie refleksje nasuwają się z konieczności każdemu, kto traktuje mity Greków i Rzymian nie tylko jako opowiadki dla dużych dzieci, relikty prymitywnej mentalności, igraszki poetyckiej fantazji. Owszem, to wszystko również odgrywało pewną rolę w procesach mitotwórczych, ale czynniki to poniekąd wtórne, uboczne, nie powinny więc przesłaniać istoty oraz genezy opowieści, ich podstawowego sensu. A szczególnie łatwo zapomina się o pierwotnych, naczelnych ich funkcjach, gdy obcujemy z mitami ujętymi w formę wielkiego dzieła sztuki. Takiego, jakim są Owidiusza *Metamorfozy*, czyli *Przemiany*, jeden z najbar dziej znanych i udanych poematów przekazanych nam przez starożytność.

Wiersze płyną lekko, naturalnie, swobodnie, jak strumień wśród kwitnących łąk. Poszczególne sceny i opowieści powiązane są z mistrzowską wirtuozerią. Rozwijają się przed naszymi oczami panorama obrazów pełnych światła, koloru i ruchu, a łączy je wspólny wątek: każda nowelka ma za temat metamorfozę, czyli przemianę jednego ciała w inne, zgodnie z pierwszymi słowami utworu: „In nova fert animus mutatas dicere formas corpora” – „Pragnę mówić o kształtach, co w inne zmieniły się ciała”.

O jakie jednak chodzi ciała? O wszystkie i wszelkie: śmiertelne i nieśmiertelne, boskie i ludzkie, zwierzęce i roślinne, ożywione i nieożywione. Albowiem wszystkie one podlegały i podlegają przemianom, pragną i muszą się przekształcić. Zresztą, nie tylko poszczególne istoty i ciała, bo przecież nieustannie przybiera inną postać świat cały, poczynając od pierwotnego, najdawniejszego chaosu; a potem odmieniają się również epoki historii ludzkości od wieku złotego stopniowo w dół ku wiekom coraz podlejszym.

Ale najwięcej i najchętniej opowiada poeta o ludziach, herosach i bogach, którzy przemienili się – fizycznie, nie duchowo! – powodowani miłością lub przed nią uciekając; albo też ukarani za pychę, zbrodnie, występki; lub wreszcie uratowani metamorfozą z łaski bogów przed wielkim jakimś nieszczęściem. Tak powstawały to drzewa, to skały i kamienie (lub z

kamieni ludzie), to znowu zwierzęta, źródła, stwory morskie, nawet gwiazdy. Oczywiście, badając uważnie każdy mit z osobna, można wykazać, jaki to konkretny fakt dał asumpt do snucia opowieści właśnie o takiej, a nie innej metamorfozie. Raz będzie to jakiś obyczaj kultowy, którego pierwotnej treści nikt już nie rozumiał, kiedy indziej łączenie w wyobrażeniach danego zwierzęcia z danym bogiem, jeszcze kiedy indziej przypadkowe podobieństwo nazw i imion lub też, jak w wielu krajach, kształt głazu przypominający postać człowieczą lub zwierzęcą. Są też wątki przejęte od innych ludów.

Jednakże u podłoża bezliku opowiadań o przemianach napotykaemy, czy też raczej wyczuwamy problem głębszy, a w gruncie rzeczy nawet cały kompleks problemów i pytań. A więc najpierw dziecinne, choć z punktu widzenia człowieka prymitywnego całkowicie zrozumiałe zdziwienie, skąd taka mnogość kształtów przeróżnych w przyrodzie wokół, na ziemi, w wodach, w powietrzu – i próba wyjaśnienia. Dalej przekonanie, głęboko zakorzenione w ludzkiej psychice, o podstawowej więzi pobratymstwa z wszystkimi istotami. Następnie pragnienie, by móc zmieniać swoją postać zależnie od woli i okoliczności: polatywać swobodnie jak ptak, być silnym jak dzikie, groźne zwierzę, nieczułym i wiekowym jak drzewo. I wreszcie ciekawość: jak widzą świat stworzenia tak odmienne od nas budową, wyglądem, trybem życia?

Ten ostatni problem w naszym języku naukowym można by określić jako teoriopoznawczy, na innej zaś płaszczyźnie – jako sprawę bariery psychofizycznej wzajemnego zrozumienia. Starożytni z typowo pogańską, swawolną niefrasobliwością rozpatrywali to zagadnienie również na przykładzie pozornie prostym, banalnym, nieco wstydlwym, a przecież wcale nie blahym: czyje przeżycia erotyczne są silniejsze, głębsze – mężczyzny czy kobiety? Oczywiście, w ich ujęciu zarówno samo pytanie, jak też próba odpowiedzi musiały przyjąć postać mitu. Owidiusz tak to przedstawia w księdze IV swych *Metamorfoz*:

Ojciec bogów i ludzi Jowisz w żartobliwej rozmowie ze swą małżonką Junoną utrzymywał, że kobiety są szczęśliwsze, doświadczają bowiem większej rozkoszy miłosnej, niż dane to jest mężczyznom. Ona oczywiście gwałtownie temu przeczyła, zarówno z przekory, jak też z przyrodzonej paniom wstydlwości. Kto jednak mógł ów spór rozstrzygnąć? Rzecz prosta tylko ten człowiek, który należał najpierw do płci jednej, potem zaś do drugiej. I znalazł się ktoś taki! Był nim Tejrezjasz. Urodził się jako chłopiec, kiedyś jednak chodząc po lesie ujrzał dwie splecione ze sobą ogromne żmije i uderzył je laską; zabił samicę i natychmiast stał się dziewczyną. Był nią przez całych lat siedem, kiedy to znowu ujrzał w tymże lesie te same żmije i za jednym uderzeniem, zabijając samca, odzyskał postać młodzieńca. Otóż Tejrezjasz, któremu dane było zaznać tej samej rozkoszy w różnych rolach, bez wahania przyznał słuszość Jowiszowi. Oburzona taką zuchwałością Junona ukarała go srodze, odbierając wzrok. Jej małżonek nie mógł już cofnąć tego, co uczyniła żona – bogom bowiem nie wolno niweczyć tego, co dał lub odebrał bóg inny – obdarzył natomiast Tejrezjasza wzrokiem – wewnętrznym, odsłaniającym przeszłość.

Mógłby ktoś rzec: nieszczęsny Tejrezjasz, biedni starożytni, bezradni bogowie! Aż takich trzeba było sposobów, aby sprawdzić, czyja rozkosz intensywniejsza? Dziś przecież spór mogłyby rozstrzygnąć setki, a chyba już nawet tysiące tych osób, co zmieniły płeć pierwotną dzięki zabiegom chirurgicznym i kuracji hormonalnej. Obywa się bez żmij, kłótni bogów, bez kary i nagrody dla przemienca, nowoczesna nauka wszystko załatwia i wyjaśnia!

Otóż nieprawda. Spór pozostaje tak samo nie rozstrzygnięty jak przed wiekami, kto bowiem poprzez odpowiednie zabiegi zmienia dziś płeć, pozostaje fizjologicznie nadal tym, kim był poprzednio – mężczyzną lub kobietą; zmiana jest tylko pozorna i zewnętrzna. Sądy więc i wrażenia takich osób nie mają żadnej wartości dowodowej, doznania pozostają nadal nieporównywalne.

Mimo więc wszelkich postępów i cudów chirurgii sprawa rzeczywistej metamorfozy, to jest całkowitej zmiany osobowości w sensie psychofizycznym, jest wciąż czymś odległym i niewykonalnym. Niewiele w tym zakresie zrobiono od epoki starożytnych marzeń i mitów.

Czy sytuację tę zmieni proponowane przeszczepianie nie pojedynczych organów ciała, lecz mózgu i całej głowy? Obecnie jest to problem, jeśli wolno tak powiedzieć, techniki zabiegów dla lekarzy. Gdyby stał się rzeczywistością, będą musieli zająć się nim prawnicy, psychologowie i filozofowie, nie mówiąc już o teologach, choćby dla zdefiniowania na nowo kwestii osobowości. Lecz nim do tego dojdzie, nim starożytnicy będą musieli wynajdywać odpowiedniki całej sprawy w bogactwie antycznych mitów, może korzystniej i przyjemniej będzie powrócić do tych opowieści, które bardziej związane są i z normalnym tokiem oraz zjawiskami natury, i z przyrodzonymi, normalnymi cechami człowieka.

Tetyda

Ile było nereid, córek starca morskiego Nereusa i Doris, córki Okeanosa? Starożytni mitografowie wielce się nad tym pytaniem biedzili, rozpatrując je bardzo poważnie. Jedni wyliczali dokładnie i pracowicie 50 dźwięcznych, wymyślnych imion dziewczęcych, inni natomiast woleli twierdzić ogólnie, że istniało aż 100 nereid. Naprawdę zaś żyło ich, żyje i żyć będzie więcej, niż zdoła ogarnąć nasza wyobraźnia. Tyle mianowicie, ile przez wszystkie wieki i tysiąclecia od początku świata w każdej chwili wznosiło się i opadało fal morskich. Tyle, ile ich wciąż powstaje i ginie, oraz ile jeszcze rozkołysze się w najdalszej przyszłości po wszystkich oceanach i morzach.

Czymże bowiem są nereidy? Niczym więcej, ale też niczym mniej, jak uosobieniem wiecznego, nieustannego ruchu, zmienności, falowania wodnych przestworzy. Właśnie one, a nie – jak często i z gruntu fałszywie wielu dziś sądzi – syreny. Te stanowiły dla Hellenów zawsze stwory niezwykle, spotykane rzadko i tylko w pewnych rejonach, a nader często niebezpieczne. Natomiast nereidy to prawdziwe panny morskie, mieszkanki niby to głębin, ale wciąż od nowa i bez przerwy igrające na powierzchni. Nic też dziwnego, że jako symbol fal, z których wprowadzie każda jest odrębna i odmienna, niepowtarzalna, ale też zaledwie istnieje, w jednym bowiem momencie rodzi się i umiera, nereidy nigdy nie zyskały w mitach wyrażonej, trwałej osobowości – z wyjątkiem trzech. Pierwsza to Amfitryta, żona Posejdon, pana oceanów. Druga – Galatea, bogini sycylijskich wybrzeży. A trzecia to właśnie Tetyda, a raczej Thetis, tak bowiem imię to brzmi po grecku w pierwszym przypadku.

Gdy była dziewczyną, wychowywała ją Hera, żona Zeusa. Mity często ją wiążą z panią Olimpu. To przecież Tetyda przyjęła Hefajstosa, syna królewskiej pary bogów, gdy rozgniewany ojciec zrzucił go z podniebnych szczytów prosto w przepaść, ku ziemi i morzu. I to właśnie Tetyda na prośbę Hery prowadziła sławny okręt Argo w miejscu najbardziej niebezpiecznym podczas wyprawy śmiałków po złote runo. Ale oddała też wielką przysługę samemu Zeusowi. Kiedy bowiem przed wiekami podnieśli bunt przeciw niemu inni olimpijscy bogowie – nawet żona Hera, brat Posejdon i córka Atena, dziewica – i chcieli skępować go więzami, to ona właśnie wezwała w porę na pomoc sturękiego olbrzyma Briareusa. A gdy ten, groźny i potężny, usiadł przy Zeusie, tamci – przerażeni – poniechali zamiaru.

Ojciec bogów i ludzi odwdzieczył się jej wszakże na swój sposób, niezbyt godny i szlachetny, ale bardzo męski. Zapragnął ją posiadać, na co ona zgodzić się żadną miarą nie mogła, także ze względu na swe przywiązanie do Hery. Urażony odmową pan Olimpu postanowił wziąć pomstę, upokorzyć oporną boginię, wydając ją za człowieka. Ale krążyła też inna wersja tej opowieści. Oto ubiegali się o Tetydę dwaj najpotężniejsi bogowie, bracia Zeus i Posejdon. Obaj jednak odstąpili od załotów w momencie, gdy wyrocznia objawiła, że syn, który się zrodzi z tego związku, będzie znacznie silniejszy od swego ojca. I wtedy to postanowiono, że Tetyda może zostać żoną tylko śmiertelnika, w takim bowiem wypadku jej syn nie zagrozi nigdy żadnemu z bogów. Kto jednak ma zostać mężem pięknej nereidy? Ostatecznie wybór padł na Peleusa. Królował on w małej krainie Ftyja w południowej Tesalii, a jako wnuk Zeusowy miał też sporo krwi boskiej, Tetyda więc nie zostałaby upokorzona zbyt boleśnie. Był to wszakże wybór nie jej, lecz bogów.

Miała Tetyda ulubioną grotę u tesalskich wybrzeży:

Tu często do chłodnika zwykła w skwarnym lecie
Nago przyplływać Tetys na delfina grzbiecie.
Tu ją śpiącą zszedł Pelej, błagał, lecz gdy płonną
Była prośba, przemocą chciał uściskać wzbronila,
I gdyby się do przemian bogini nie wzięła,
Niewątpliwie śmiałego dokonałby dzieła.
Była ptakiem drapieżnym – ptaka silnie imał.
Została wielkim drzewem, on się drzewa trzymał.
Ale kiedy się w dziką zmieniła tygrycę,
Zląkł się Pelej i lubą wypuścił dziewicę.

Dopiero inny bóg morski, Proteusz, nauczył Peleusa, jakim sposobem zdoła zdobyć nereidę:

Gdy Tetys snem ujęta w chłodnej spocznie grocie,
Sieć zarzuć i boginię ujmij w jej uplocie.
Tysięczne jej przemiany niech ciebie nie złudzą,
Ściskaj w każdej postaci, aż porzuci cudzą!

Tak też młodzieniec uczynił: Śpieszy
piękna nereis do swego chłodnika. Wtem
zniecka młodego widząc napastnika
Postać zmieniać, zaczęła. Lecz nie puszczał Pelej
I w sieci mimo przemian coraz trzymał śmielej.
– Bóg jakiś tobie chętny, sprzyja mojej kłesce!
Rzekła Tetys i swego przyjęła zwycięzcę.
Tak gdy mu luby rozkoszy błogi los udzielał,
W boginię ogromnego Achillesa przelał.

To klasyczna postać tej opowieści, jak ją podał Owidiusz w XI księdze Przemian⁴. Były jednak również odmienne wersje, w których rolę opiekuna i doradcy Peleusa odgrywał sławny centaur Chiron.

A niezależnie od miłosnej sceny w grocie, odbył się też ślub na lesistej górze Pelion w Tesalii. Zaszczycili go swą obecnością bogowie i boginie, a pieśń weselną odśpiewały Muzy. Mimo to małżeństwo nie układało się szczęśliwie. Wprawdzie Tetyda rodziła swemu mężowi dzieci, ale wszystkie one wnet umierały. Dlaczego? Sprawa wydawała się tak dziwna, że wzbudziła podejrzenia Peleusa. Toteż gdy wreszcie przyszedł na świat syn siódmy, któremu dano imię Achillesa, zaczął podpatrywać, co robi żona z dzieckiem. Ujrzał, ku swemu przerażeniu, że nurza je w ogień! Wyrwał dziecko w ostatnim momencie spośród płomieni. Tetyda wszakże wołała, że to on gubi Achillesa, ona bowiem chciała wypalić w swym synku wszystko co ziemskie i dać mu w ten sposób nieśmiertelność. Dotknięta do żywego podejrzliwością męża, opuściła jego dom i powróciła w morskie tonie, synem jednak opiekowała się nadal.

To ona ukryła go na wyspie Skiros w przebraniu dziewczyny wśród córek królewskich obawiając się, że może wziąć udział w wyprawie przeciw Troi, gdzie – tak oznajmiała wyrocznia – czeka go śmierć. Ten wybieg jednak okazał się daremny, jak później wszystkie inne sposoby, którymi pragnęła przynajmniej osłonić Achillesa i odsunąć jego zgubę, gdy znalazł się już wśród wojowników pod Troją. Tak więc Tetyda objawia się czytelnikom Iliady we wszystkich scenach i momentach jako kochająca matka, która walczy daremnie o życie syna, pragnąc ze wszystkich sił uchylić grożący mu nieodwołalnie wyrok losu. Ileż to kobiet w przyszłości miało dzielić jej ból i tragedię, poczucie bezradności wobec tego, co nieodwracal-

⁴ Cytaty z przekładu Brunona Kicińskiego.

ne! Syn, choć dobrze i serdecznie rozumiał cierpienie matki, cofnąć się nie mógł; to była sprawa jego honoru, dumy, poczucia własnej godności.

Usłyszała Tetyda – opowiada I pieśń Iliady – jak płacze jej syn siedząc samotnie na wybrzeżu, ponieważ heroldowie królewscy zabrali mu Bryzeidę. Zaraz więc wyłoniła się z sinego przestworu niby mglisty opar. Usiadła na piasku tuż przy Achillesie, czule pogłaskała go ręką i zapytała:

– Dziecko moje, czemu płaczesz? I cóż to za smutek w twoim sercu? Powiedz, niechże wiemy oboje.

Przedstawił więc Achilles swej matce wszystko, co się zdarzyło: jak to król Agamemnon musiał odesłać brankę Chryzeidę do jej domu rodzinnego i jak zabrał mu z namiotu piękną córkę Bryzesa wołając, że się nie godzi, by on, król, nie miał z kim łoża dzielić. A potem jął prosić Achilles:

– Więc ty przynajmniej, jeśli tylko możesz, ujmij się za synem! Idź na Olimp i błagaj Zeusa, jeśli naprawdę pomogłaś mu kiedyś słowem lub czynem. Bo często słyszałem w domu mego ojca, jak się chwaliłaś, że ty jedna spośród wszystkich nieśmiertelnych ocaliłaś Zeusa od niechybnej zguby, gdy wszyscy bogowie olimpijscy chcieli go powalić i wiązać. To właśnie mu przypomnij i za kolana go podejmij. Może zechce jakoś pomóc teraz Trojanom, a tych tu Achajów zepchnie ku morzu i okrętom. Niech trupem gęsto legną, niech wszyscy zysk mają ze swojego króla! Wtedy to wreszcie zrozumie syn Atreusa, szeroko władający Agamemnon, jaki szał go opętał, że nie uczcił najdzielniejszego z Achajów!

Zalała się łzami Tetyda słysząc te słowa i tak zaczęła wyrzekać:

– I po cóż cię wychowywałam, moje dziecko, skoroś na nieszczęście zrodzony? Lepiej by było, gdybyś przy okrętach siedział bez płaczu i bez żalu. Życie sądzone ci krótkie, a teraz i śmierć rychła ci grozi, i jeszcze smutek serce trapi! Urodziłam cię na nieszczęście twoje. A to, o co mnie prosisz, powtórzę gromowładcy Zeusowi na Olimpie, gdzie śniegi wielkie; może potrafię go ubłagać. Ty siedź teraz przy chyżych okrętach, wciąż gniewaj się na Achajów, do walki z Trojanami nie stawaj. Zeus bowiem poszedł wczoraj ku wybrzeżom oceanu, na ucztę do Etiopów, a za nim także inni bogowie. Na Olimp powróci dopiero za dni dwanaście.

Kiedy więc zajaśniała dwunasta jutrzeńka, rankiem wynurzyła się Tetyda z fal morza i wleciała ku wysokiemu niebu, na Olimp. Znalazła tam Zeusa siedzącego z dala od innych, na szczycie góry o wielu wierzchołkach. Uklękła przed nim, lewą ręką chwyciła go za kolana, a prawą za podbródek, i rzekła błagalnie:

– Ojczy Zeusie, jeśli kiedykolwiek pomogłam ci wśród niebian słowem lub czynem, spełnij to życzenie: uczcij mego syna Achillesa, co ma umrzeć rychlej od innych! Zelżył go srodcie król Agamemnon, dar mu odbierając. Ty więc pomścij go, Zeusie, panie Olimpu! Tak długo wspieraj siły Trojan, póki Achajowie mego syna nie uczczą!

To powiedziała, lecz Zeus słowem się do niej nie odezwał. Siedział milcząc. A Tetyda wciąż mocno trzymała jego kolana. I znowu zaczęła prosić:

– Przyrzeknij mi to prawdziwie i skiń głową! Nie lękasz się przecież nikogo. Albo niech wiem, że pośród wszystkich jam najbardziej wzgardzona bogini!

Westchnął wreszcie Zeus ciężko i tak jej odpowiedział:

– Nieszczęsna to sprawa, że każesz mi sprzeczać się z Herą, kiedy zacznę mnie drażnić obraźliwymi słowami. I tak wciąż mnie nęka pośród bogów głosząc, że Trojanom w bitwach pomagam. Teraz jednak odejdz, żeby cię Hera nie ujrzała, a ja pomyślę, by stało się, o co prosiłaś. Na dowód, patrz, oto głową skinę. Znak to największy. Co tak potwierdzę, to już nieodwołalne i niezwodnicze, i niedaremne.

Rzekł i dał znak syn Kronosa brwiami ciemnymi, a boskie włosy opadły z głowy władcy i wielki zadrżał Olimp.

Potem się rozstali. Ona skoczyła w morskie głębiny ze szczytu Olimpu śnieżnego, Zeus zaś odszedł do swego pałacu. Powstali wszyscy bogowie, gdy się zbliżał, nikt nie śmiał pozo- stać na miejscu. Ale nie ukryło się przed Herą, że rozmawiał z Tetydą, zapytała więc złośliwie:

– Z którymże to z bogów, ty krętaczu, po kryjomu coś knułeś? Zawsze miłe ci tajemnice i zdrada, nigdy nie chcesz wyjawić mi łaskawie, co wydumałeś!

– Nie spodziewaj się, Hero, poznać wszystkich moich myśli. Zbyt trudne one nawet dla ciebie, choć jesteś moją żoną. Tego jednak, co godzi się powiedzieć, nikt przed tobą nie do- wie się pierwszy. Nikt ani z niebian, ani też śmiertelnych.

Tak rozpoczyna się akcja epepei, pierwszej zachowanej epepei greckiej, źródła i początku całej literatury naszego kręgu kulturowego. Przytoczone fragmenty pokazują wyraźnie, jak wręcz kluczową rolę w konstrukcji fabuły odgrywa Tetyda. A pojawia się w dalszych pie- śniach jeszcze kilkakrotnie, zawsze w momentach decydujących. To ona wyprosiła u Hefaj- stosa, aby wykuł Achillesowi nową zbroję, skarżąc się:

– Któraż z bogiń olimpijskich tyle ma trosk ciężkich w swym sercu? Tylko mnie Zeus ta- kimi cierpieniami obarcza. Dał mnie, jedyną pośród bogiń morza, człowiekowi za żonę. Ale mój mąż Peleus, którego objęcia znosić musiałam, teraz przygnieciony smutną starością od- poczywa w domu. Nie dość tego! Urodziłam, bo tak chciał Zeus, i wychowałam syna z wszystkich najdzielniejszego. Troszczyłam się o niego niby o piękny pęd w ogrodzie, pod Ilion wyprawiałam na okrętach, aby tam walczył z Trojanami. Lecz już go nie zobaczę, już nie powróci do domu Peleusa. Jeszcze ogląda światło słońca, jeszcze żyje, ale już boleje i cierpi, a ja w niczym nie potrafię mu pomóc.

A w ostatniej pieśni Iliady opowiada poeta, jak to Zeus wysłał po nią Irydę. Ta, szybsza od wiatru, zanurzyła się w ciemną głębiny morza pomiędzy wyspami Samos a Imbros. Tam w grocie na dnie znalazła Tetydę wśród innych bogiń morskich, oplakującą nieszczęsny los sy- na, który już wnet miał zginąć w żyznej Troi, daleko od swej ojczyzny. I Tetyda, choć smutna i pełna wstydu, nie ośmieliła się okazać nieposłuszeństwa wielkiemu bogu i zaraz wyruszyła na Olimp, biorąc jednak czarną zasłonę. Tu oznajmił jej Zeus, co postanowiono: ma udać się natychmiast do namiotu swego syna i prosić go, by już dłużej nie znęcał się nad zwłokami Hektora, lecz wydał je ojcu jego Priamowi, gdy ten stawi się z okupem. Tak też Tetyda po- słusznie uczyniła. Usiadła znowu przy synu, ręką gładziła go czule, użaliła się nad nim; bo jego życie już mijało, już nieubłagana Mojra stała obok. A potem przekazała wolę bogów.

Tak krąg się zamyka, od pierwszego w poemacie wzlotu Tetydy z morskich głębiny na Olimp do ostatniego; od pierwszego spotkania z synem do tego, które miało być pożegna- nym. Nam zaś wypada się zastanowić, jakimi to drogami przedziwnych skojarzeń i pomysłów mitycznych dziewczęca nereida, uosobienie beztroskiej igraszki fal morza, stała się pierw- szym w europejskiej literaturze symbolem matki oplakującej przedwczesną a nieuchronną śmierć syna.

Zeus i tytanki

Dlaczego Hera była wroga Trojanom, dlaczego tak podejrzliwie i złośliwie odniosła się do męża po jego spotkaniu z Tetydą? Istniało sporo powodów, a wśród nich również ten, powszechnie znany, że Parys, syn króla Troi Priama, uznał za najpiękniejszą nie ją i nie Atenę, lecz Afrodytę. Takiej wzdryki nie daruje nigdy żadna kobieta, nawet – a może zwłaszcza – bogini. Odtąd więc obie prześladowały Trojan nieubłaganie. Zeus natomiast okazywał przychylność Troi od samego początku, jeszcze nim Tetyda zwróciła się doń z prośbą. I on miał wiele powodów, jeden zaś bardzo osobisty: oto władcy grodu wywodzili się właśnie od niego! Niegdyś mianowicie, przed wiekami, uwiódł Elektrę, córkę Atlasa, i miał z nią syna Dar-danosa, a ten dał początek rodowi, z którego wyszedł Ilos, założyciel Ilionu, czyli Troi.

Elektra nie była ani pierwszą, ani jedyną kobietą, którą upodobał sobie Zeus poza małżeństwem. Miała wiele poprzedniczek i jeszcze więcej następczyń. Powstaje więc kłopotliwe pytanie, w jakiej kolejności je wymieniać, według jakiego porządku? Oczywiście, trudno by odtworzyć idealną, dokładną i precyzyjną chronologię mitycznych romansów. Z drugiej jednak strony wypada wprowadzić przynajmniej najogólniejszy ład do powikłanego i poplątanego łańcucha miłosnych przygód ojca bogów i ludzi. Wielu uzna to za wysiłek nie tylko daremny, ale wręcz niepoważny, zabawny. Lecz i zabawa jest w nauce poważna; ma też swoje prawa, których należy ściśle przestrzegać.

Przypomnijmy więc najpierw podstawowe i dobrze znane wyobrażenia Greków o czasach najodleglejszych.

Z chaosu wyłoniła się para bóstw najstarszych, Uranos i Gaja – Niebo i Ziemia. Ich potomstwem były trzy rody istot potężnych i groźnych: jeden z nich zwano sturamiennymi, drugi cyklopami, trzeci zaś tytanami. Jeden z tych ostatnich, Kronos, wykastrował swego ojca Uranosa i stał się panem świata wraz z siostrą imieniem Rea. Wiedział jednak, że kiedyś zrzuci go z tronu któreś z własnych dzieci, toteż pożerał je kolejno, gdy tylko się rodziły. Wreszcie zrozpaczona Rea podsunęła mu zamiast małego Zeusa – kamień. Gdy Zeus szczęśliwie dorósł w ukryciu, związał się z boginią Metis – po grecku imię to oznacza Przemysłowość – córką tytana Okeanosa. Podobno to ona była jego pierwszą kobietą i ona też doradziła mu, jaki lek ma podsunąć ojcu, by wyrzucił z siebie pożarte potomstwo. Co się stało i tak zostali uratowani bracia oraz siostry Zeusa: Hestia, Hera, Demeter, Posejdon, Hades. Potem wszyscy razem wydali walkę Kronosowi i tytanom. Zwycięstwo odnieśli dopiero po dziesięciu latach dzięki pomocy sturamiennych oraz cyklopów, których Kronos niegdyś zepchnął do podziemnych otchłani. Teraz Kronos i tytani zajęli ich miejsce w czeluściach Tartaru.

Lecz oto przed Zeusem stanęła groźba podobna do tej, jaka poprzednio gnębiła Kronosa. Przepowiednia orzekła, że Metis da mu najpierw córkę, potem syna, a ten pozbawi ojca władzy. Jak temu zaradzić? Zeus znalazł wyjście: wchłonął Metis będącą już w ciąży. Miało więc być tak, że to nie ona, lecz on urodzi córkę – i przepowiednia zostanie jakby ominięta. I rzeczywiście, gdy nadszedł czas, z głowy Zeusa wyskoczyła bogini Atena, już w pełnej zbroi. Podobno przy tym niezwykłym porodzie pomagał Hefajstos uderzając toporem w głowę Zeusa.

Siostra Metis, Eurynome, żyła niegdyś na zboczach Olimpu, ale przepędził ją stamtąd Kronos, kiedy zagarnął władzę nad światem; wtedy Eurynome schroniła się w głębinach mo-

rza. Zeus znalazł ją tam – trudno orzec, czy jeszcze przed walką z Kronosem, czy też już po zwycięstwie, jako nowy pan Olimpu – pokochał i miał z nią trzy córki. Były to Charyty, boginie wdzięku, panie urody i radości życia w całej przyrodzie oraz w sercach ludzkich.

Metis i Eurynome były siostrami stryjecznymi Zeusa, wszyscy troje należeli do tego samego pokolenia, skoro ich ojcowie, tytani Okeanos i Kronos, byli braćmi. Ale w tamtych do- brych czasach różnica wieku nawet o całe pokolenie nie odgrywała żadnej roli, zwłaszcza wśród wiecznie młodych bogów. Toteż nie ma się co dziwić, że Zeus zdobywał również sio- stry swego ojca, tytanki, swoje stryjenki. Jedną z nich była Mnemosyne, czyli Pamięć. Miło- wał ją przez dziewięć dni i nocy z rzędu – i urodziła mu dziewięć córek, zwanych Muzami. Natomiast jej siostra Temida, Sprawiedliwość, wydała na świat za sprawą Zeusa najpierw trzy Hory, boginie ładu i pór roku, a potem trzy Mojry, uosobienie mocy przeznaczenia. One to – Kloto, Lachesis, Atropos – prowadzą życie każdego człowieka od urodzin. po śmierć: jedna nić przędzie, druga nawija, a trzecia przecina. Ich odpowiednikami w mitologii rzymskiej były Parki.

Sprawa trzeciej tytanki, Dione, jest z pewnych względów wątpliwa. Niektórzy mianowicie uważali ją za córkę Okeanosa, a więc za siostrę Metis i Eurynome. W każdym razie wiele mitów łączyło ją z Zeusem, a owocem tego związku miała być Afrodyta. Inni wszakże utrzy- mywali, że pani miłości to córka Uranosa i morza, z którego fal sama się wynurzyła. Jak ów spór rozstrzygnąć? Warto się zastanowić, choć na pewno podniosą się głosy, że mamy obec- nie na głowie nieco poważniejsze zmartwienia niż owe śmieszne i sztuczne zabawy mitolo- giczne. Ośmielam się jednak sądzić, że właśnie w czasach napięcia nerwowego i wszelakich kłopotów, wielkich i małych, szczególnie cenne są takie zainteresowania, które pozornie ni- komu i niczemu nie służą, wydają się więc bezużyteczną igraszką, a przecież mają swój walor niewymierny, wręcz leczniczy. To one przenoszą nas w krainę czystej poezji, na Olimp bo- gów, czyli na wyniosłe szczyty olimpijskiego spokoju. Zabieg to nieodzowny dla każdego, kto pragnie zachować zdrowie psychiczne, oddychając choć przez chwilę czystym, nieskażo- nym powietrzem epoki, kiedy dopiero świat się poczynął. Antyczne bóstwa jeszcze dziś są nam potrzebne.

Wszystkie te Zeusowe miłości czy też małżeństwa trzeba by umieścić jeszcze przed jego ślubem z Herą. Dlatego były jawne, bezpieczne, pozbawione komplikacji. Sprawy zmieniły się całkowicie, kiedy u jego boku stanęła jako żona jedyna – Hera. Dała mu dwóch synów, Hefajstosa i Aresa, oraz dwie córki, opiekunkę porodów Ilityję i boginię rozkwitu młodości Hebe.

Powie ktoś, że w tej chronologii coś się nie zgadza, była bowiem mowa o tym, jak to He- fajstos pomógł ojcu, gdy rodził on ze swej głowy Atenę. Otóż są aż dwa możliwe wyjaśnienia tej sprzeczności. Po pierwsze, Zeus miał według niektórych mitografów antycznych dzieci z Herą jeszcze przed zawarciem z nią małżeństwa. Po drugie, dojrzewanie Ateny w Zeusowej głowie mogło trwać całe wieki, to jest od wchłonięcia przezeń Metis do urodzenia córki upły- nęły niezmierzone epoki. Zresztą, tylko niektóre opowieści mówią o Hefajstosie rąbiącym toporem w głowę ojca. To wszystko, oczywiście, trochę żartem, ale też po to, aby wprowa- dzić w sposób rozumowania, jaki stosowali starożytni uczeni badając i przedstawiając mity; czynili to bardzo serio.

Hera to arcykobieta i arcyżona. To znaczy, że przy wszystkich swych zaletach i cnotach miała również typowe przywary: zazdrość, podejrzliwość, kłótniwość i małostkowość. Przy- kład może stanowić choćby jej reakcja na spotkanie Zeusa z Tetydą; lecz to tylko niewinna, nader skromna próbka jej możliwości. Wobec prawdziwych swych rywalek potrafiła okazy- wać bezwzględność wręcz niewiarygodną.

Jedną z pierwszych jej ofiar stała się Leto, córka tytana Koeosa. Zeus najpierw usiłował pojąć jej siostrę Asterię. Chciał ją dopaść przybrawszy postać orła, ona jednak zmieniła się wtedy w przepiórkę, a gdy już nie widziała żadnego sposobu umknienia przed drapieżnym

miłośnikiem, rzuciła się samobójczo w fale morza. Jako bogini jednak umrzeć nie mogła – i oto po falach morskiego przestworu poczęła krążyć błędna wyspa Ortygia, czyli Wyspa Przepiórek, wciąż zmieniająca swe miejsce. Natomiast jej siostra Leto łatwo poddała się boskiemu amantowi – i srodze odpokutowała tę uległość. Kiedy bowiem Hera zmiarkowała, za czyją to sprawą Leto będzie matką, surowo zapowiedziała wszystkim miejscowościom na ziemi, gór, lasom, łąkom, wyspom, aby żadne jej nie przyjęło przed rozwiązaniem. Toteż dziewczyna błądziła w rozpacz, zewsząd wyganiana bezlitośnie. Tylko wysepka Ortygia, prawdziwie i dosłownie siostrzana, nie ulękła się gniewu Hery. Była zresztą całkowicie jałowa, pusta, bezludna, nie miała nawet swojego miejsca na powierzchni wód, czymże więc ryzykowała? Lecz kłopoty Leto, kiedy wreszcie tam spoczęła, jeszcze się nie skończyły, Hera bowiem z kolei nie pozwoliła zjawić się przy rodzącej bogini Ilityi, pani rozwiązań. Toteż Leto cierpiała bóle dziewięć dni i tyleż nocy, póki Iryda, posłanka bogów, nie przekupiła Ilityi długim, przepięknym naszyjnikiem ze złota i bursztynów. I tak wreszcie przyszło na świat boskie rodzeństwo, Apollon i Artemida, wysepka zaś Ortygia otrzymała od Zeusa nowe imię Delos, a także stała na wieki miejsce: wsparły ją wyrosłe z dna morskiego cztery kolumny.

Zeus zaś zainteresował się również rodzoną siostrą swej żony – czyli także swoją siostrą! – boginią Demeter. Posiadł ją zmieniawszy się w węża. Owocem tego romansu, czy też raczej podstępu, była Persefona, jedyna i ukochana córka Demeter. Dlatego też matka tak bolała, gdy porwał dziewczynę jej stryj Hades. Chciałoby się rzec: co za czasy, co za rodzina! Ale wstrzymajmy się jeszcze na chwilę z potępieniem.

Dotychczas mowa była o wielkich boginiach. Pora jednak zstąpić wraz z Zeusem stopień niżej, ku półboginiom. Ich przegląd rozpoczniemy od wspomnianej już Elektry. Jej ojciec Atlas rodził się z tytana Japeta, matka zaś Plejona była córką innego tytana, Okeanosa. Dziewcząt – i tylko dziewcząt – było w domu Okeanosa łącznie z Elektrą siedem, wszystkie zaś z wyjątkiem jednej miały za kochanków któregoś z bogów. Pewnego razu ujrzał je olbrzym Orion i zaczął ścigać ogarnięty namiętnością. Byłby wreszcie dopadł, gdyby nie Zeus, który w ostatniej chwili zamienił uciekające dziewczyny w gołębice – po grecku „pelejades” – a potem w gwiazdy; tak powstała konstelacja Plejad. Była też inna wersja mitu. Według niej przyczyną przemiany stał się żal matki i córek, kiedy Zeus skazał Atlasa na wieczne dźwignie na barkach potwornego ciężaru nieba i ziemi. Opowiadano również, że kiedy padła Troja, zrozpaczona Elektra opuściła siostrzany gwiazdozbiór i rozpoczęła samotną, błędną wędrówkę po niebie jako kometa; właśnie dlatego jej ukazanie się to znak złowrogi, zapowiedź wojny, pożogi, zniszczeń miast i całych krajów.

Zeus zaś miał szczególne powody, by opiekować się siostrami, gdy ścigał je Orion, sam bowiem aż trzy z nich uczynił swymi kochankami. O Elektrze już wiemy. Drugą była Tajgete. Ta opierała się długo i pan Olimpu zdołał ją osiąść dopiero wtedy, gdy omdlała. Dała mu syna imieniem Lacedemon, który później poślubił królową Spartę. Tak powstał lud Lacedaemonczyków oraz ich państwo; inaczej zwie się ich, niezbyt ściśle, Spartanami. Tajgete natomiast, pełna wstydu i rozpachy, ukryła się na górze, która od niej otrzymała miano Tajgetos. Według innego wszakże mitu bogini Artemida, pragnąc osłonić dziewczynę przed zalotami Zeusa, dała jej postać łani. To, oczywiście, nic nie pomogło, ale Tajgete, wdzięczna bogini, ofiarowała jej później łanię o złotych rogach; po iluś tam wiekach miał ją schwytać Herakles.

Wreszcie siostra trzecia, Maja. Imię to, jak była już mowa, znane jest również w mitologii rzymskiej i w wierzeniach indyjskich, ostatnio zaś stało się bardzo popularne w całej Europie dzięki telewizyjnej pszczołce Mai. Greckie opowieści niewiele mówią o tej córce Atlasa. Podobno jako nimfa zamieszkiwała jaskinię w Arkadii u zboczy góry Kyllene; i tam zbliżył się do niej Zeus głęboką nocą, kiedy wszystkie żywe istoty pogrążone były we śnie. Tak Maja stała się matką boga Hermesa. A malec, ledwie się urodził, ukradł swemu starszemu bratu Apollonowi stado dwunastu krów i spokojnie powrócił do grotty, do pieluszek, pod opiekę mamy. Po drodze znalazł skorupę żółwia i wykonał z niej lirę, pierwszy w świecie instrument

muzyczny. Apollon wykrył, oczywiście, sprawki brata i jego kryjówkę, choć Maja wszystkim przeczyla. Ostatecznie bracia pogodzili się: Apollon zostawił malcowi krowy, a sam odszedł z jego lirą. Apollon i Hermes byli to, oczywiście, bracia przyrodni.

Choć córki Atlasa pochodziły z rodu tytanów, niektórzy zaliczali je do istot śmiertelnych. Tak więc wkraczamy tutaj w nową dziedzinę, dotykamy odrębnego tematu, któremu na imię: Zeus i kobiety rodu ludzkiego. A było owych pań obdarzonych jego łaskami jeszcze więcej niż bogiń – któraż bowiem dziewczyna oprzeć by się mogła istocie wyższej? – romanse zaś układały się bardzo barwnie. Zatrzymajmy się więc przy tej granicy i spójrzmy na dotychczasową listę przygód miłosnych, listę prawdziwie i dosłownie tytaniczną, skoro jej bohaterki należały do różnych pokoleń potomstwa Gai i Uranosa.

Chyba się nie pomylę przypuszczając, że sporo czytelników przegląda ją ze zdziwieniem i nawet zgorzaniem. Tak zresztą czyniło przed nimi wielu, i to już w starożytności. Bo i jakże pojąć, czym wytłumaczyć, że Grecy, twórcy podstaw europejskiej kultury, tak wzniosli i subtelni we wszystkich swych dziełach, tak inteligentni, bystry, prześmiewni i krytyczni, mieli zarazem tak naiwne, a zarazem niemoralne wyobrażenia o swym bogu najwyższym? Mitologia wydaje się zlepkiem dziwacznych, a nie zawsze zabawnych historyjek, które nie wiadomo skąd się wzięły i czemu służą – poza gorszeniem maluczki i usprawiedliwianiem ludzkich, a zwłaszcza męskich słabostek i grzeszków przykładem idącym z góry, od samych bogów. Toteż nieuchronnie nasuwa się pytanie: jakim to sposobem genialni artyści, filozofowie, poeci mogli powtarzać z widoczną radością i z perwersyjnym zamiłowaniem tego typu bajeczki przez całe wieki?

Te i tym podobne zarzuty są tylko pozornie słuszne. Mitologia bowiem to przedmiot godny refleksji i wręcz pasjonujący, nie wolno widzieć w nim jedynie zbioru uciesznych historyjek, których zapamiętanie pozwoli może wygrać nagrodę w wielkiej grze telewizyjnej. Żywiąc szczerą szacunek dla wiedzy uczestników tej ogólnopolskiej zabawy, trzeba zarazem stwierdzić, że nazwy bogów i przygody herosów to tylko wierzchnia i najbardziej zwodnicza część mitologii. Prawdziwe jej studium – tak, można i należy mówić tu o studium – zaczyna się od pytań: skąd się wziął bezlik owych imion, przydomków, opowieści przystojnych i mniej przystojnych, jaki był ich pierwotny sens, jakie czynniki kształtowały ich bogactwo?

Nie wdając się w żadne długie, nudne rozprawy można pokazać, że już ta pierwsza seria Zeusowych miłostek nasuwa sporo istotnych spostrzeżeń każdemu, kto zechce się nad nią zastanowić.

A więc pierwotny chaos, niebo i ziemia jako prapoczątek to przecież motywy dobrze znane z wierzeń i opowieści starożytnego Wschodu, zapewne też stamtąd zapożyczone. Niewątpliwie bliskowschodniego pochodzenia jest również szokująca opowieść o wykastrowaniu Uranosa przez Kronosa. Znajdujemy dalej w przedstawionym materiale echa prymitywnych kultów przypisujących boskie znaczenie pewnym zwierzętom lub wprost uważających dane zwierzę za wcielenie boga i jego symbol. Tym można wyjaśniać opowieści o przemianie Zeusa w orła lub węża. Inne znowu mity to próba obrazowego wyjaśnienia różnych nazw. Usiłowano również symbolicznie powiązać boską władzę najwyższą z pewnymi wartościami moralnymi i intelektualnymi. Dlatego to mity każą Zeusowi poślubić Metis, czyli Przemysłność albo po prostu Mądrość, oraz Temidę – Sprawiedliwość.

Ale najbardziej zaskakujący, wręcz paradoksalny jest inny fakt. Oto można dowiedzieć, że tak liczne grono swych boskich przyjaciółek Zeus zawdzięcza autentycznej pobożności i politycznej rozwadze własnych, najdawniejszych czcicieli! Było bowiem tak: Grecy, przychodząc w II tysiącleciu p.n.e. do krain nad Morzem Egejskim, przynieśli z sobą kult najwyższego boga, ojca bogów i ludzi, żyjącego w rodzinie monogamicznej. Jednakże ludy autochtoniczne, mieszkające tam od prawieków, miały swoje kultury bóstw żeńskich, co stanowiło może odpowiednik matriarchalnego systemu społecznego. Cóż więc było począć, jak należało pogodzić dwa odmienne rodzaje wierzeń i rodzinnego porządku? Znalaziono sposób ludzki: łączono

Zeusa, boga przybyszów, z lokalnymi boginiami, opiekunkami dawniejszej ludności. I tak to Zeus – chciałoby się rzec, że wbrew swej woli – wpadał w coraz to nowe związki i tarapaty miłosne właśnie wskutek pobożnych zabiegów swych wyznawców, pragnących nieraz dla celów politycznych pogodzić nowe ze starym.

Trzeba jednak przyznać, że w tych religijnych kombinacjach wykazano przynajmniej pewne poczucie realizmu, a nawet humoru. Znając bowiem psychikę żon wyobrażano sobie, jak też małżonka pana Olimpu reaguje – musi reagować – na romanse swego męża. Tak więc Zeusowi ulegały tytanki, ale on lękał się ostrych słów swej żony.

Hestia i Westa

Hestia, rodzona siostra Zeusa, to bogini pradawna, wielka, czysta, dziewicza. Odbierała cześć w każdym domu prywatnym i w świątyni każdego bóstwa, a nawet w siedzibach władz miejskich i państwowych, czyli wszędzie tam, gdzie płonęły ogniska, choćby tylko symboliczne. Albowiem, powiada grecki poeta, właśnie taki dar przyznał jej Zeus w nagrodę za to, że nie wyszła za mąż: ma miejsce pośrodku każdego domu i przyjmuje ofiary. Sama wszakże nigdy nie opuszczała Olimpu, gdzie mieszkają niebiansi. I choć należała do bóstw najbardziej znanych i szanowanych, często też przyzywanych, nie sławiły jej żadne mity, w żadnych opowieściach nie odgrywała szczególnej roli. Rzadko również wyobrażały jej postać rzeźby i malowidła. Była więc bliska i obecna, a zarazem jakby bezosobowa, nieuchwytna, daleka; czcigodna i niemal przemilczana. Dlaczego?

Odpowiedź zawiera samo jej imię: „hestia” to grecka nazwa ogniska. A więc właśnie ona symbolizowała, uosabiała to wszystko, co łączyło się wtedy i wciąż jeszcze łączy w naszym odczuciu z owym wyrazem: ciepło i światło, bezpieczeństwo i swojskość, dom i więź rodzinna. Czyli to, czego nie da się ująć i wyobrazić konkretnie, a co przecież jest najważniejsze. Podobnie nie sposób wyrazić słowem lub obrazem nieprzemijalności życia rodzinnego, które trwa, jak to dawniej bywało, w ścianach jednego budynku i przekazywane jest z pokolenia w pokolenie na wzór ogniska domowego, co nigdy nie gasło, podtrzymywały je bowiem wierne, czujne i pracowite ręce kobiece; podtrzymywały, choć płomień niekiedy zdawał się zanikać, a żar ledwie się tlił pod popiołem.

Jak dziś pojąć, jak zrozumieć i przedstawić, czym było ognisko greckiego megaronu czy też rzymskiego atrium? W naszej świadomości istnieje ono tylko jako pewna przenośnia odziedziczona po dawno minionych pokoleniach, niemal jak frazes. Mówimy więc: ognisko domowe, kapłanka ogniska, ale coraz rzadziej stykamy się bezpośrednio już nie tylko z nim, ale nawet po prostu z ogniem. Stopniowo i prawie niedostrzegalnie dokonuje się od kilku generacji na coraz szerszych przestrzeniach całego globu ogromna przemiana kulturowa wszędzie tam, gdzie tylko docierają wpływy cywilizacji technicznej: w domach wygasa ogień. Ten ogień, którego przyjazne płomienie, blask i żar towarzyszyły ludzkości prawdziwie od zarania wieków. W wielu rejonach, krajach i miastach nawet piece kaflowe i kuchenne, nie mówiąc już o kominkach, stają się relikdami i przechodzą dość szybko do kategorii zabytków. Niemal we wszystkich nowoczesnych mieszkaniach ciepło dają żeberka kaloryferów lub urządzenia klimatyzacyjne, płomień zaś widzi się tylko w palnikach gazowych; a i to nie, jeśli dom jest całkowicie zelektryfikowany. Powstają zabawne, dziwaczne problemy: gdzie i jak spalić byle papierek?

Oczywiście, wygoda, postęp, oszczędność, zysk pod każdym względem, nie ma popiołu i sadzy, czystość i schludność. Czyż więc mamy się rozczulać nad tym, że trudno nam doznawać owej atawistycznej rozkoszy, jaką dawał sam widok buzującego płomienia, trzask drewnianych szczap, snopy tryskających iskier, nawet jeśli pachnący dym szczypał w oczy? „Nigdy nie zapomnę cudownego zapachu palącej się kory brzoźowej i nadzwyczajnego uczucia przytulności i poetycznego poczucia domowego ogniska, jakich doświadczałem co rano, kiedy służba napełniała piece i zapalała drzewo – zwłaszcza w pierwszych dniach zimy, gdy po obudzeniu się ze snu towarzyszyła niespodzianka, niezwykła cisza, jaką śnieg przynosił do

miasta. Nagła, czarowna, jak się okazywało – biała cisza! W tych chwilach trzask palącego się drzewa, iskry, aromatyczny i świeży dym – były rozkoszą. Dziś nabrało to dla mnie nowego znaczenia. Dziś ta cisza i te dźwięki, i zapachy są dla mnie elementami symbolizującymi pokój, porządek i bezpieczeństwo”. To słowa Wacława Lednickiego, wspominającego swoje dzieciństwo z lat przed I wojną w Moskwie, kiedy w piecach palono powszechnie drzewem; z paleniem węglem zetknął się on po raz pierwszy będąc w 1910 roku w Krakowie. Człowiek przywykł do ognia jako do swego towarzysza i obrońcy, niemal żywiciela, od- kąd przed setkami lat poznał jego tajemnice, przestał się go panicznie lękać, a nauczył się przechowywać żar i wykorzystywać dla swoich celów, w razie zaś potrzeby rozniecać pło- mienie na nowo. I chyba mają rację ci, co twierdzą, że w całej dotychczasowej historii ludz- kości były tylko dwie prawdziwie przełomowe rewolucje techniczne. Pierwszą, kiedyś tam w pomroce wieków, stanowiło oswojenie ognia, drugą zaś, już w wieku XX, ujarzmienie energii

jądrowej. Wszystko inne było lub będzie tylko pochodną owych genialnych odkryć.

Mamy więc pełne prawo tęsknić do ognia i ogniska, do wesołego płomienia i żywego, promieniującego ciepła, choć zarazem wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jest to żywioł zale- dwie ujarzmiony, który w każdej chwili może się przerodzić – i jakże często się przeradza – w groźnego, szalejącego wroga. Odczuwamy jednak przyjemność rozniecając i podsycając ogień podczas wycieczek lub w naszych ogrodach i na działkach. Stajemy się wówczas zno- wu dziećmi. Albo raczej powracamy do odczuć setek pokoleń naszych przodków, dla których ogień był wszystkim, jedyną szansą przetrwania w świecie krwiożerczych bestii, mrozów i nawałnic. Był samym życiem, jego esencją i gwarancją; a także obrazem – choć tego oczywi- ście tamci wiedzieć nie mogli – bo przecież z pewnego punktu widzenia życie to nic innego jak kontrolowany proces spalania. Stąd też tak powszechna obecnie moda na kominki, nawet jeśliby miały to być tylko takie, w których elektryczny palnik udaje prawdziwy żar i swobodę buszującego płomienia. Stąd również miłe zaskoczenie, jeśli w jakimś staromodnym miesz- kaniu znajdziemy piec kaflowy, przy którym można tak swojsko stanąć, ogrzać plecy, wypo- cząć przy naturalnym źródle ciepła.

Ogień, mówią nam mity greckie, nie jest darem bogów, lecz od nich pochodzi, został bo- wiem wykradzony przez Prometeusza; a bogowie nie chcieli go udostępnić częściowo z za- wiści, częściowo zaś z przezorności, przewidując w swej mądrości, jakich wynalazków stanie się on źródłem. Mít to bardzo znany, piękny i głęboko symboliczny. Mówi o bohaterze, który dał ludzkości dobro największe i zbawcze, ale dlatego poniósł z woli istot wyższych straszli- wą karę. Było potem wielu Prometeuszów w dziejach, twórców, odkrywców, wynalazców, a wielu z nich w nagrodę za swe dzieła i zasługi zносиło cierpienia zadawane ręką współcze- snych; następne bowiem pokolenia bywają zazwyczaj sprawiedliwsze.

Ogień więc był odkryciem, jeśli można tak rzec, męskim, jego wszakże opiekunką stała się od samego początku kobieta. Ona go przechowywała, dbała, aby nie zgasł, ona była jego prawdziwą strażniczką i kapłanką – w dosłownym tego słowa znaczeniu. Właśnie dlatego w kultach greckich i rzymskich, ale też innych ludów, istniał tak ścisły związek ogniska i ko- biety. Świętość ogniska przeniosła się na jego panią.

Tak, świętość. Miejsce bowiem, w którym dzień i noc pali się ogień, uchodziło za najczci- godniejsze w domu. Ktokolwiek obcy, prześladowany i uciekający przed wrogiem usiadł tam i błaga o pomoc, staje się nietykalny, obejmuje go prawo gościnności, gospodarz musi podać mu rękę. A przysięga złożona na ognisko należy do najuroczystszych i najświętszych, jej złamanie ściągnęłoby straszliwe nieszczęścia na własny dom krzywoprzysięzcy. W Home- rowej Odysei uważny czytelnik znajdzie jeszcze ślady takich wierzeń i obyczajów. A w cza- sach już w pełni historycznych, kiedy w Grecji klasycznej pewne pradawne tradycje uległy częściowo zapomnieniu i zatarciu, żyły one w pełni u niektórych ludów ościennych. Oto na przykład, co opowiada Herodot w wieku V p.n.e. o Scytach, wojowniczym ludzie irańskim ze stepów nadczarnomorskich, z terenów obecnej Ukrainy:

Kiedy król Scytów zachoruje, przyzywa trzech najczcigodniejszych wróżbitów, a ci za- zwyczaj stwierdzają, że przyczyną choroby jest złożenie fałszywej, przysięgi na królewskie ognisko przez tego to a tego człowieka; ta zaś przysięga, dodaje Herodot, jest u nich najwięk- sza. Podejrzanego o krzywoprzysięstwo zaraz się sprowadza przed oblicze władcy i wróżbici raz jeszcze powtarzają: król choruje, ponieważ fałszywie przysięgałeś na jego ognisko! Tam- ten, oczywiście, wypiera się, stają więc dla rozstrzygnięcia sprawy nowi wróżbici. Jeśli ci potwierdzą orzeczenie tamtej trójki, nie ma dla oskarżonego ratunku: ścina się mu głowę, a pierwsza trójka wróżbitów dzieli się jego majątkiem. Jeśli wszakże wystąpią różnice zdań, przychodzą dalsi wróżbici. Ostatecznie decyduje większość głosów, w przypadku zaś uwol- nienia oskarżonego dają głowę pierwsi wróżbici.

Ten dziwaczny, okrutny i prawdziwie barbarzyński obyczaj Scytów można jednak czę- ściowo usprawiedliwić tym, że w odczuciu ludu ognisko królewskie stanowiło zarazem sym- boliczne ognisko całej społeczności, kto więc obrażał i hańbił je krzywoprzysięstwem, szko- dził zarówno władcy, jak i wszystkim obywatelom, zasługując na karę najcięższą.

Religijny kult ognia i ogniska domowego był bardzo rozpowszechniony i głęboko zako- rzeniony wśród ludów indoeuropejskich, a więc tych, do których zaliczali się i Grecy, i Rzy- mianie, i Scytowie, i Ariowie indyjscy, a także oczywiście Słowianie. Polski wyraz „ogień”, łaciński „ignis”, sanskrycki „agni” z jednego pnia się wywodzą, świadczą o pradawnym po- krewnieństwie językowym i kulturowym.

Podobnie spokrewniona jest grecka Hestia z łacińską Westą, językowo i rzeczowo. Tak odczuwali to starożytni i nie ma powodu, aby dzielić w tej kwestii wątpliwości niektórych nowszych badaczy. Okrągła świątynka Westy znajdowała się od pradawnych czasów na Fo- rum Romanum. Płonął tam wieczny ogień, odnawiany jednak corocznie, kiedy to według sta- rego kalendarza rzymskiego zaczynał się nowy rok, a pieczę nad nim sprawowały dziewice – westalki. W czasach historycznych było ich zwykle sześć, a wybierał je najwyższy kapłan spośród dziewczynek w wieku od lat sześciu do dziesięciu. Swoją służbę sprawowały przez lat trzydzieści i musiały żyć wtedy w dziewictwie, złamanie zaś zakazu karano surowo: przez pogrzebanie żywcem. Natomiast po trzydziestu latach mogły wstępować w związki małżeń- skie; zdarzały się takie wypadki, małżeństwa te były jednak – tak twierdzą starożytni – z re- guły nieudane. W świątynce przechowywano też najstarsze i najczcigodniejsze przedmioty, uchodzące za symbole wiecznego trwania Rzymu, a wstęp tam miały tylko westalki. Nie ist- niał wszakże żaden posąg bogini, albowiem, jak powiada poeta Owidiusz:

„Musisz wiedzieć, że Westa to nic innego tylko żywy płomień, a z płomieni nie rodzi się przecież żadne ciało. Słusznie więc dziewicą jest ta, która nie wydaje i nie przyjmuje żadnych nasion, miłuje zaś towarzyszkę swego dziewictwa. Mniemałem długo, człek nierozumny, że są jakieś podobizny Westy. Dowiedziałem się wreszcie, że nie ma żadnych pod dachem okrąg- łego budynku. Przechowuje się tam tylko nigdy nie gasnący ogień”.

Dodajmy, że jeśli zgasł wskutek przypadku lub niedbalstwa którejś z westalek, rozniecano go natychmiast na nowo prastarym sposobem, pocierając suche drewno; jak w czasach prehistorycznych.

Podobnie jak Hestia, również Westa nie miała żadnych własnych mitów; może z wyjąt- kiem jednego. Opowiadał on, że podczas pewnej zabawy bogów, gdy Westa niezbyt chętna swawolnym rozrywkom zasnęła w ustroniu na trawie, zbliżał się do niej cicho i ukradkiem bożek Priap, jurny stróż ogrodów; był już o krok, już się zbierał, by zaskoczyć śpiącą, gdy osioł bożka Sylena, uwiązany w zaroślach nad strumieniem, nagle ryknął przeraźliwie. Ze- rwała się Westa, podniosła krzyk, widząc nad sobą sprośnego lubieżnika, a ten – schwytny niemal na gorącym uczynku – ledwie zdołał ująć cało.

Ale opowieść ta powstała późno i jest głównie dziełem wyobraźni poety usiłującego wyja- śnić, dlaczego to osioł odgrywał pewną rolę w kulcie Westy. Każdego bowiem roku w dniu 9 czerwca święcono tak zwane vestalia, a jednocześnie w tymże dniu oprowadzano po ulicach

miasta osły uwieńczone kwiatami i sznurami chlebów. Wyjaśnienie wszakże tego związku jest inne, dość prozaiczne. Westa mianowicie była opiekunką ogniska domowego, przy którym przygotowywano i wypiekano chleby w każdym gospodarstwie, tak przynajmniej działo się w czasach dawniejszych. Kiedy następnie funkcje te przejęli zawodowi rzemieślnicy, piekarze, uznali dzień Westy za swoje święto. Nie pracowali wówczas, a odpoczynek miały również osły, używane powszechnie do obracania kamieni młyńskich.

Nie ma już Hestii, nie ma Westy, nie ma ognisk domowych – poza pewnymi zwrotami w naszym języku. Trudno byłoby składać uroczyste przysięgi na żeberka kaloryferów, trudno też udzielać przywileju gościa i nietykalności każdemu, kto by dotknął kuchenki gazowej. Nikt nie może nawoływać by w pokojach M – 3 rozniecać ogniska, nikt nie cofnie przysłowiowego koła postępu. Wypada jednak po prostu stwierdzić, że dokonała się wielka i zapewne nieunikniona zmiana w naszych domach: nie ma w nich, powtórzmy to raz jeszcze, centralnego i świętego miejsca, widomego symbolu ciepła, trwałości, życia. Co prawda, nasuwa się niekiedy podejrzenie, że dla niektórych takim punktem i miejscem stał się telewizor. Ta zmiana musi pociągać za sobą konsekwencje o charakterze obyczajowym, socjologicznym, kulturowym. Może nawet stać się tak, że dom przestanie być domem, a będzie czymś w rodzaju maszyny do mieszkania lub pokoju hotelowego. A któż przywiązuje się do takich miejsc uczuciowo? Ale skoro sprawy tak się mają, tym bardziej należy szanować i pielęgnować to wszystko, co jeszcze pozostało z tradycji domowego ogniska, choćby w sensie przenośnym.

Zemsta i zwycięstwo Ikara

Tego mitu opowiadać nie trzeba, należy bowiem do najbardziej znanych i opowiadanych wciąż na nowo. Postać i los chłopca, który wzbił się na skrzydłach spojonych woskiem zbyt wysoko ku słońcu i przypłacił to życiem, stały się powszechnie zrozumiałym, przejrzystym symbolem, zarazem wszakże takim, który można wyklądać, rozumieć, interpretować bardzo różnie. Powołują się na jego lot i śmierć poeci i moralisci, wyznawcy postępu technicznego za wszelką cenę, ale także ci, co ostrzegają przed nadmierną ufnością w ludzką pomysłowość, przed zaborczością, nierozważą, wdzieraniem się w rejony zakazane, Ikar jest patronem wszelkich śmiazków rozpoczynających wyprawy w przestworza, również kosmiczne. To on wzywa pokolenie za pokoleniem, by wbrew wszelkim niebezpieczeństwom szły na podbój nieznanego i niedostępnego. Ale z drugiej strony samo imię Ikara stanowi groźne memento. Jego los, można by rzec, to w największym skrócie historia wielu najwartościowszych poczynań człowieczych od prawników. Także tych, które skończyły się szczególnie tragicznie, nikt bowiem ze współczesnych nawet ich nie dostrzegł. Tak właśnie dzieje się na sławnym obrazie Bruegla. Przedstawia on na szerokim planie pięknego pejzażu spokojną pracę i codzienne zajęcia, podczas gdy Ikar tonie w morzu gdzieś daleko – a nikt nawet nie patrzy w tamtym kierunku.

Pierwsza wyprawa powietrzna zakończyła się katastrofą, nie odebrała jednak nadziei, nie zniechęciła i nie strwożyła Ikarów następnych wieków i tysiącleci, aż wreszcie zaroilo się na niebie i w kosmosie od Ikarów zwycięskich.

Nie dlatego jednak dałem właśnie taki tytuł tym rozważaniom. Byłoby to przecież zbyt łatwe, takie odświeżanie starożytnego mitu przez odnoszenie go do triumfów współczesnej techniki, zbyt banalne. Sformułowałem taki tytuł, chcę bowiem wskazać, że człowiek właśnie obecnie wreszcie zrealizował antyczne marzenie i wziął pomstę na sprawcy Ikarowego upadku, na słońcu. Wpierw jednak, by rzecz miała swoje tło, przytoczę pewne fragmenty opowieści o Ikarze w najpiękniejszej wersji starożytnej, to jest te, które dał Owidiusz w VIII księdze *Metamorfoz*.

Król Minos na Krecie nie chciał żadnym sposobem wypuścić z wyspy budowniczego labiryntu Dedala i jego syna Ikara, pochodzących z Aten:

Niechaj zamknie przede mną i wody, i lądy.
– Rzekł Dedal – niebo dla mnie wolnym się zostanie.
Niechaj ma świat, lecz powietrza nie wzięj w panowanie?

Tak powiedział i wnet, mistrz nad mistrze, przemyślną sztuką zbudował skrzydła na wzór ptasich z piór połączonych woskiem:

Na ojca swego twory patrzył Ikar mały,
Igrał z nimi, nie wiedząc, że go zgubić miały.
To raz śmiejąc się piórka latające goni,
To wosk przysposobiony w szczupłej gnicie dłoni
I tak spóźnia cudowne ojca swego dzieło...

Wreszcie jednak, mimo tych dziecinnych swawoli, było gotowe. Mistrz nasadził oba skrzydła na ręce i wzbił się w powietrze poruszając nimi jak ptak. Zarazem pouczał syna:

Byś nie był przyczyną swej zguby,
Średniej trzymaj się drogi, Ikarze mój luby.
Spuszczając się za nisko, woda skrzydła zmoczy,
Za wysoko się wznosząc, słońce wosk roztopczy.
Leć środkiem!

Po tych wstępnych naukach i przygotowaniach wreszcie wzbili się obaj, a kiedy szybowali w przestworzach:

Rybak mącący wędką czyste wód zwierciadło,
Pasterz o kij oparty i rolnik o radło,
Widząc ich jak powietrzne przebywali drogi,
Ostupiał ze zdumienia i wziął ich za bogi.

W tym miejscu godzi się przypomnieć, że właśnie te postaci widzimy na obrazie Bruegla, z tą jednak charakterystyczną różnicą, że rybaka, pasterza, rolnika zdaje się zupełnie nie obchodzić ani lot, ani jego tragiczny finał.

Albowiem obaj żeglarze powietrzni mijali już wyspę Samos.

Gdy młodzian niecierpliwy, że tak nisko lata,
Żądzą nieba przejęty, ojca porzuciwszy,
Wzniósł się w przestrzenie wyższe. Słońca promień żywszy
Skoro spojenia skrzydeł wonny wosk rozgrzeje,
Spadły pióra, nagimi ramionami chwieje.
Już się dłużej w powietrzu utrzymać nie zdoła,
Spadający za późno ojca w pomoc woła.
Legł w morzu, które odtąd imię jego wzięło.

Przytoczyłem te urywki w znakomitym przekładzie Brunona Kicińskiego sprzed półtora wieku. Pora najwyższa, by znowu go wznowić, choć piękną by też było rzeczą, gdyby ktoś podjął się nowego, pełnego tłumaczenia, a ktoś jeszcze inny – zilustrowania. Zdumiewa mnie zawsze, że *Metamorfozy*, które przez tyle wieków stanowiły obowiązkową lekturę w naszych szkołach, co prawda w pruderyjnym wyborze, nie doczekały się większej liczby przekładów lub choćby parafraz w naszej literaturze i tak niewielu natchnęły artystów. A przecież to wy- marzone, przebogate źródło inspiracji!

Powróćmy jednak do Ikar. Mit nie mówi prawdy: chłopiec wcale nie utonął, nie zginął, nie umarł, a jeśli nawet, to tylko pozornie. Żył, a raczej odradzał się w różnych krajach i epokach pod rozmaitymi imionami, aż wreszcie osiągnął cel swych marzeń i wysiłków. Stało się to bardzo niedawno temu. Cały świat dowiedział się o tym natychmiast, ale wieść utonąła w powodzi przeróżnych, bardziej dramatycznych wydarzeń. W każdym zaś razie nikt nie pojął, że to Ikar, Ikar zwycięża po tylu tysiącletniach.

W lipcu 1981 roku z pewnego małego lotniska na północny zachód od Paryża wzniósł się w górę samolot dziwnego kształtu – ni to monstrualny latawiec, ni to prototyp aeroplanu sprzed I wojny. Jednopłatowiec o bardzo wąskim, cygarowatym kadłubie z kabiną pilota zwi- sającą u dołu i o wyjątkowo szerokim sterze poziomym: jego skrzydła i ów ster były wyłożo- ne tysiącami małych, kwadratowych płytek. Twórca wehikułu, amerykański inżynier Paul MacCready, już przed czterema laty wslawił się skonstruowaniem samolotu napędzanego wyłącznie siłą mięśni ludzkich; samolot ów, nazwany „Gossamer Condor”, zdołał wykonać pętlę w kształcie ósemki i utrzymać się w powietrzu przez czas, jaki określały wymagania

konkursu. W dwa lata później inny typ tegoż samolotu, „Gossamer Albatros”, przeleciał nad kanałem La Manche wyłącznie przy użyciu energii mięśni człowieka. Obecnie jednak wzbił się w powietrze „Solar Challenger”, napędzany energią czerpaną wprost z promieni słonecznych za pośrednictwem ponad szesnastu tysięcy komórek umieszczonych na skrzydle i na stateczniku. Właśnie tym różnił się „Challenger” od wcześniej budowanych samolotów, które napędzała energia elektryczna zmagazynowana w bateriach.

Przedstawmy sprawę „Challengera” jeszcze inaczej. Niegdyś Ikar wzniósł się zbyt wysoko, zbliżył się do słońca i dlatego zginął. Obecnie „Challenger” leci dzięki słońcu, a więc im wyżej się wzbija, im więcej wchłania jego promieni poprzez coraz rzadszą i czystsza atmosferę, tym lepiej dla niego, tym sprawniej działa i tym większą ma moc. Tak to Ikar naszych czasów bierze sprawiedliwą pomstę nad sprawcą zguby pierwszego Ikara, tego z wieków mitycznych.

Przełot z Francji na lotnisko w południowej Anglii udał się znakomicie. Trwał ponad pięć godzin, w tym nad samym kanałem godzinę i 25 minut. Pilotem był Stephen Ptacek. Nazwisko brzmi raczej słowiańsko. Czy nie jest to po prostu Ptaszek? Jeśli tak, to dla nas sprawa nabiera jeszcze miłszego wydźwięku.

Mityczny król Minos panował na Krecie chyba ponad 4000 lat temu, wtedy też żyli Dedal oraz Ikar. Odrodzili się, by zwyciężyć w XX wieku jako Paul MacCready i Stephen Ptacek. Tak właśnie historia ludzkości wciąż dopisuje – niekiedy wręcz zaskakujący – ciąg dalszy każdego mitu. I na tym też polega wieczna aktualność, żywotność, waga i użyteczność owych opowieści sprzed wieków, które doprawdy są czymś więcej niż poetyckim tworzywem lub przedmiotem telewizyjnych konkursów. Mit jest pytaniem, wyzwaniem i marzeniem naszych dawno zmarłych przodków, na które my musimy odpowiadać i które powinniśmy realizować. Aby myśl zwyciężyła opór materii.

Orfeusz i Eurydyka

Znaczenie, czar, potęga muzyki – oto co kojarzyło się starożytnym z imieniem Orfeusza. I taki też jest podstawowy sens mitów o nim; także o zejściu do świata zmarłych dla ratowania Eurydyki. Opowieści zaś było wiele. Płyną one, poczynając co najmniej od VII wieku p.n.e., wciąż potężniejącą rzeką przez całą grecką i rzymską literaturę, filozofię, sztukę, aż po sam schyłek i koniec antycznego świata, a nawet i dłużej, dalej, przechodzą bowiem w zmienionym kształcie także do chrześcijaństwa.

Jednakże ów heros muzyki i muzykowania miał za ojczyznę – tak zgodnie twierdzi cała starożytna tradycja – nie Grecję właściwą, lecz krainę położoną na północ od Olimpu, uchodził więc za człowieka trackiego rodu i zawsze w trackim przedstawiano go stroju. Jego matką miała być jedna z muz, Kalliope, ojcem zaś człowiek śmiertelny, Ojagros, uchodzący niekiedy za bóstwo rzeczki tegoż imienia, lub też sam Apollon. Kiedy później kult Orfeusza rozszerzył się po całym świecie greckim, wiązano często jego osobę z wielu odległymi od siebie miejscowościami, ale trackiego pochodzenia nic nie zdołało zatrzeć. Gdyby zaś traktować poważnie mitologiczną chronologię, należałoby przyjąć, że żył mniej więcej pokolenie przed wojną trojańską, był bowiem współczesny Heraklesowi i brał udział w wyprawie Argonautów po złote runo, podając muzyczny takt wioślarzom.

Instrument wszakże muzyczny, którego Orfeusz był mistrzem, a według wielu nawet wynalazcą, i którego dźwiękami czarował, ba, wręcz niewolił swych słuchaczy, był bardzo prosty, skromny, strunowy: kitarra lub lira. Twierdzono też, że jeśli nawet nie on pierwszy go skonstruował, to w każdym razie zwiększył liczbę strun – z siedmiu do dziewięciu. Przy wtórze tej muzyki Orfeusz śpiewał czy też raczej półśpiewnie recytował, wprawiając w zachwyt i rodzaj transu wszystkich i wszystko wokół: ludzi, zwierzęta, drzewa, kamienie, góry. Chciałoby się rzec, że mit starogrecki antycypuje i fantazując jeszcze wielokrotnie te efekty psychologiczne, te sceny, których świadkami dopiero jesteśmy my, ludzie XX wieku, obserwując występy młodych gitarzystów – śpiewaków. I chciałoby się wierzyć, że Orfeusz był rzeczywiście, realną postacią, człowiekiem z krwi i ciała, może nawet istotnie trackiego pochodzenia. Wniósł on – takie wolno snuć przypuszczenia – jakieś nowe wartości do znanych Grekom sposobów muzykowania, powodując tym zachwyt i szok. A to wystarczyło, by stał się ośrodkiem coraz barwniejszych opowieści, mitów, nawet wierzeń religijnych.

Czarowi Orfeuszowego grania i śpiewania ulegała bowiem nie tylko przyroda. Poddał się jego muzyce także świat najbardziej tajemniczy, niedostępny, zimny i nieczuły: bóstwa panujące nad krainą zmarłych. Mówiąc krócej: śmierć. Ten mit, tak szeroko znany, wciąż na nowo opracowywany i przedstawiany, otrzymał swój kształt klasyczny dopiero dzięki rzymskim poetom, Wergiliuszowi i Owidiuszowi, ale zasadniczy wątek jest na pewno o kilka wieków starszy. Gdy młodziutka żona Orfeusza, Eurydyka, zmarła nagle od ukąszenia żmii – zmarła, choć według niektórych była nimfą i z nimfami bawiła się na łące! – zrozpaczony mąż znalazł drogę do podziemia, pokonał wszelkie przeszkody, ułagodził słodką melodią najgroźniejsze potwory, stanął przed obliczem boskiej pary, Persefony i Hadesa, błagając:

O bóstwa, co podziemne zarządzacie państwa,
Którym śmiertelny haracz opłaca poddaństwa,

Nie myślcie, że zstąpiłem do tych strasznych ciemni
Ciekawy docieczenia Erebu tajemnic...
Przyjścia powodem żona. Ten kwiat wśród rozwicia
Szpetna zmija swym jadem pozbawiła życia.
Chciałem znieść moją stratę, miłość zwyciężyła...
Na okropność tych pieczar, ten zamęt głęboki,
Na to państwo milczenia i wiecznej pomroki,
Błagam was, Eurydykę wróćcie mi kochaną,
Zwiążcie przędzę jej życia, za wcześniej zerwaną!

Wzruszeni bogowie kazali przywołać Eurydykę, pozwolili pieśniarzowi razem z nią po- wrócić, ostrzegając jednak, by nie ważył się oglądać, inaczej bowiem znowu utraci ją na wie- ki. Tak więc ruszyli oboje wśród głuchego milczenia, drogą mglistą i ciemną ku odległemu światu. Lecz już w chwili ostatniej, już przy krokach ostatnich trwożny, czy żona naprawdę idzie za nim:

Zwraca oczy Orfeusz, lecz ona już znika!
Próżno ją tkliwym głosem zatrzymać się stara,
Eurydyka jak błada rozpierzchnęła się mara,
Lecz nie śmiała się żalić nad tą srogą zmianą,
Chyba by się żaliła, że jest zbyt kochaną.
Słabym głosem ostatnie pożegnanie daje
I wraca się powoli w smutne śmierci kraje.

Po raz wtóry nie wpuszczono już Orfeusza do podziemi, mimo jego rozpaczy i błagań. On zaś nie zapomniał nigdy o Eurydyce, pozostał jej wierny, gardził kobietami, choć wiele z nich usiłowało go zdobyć. Natomiast – wybaczymy pogańskim poetom ich beztroską naturalność:

On pierwszy ludów trackich był nauczycielem, Jak
nadobnych młodzieńców mieć kochania celem, On
dał przykład, jak z nimi słodkich chwil używać
I w krótkotrwałej wiosnie pierwsze kwiaty zrywać⁵.

Zapłacił wszakże za to srogo: wzgardzone kobiety zabiły go, a rozszarpane ciało wrzuciły wraz z lirą do rzeki. Tak głowa i lira niesione falami najpierw rzeki, potem morza, dostały się na wyspę Lesbos i tam zostały godnie pochowane. W nagrodę tego zbożnego uczynku wyspa stała się później sławna właśnie jako ojczyzna poetów lirycznych – wśród nich także Safony.

To oczywiście tylko jedna z wersji opowieści o śmierci Orfeusza. Według innej lira znalazła się na niebie jako konstelacja gwiazd, duch zaś przebywa na Polach Elizejskich. A jeszcze inna głosiła, że sam Zeus raził pieśniarza piorunem za to, że powróciwszy z podziemi odsłonił żywym tajemnice świata zmarłych.

Pierwotny mit, który chciał pokazać tylko to, że muzyka łagodzi obyczaje nawet potworów i bóstw śmierci, stał się punktem wyjścia i podstawą wielkiego ruchu religijnego w świecie greckim; może nawet pierwszego ruchu tego typu. Zataczał on szerokie kręgi już w VI wieku p.n.e. jako rodzaj objawienia. Powołując się na to, co Orfeusz rzekomo ujrzał w Hadesie na własne oczy, wyznawcy i propagatorzy ruchu głosili, że los duszy każdego człowieka tam zależy od tego, jak żyje tu. Po raz pierwszy pojawia się w europejskim kręgu kulturowym wyobrażenie sądu nad zmarłymi, nagrody dla dobrych, kary dla złych, wiecznego potępienia dla najgorszych. Dotychczas – świadczą o tym choćby epepeje Homera – dominował wśród Greków pogląd, że wszystkie dusze, gdy opuszczą ciało, czeka to samo niezależnie od tego, jak postępowały żyjąc: będą bytowały jako cienie bezsilne, snując się po mglistych, bezkres- nych polach kramy zmarłych.

⁵ Owidiusz: Przemiany, księga X, przekład Br. Kicińskiego.

Tak więc mit o Orfeuszu i Eurydyce jest czymś więcej niż wzruszającą opowieścią o miłości silniejszej od śmierci. Stanowi on jeden z tych potężnych czynników, które później poprzez platonizm i chrześcijaństwo kształtowały w ciągu wieków psychikę, poglądy, postawę Europejczyków. Niemal wszyscy – czy wiedzieli o tym, czy też nie – byli w jakiejś mierze wyznawcami Orfeusza.

Piłat i historia

„Umęczon pod Ponckim Piłatem”. Te słowa umieszczone w wyznaniu wiary dały rzymskiemu prokuratorowi, czyli namiestnikowi Judei, jednemu z rzeszy urzędników imperium, sławę wieczną, niezniszczalną, światową. Dzień w dzień, stulecie po stuleciu, powtarzają jego nazwisko miliony chrześcijan we wszystkich językach i krajach całego globu. Rola zaś i postawa Piłata w związku z procesem Chrystusa urosły dzięki relacjom ewangelistów do rozmiarów wielkiego problemu moralnego i wręcz metafizycznego. Jego słowa: „Cóż jest prawda?”, a nawet gesty, jak umycie rąk, stały się symbolami.

Zarazem jest to przecież postać konkretna i w pełni historyczna, której charakter i sposób sprawowania władzy poświadczają, poza ewangeliami, źródła pochodzące z tamtej epoki, to jest z I wieku n.e. Mówi o tym sporo w swych dziełach żydowski historyk Józef Flawiusz. Charakteryzuje Piłata krótko, lecz wyraziście, król Herod Agryppa I w pewnym zachowanym liście; a mógł on stykać się z prokuratorem Judei bezpośrednio. Wspomina o nim w jednym miejscu sam wielki Tacyt. Posiadamy obecnie nawet materialny i dotykalny dowód jego działalności w Palestynie. Jest nim odkryty przed kilkunastu laty w nadmorskiej Cezarei napis głoścący, że prefekt – tak bowiem kazał się tytułować – Pontius Pilatus zbudował w tym mieście świątynię dla cesarza Tyberiusza. Istnieją wreszcie legendy starochrześcijańskie w różnych wersjach, opowiadające zwłaszcza o późniejszych losach człowieka, który skazał Chrystusa.

„Umęczon pod Ponckim Piłatem”. Stwierdzenie to znalazło się w wyznaniu wiary nie dlatego, by uwypuklić i uwiecznić jego winę za męczeńską śmierć Mesjasza; ewangelie winę tę raczej tonują, zrzucając główną odpowiedzialność na część żydostwa. Przyczyna umieszczenia tych wyrazów w credo jest inna, czysto chronologiczna. Oto rok, w którym Chrystus został ukrzyżowany, nie był dokładnie znany, tradycja bowiem, że stało się to w roku 33 n.e., powstała dość późno i nie jest pewna. Wiedzano natomiast dobrze – właśnie dzięki ewangeliom – że prokuratorem Judei był wówczas Poncjusz Piłat. Kłopot wszakże w tym znowu, że sprawował on swój urząd długo, albowiem przez lat 10; o tym informuje nas w sposób niepodważalny świadectwo Józefa Flawiusza. Wynika również ze słów tegoż historyka, że odwołano Piłata do Rzymu na przełomie roku 36 i 37, musiał więc przybyć do Judei w roku 26.

Otrzymał nominację na swój urząd, kiedy prefektem pretorianów, czyli jakby pierwszym ministrem u boku cesarza Tyberiusza, był Sejan. Musiał więc uchodzić za jego człowieka i chyba cechował się podobną jak i prefekt niechęcią do Żydów; co potwierdził swymi czynami w Judei. Kiedy jednak Sejan został obalony podczas niesłychanie dramatycznych wydarzeń w Rzymie w roku 31, Piłat utrzymał się na swym stanowisku jeszcze przez lat kilka; godność prefekta pretorianów sprawował wówczas Makron. Ale pozostawienie prokuratora Judei było może związane z naczelną zasadą polityki personalnej Tyberiusza, by nie zmieniać urzędników zbyt szybko i często? Cesarz twierdził – może nie bez racji – że są oni jak bąki: wszyscy wysysają krew, ale kiedy już dobrze się opiją, mniej szkodzą. Trzeba więc mieć litość nad

ludnością i nie nasyłać jej wciąż nowych grabieżców.

A Piłat niewątpliwie należał do kategorii wyzyskiwaczy i katów. Herod Agryppa I oskarża go bardzo ostro. Zarzuca mu nieugiętość i bezwzględność, przekupność, dopuszczanie się gwałtów i rabunków. poniewieranie ludźmi, popełnianie zabójstw bez wyroku sądowego,

wszelkiego rodzaju czyny okrutne. Ale może oskarżenia te, zawarte w liście wystosowanym do cesarza, są przesadzone dlatego, że prokurator naraził się Żydom, obrażając ich uczucia religijne? O tym znowu ma sporo do powiedzenia Józef Flawiusz.

Jednym z pierwszych posunięć Piłata było wprowadzenie do Jerozolimy gódeł wojskowych z podobiznami cesarza. Dotychczas tego unikano, aby nie drażnić Żydów bezwzględnie przestrzegających drugiego przykazania: „Nie uczynisz sobie żadnej podobizny tego, co jest na niebie w górze, co na ziemi w dole, co w wodach pod ziemią, nie będziesz się im kłaniał ani służył”. Doszło z tej przyczyny do rozruchów, także w siedzibie prokuratora, w Cezarei nadmorskiej, i Piłat ostatecznie musiał ustąpić wobec determinacji ludności gotowej na śmierć, byle przykazania dochować.

Później rozpoczęto budowę wodociągu w Jerozolimie, a pieniądze na ten cel namiestnik wziął ze skarbca świątyni. Znowu wybuchły zamieszki, ale tym razem stłumiono je bez litości. Natomiast inaczej skończyła się sprawa, gdy Piłat, chyba już po upadku Sejana, umieścił w Jerozolimie pozłacane tarcze z wypisanym nazwiskiem cesarza, ale już bez jego podobizny. I to Żydzi uznali za pogwałcenie swych praw oraz zwyczajów; zwrócili się ze skargą do samego Tyberiusza, który rozkazał tarcze usunąć, wyrażając zarazem swoje niezadowolenie prokuratorowi.

Bezpośrednią wszakże przyczyną odwołania Piłata stała się krwawa napaść, jakiej dopuścił się w 36 roku na pobożnych Samarytan. Ci, zwiedzeni przez jakiegoś pseudoproroka, zgromadzili się w celach religijnych u stóp swej świętej góry Garizim. Prokurator zaś, wciąż i wszędzie wietrzący spiski, knowania, próby powstań, natarł na nich na czele oddziałów wojska. Namiestnik Syrii, któremu Piłat podlegał służbowo, nakazał mu wówczas złożyć wyjaśnienia w samym Rzymie.

Jakie były jego dalsze losy? Tradycja i legenda chrześcijańska odpowiadają na to pytanie dwoiście. Jedna grupa opowieści utrzymuje, że skończył rychło śmiercią samobójczą, a zwłoki jego, ciskane przez złe duchy, nie mogły nigdzie znaleźć odpoczynku, choć rzucono je przywiązane do kamienia młyńskiego najpierw do Tybru, a potem do Rodanu; ostatecznie spoczęły na dnie głębokiej, górskiej studni, ale i tam wciąż szaleją złe moce. Inna wszakże tradycja głosi, że Piłat zginął z wyroku cesarza – Tyberiusza lub Nerona – i to jako pełen skruchy chrześcijanin. A w kościele etiopskim uchodzi on od wieków nawet za świętego i jest patronem dnia 25 czerwca.

Przeglądając starożytne relacje o prokuratorze Judei i śledząc losy legendy o nim, trudno nie zapytać jego własnymi słowami: Cóż jest prawdą? Czy Piłat był bezwzględnym grabieżcą i sadystą, dla którego wydanie wyroku śmierci stanowiło igraszkę, czy też twardym, lecz rozsądnym administratorem, który przegrał nie rozumiejąc wschodniej mentalności i nie doceniając stopnia fanatyzmu religijnego w kraju, gdzie przyszło mu sprawować urząd? Czy istotnie, jak dają do zrozumienia ewangelie, chciał ratować Chrystusa i ustąpił dopiero pod presją sanhedrynu, po wyczerpaniu wszystkich możliwości ratunku, czy też pozwolił zbyt łatwo powodować sobą, dając zarówno upust własnej bezwzględności, jak też lękając się ewentualnych oskarżeń i intryg na dworze cesarskim? Na te wszystkie pytania nauka, literatura, legenda odpowiadają bardzo różnie, na tym też polega wieczna aktualność problemu Piłata – człowieka, który, jak to zwykle się mówi, „wpadł w credo” zdobywając sławę większą i szerszą niż najwięksi starożytni królowie, cesarze i wodzowie. To też jeden z paradoksów historii.

Aleksander Wielki

Aż po nasze czasy, aż po wiek XX ludzkość знаła tylko dwóch wodzów, którzy zasięgiem swych podbojów i sławą zwycięstw prawdziwie przełamali bariery wielkich kręgów kulturowych i przekroczyli granice kontynentów. Byli nimi Aleksander Wielki i Dżyngis – chan. Zestawienie to wydać się może zaskakujące, nawet wręcz niestosowne ze względu na pro-mienną glorię jednego, a krwawą poświęcenie wokół drugiego, tak wszakże jest rzeczywistość: na pewnej płaszczyźnie czyny i legenda ich obu wykazują zdecydowane podobieństwa.

Obaj przecież zdruzgotali wielkie państwa, obaj mieli u swych stóp kraje bardzo odległe i należące jakby do odmiennych światów, co z kolei dało rozgłos ich imionom wśród ludów zarówno Azji, jak też Europy. Chwała Aleksandra sięgała od krain nad Morzem Śródziemnym przez cały Bliski Wschód aż po Azję Środkową i Indie, Dżyngis – chana zaś od północnych Chin po środkową Europę. Jeśli spojrzeć na galerię wielkich wodzów pod tym kątem widzenia, nikt – ani Hannibal, ani Cezar, ani Tamerlan, ani nawet Napoleon – nie może równać się z nimi. Najbliżsi byłiby tamtym dwaj królowie perscy: Cyrus Wielki i Dariusz, ale niewątpliwie inny to wymiar i wodzostwa, i sławy. Podobnie zresztą, jak zdobywców arabskich. Konkwistadorzy zaś należą, rzecz to oczywista do zupełnie odmiennej kategorii historycznych postaci. A w naszej znowu epoce wszystko wygląda inaczej: glob się skurczył, różnice kulturowe uległy spłyceniu, a środki masowego przekazu w gorączkowym pośpiechu to wydymają jakieś wielkości, to znowu równie usilnie i pospiesznie strącają je w otchłań niepamięci.

Powie ktoś: Dżyngis – chan był przede wszystkim barbarzyńcą i ludobójcą znajdującym rozkosz najwyższą w samym akcie niszczenia, mordowania, zadawania śmierci całym miastom i ludom w sposób możliwie okrutny, Aleksander zaś to młody półbóg niosący wspaniałe wartości greckiej kultury i powiew swobód indywidualnych ludom, które dotychczas niewolniczo wegetowały pod batem orientalnych despotów. Ale przecież nawet dla Dżyngis – chana okrucieństwo nie było celem samym w sobie! Stosował je głównie jako jeden ze sposobów wojny, jako swego rodzaju broń psychologiczną. Chodziło o to, aby sama wieść o jego zbliżeniu się paraliżowała strachem i łamała wolę walki. Aleksander też nie gardził podobnymi metodami. Za przykład niech posłuży los Teb, miasta greckiego w samym sercu Hellady. Król zdobył je w roku 335, zrównał z ziemią, mieszkańców sprzedał w niewolę – a wszystko to właśnie w tym celu, aby w przyszłości nikt z Greków nie ośmielił się powstać przeciw jego władztwu. Także potem, już podczas pochodu na wschód, przeciw Persom, sporadycznie stosował środki bezwzględne, zimno kalkulując, jakie przyniesie to efekty i zyski. Oczywiście, pomiędzy programowym dziełem spustoszeń Dżyngis – chana a bardzo skromnymi w tym zakresie dokonaniem Aleksandra zionie przepaść, na szczęście i na prawdziwą chwałę tego ostatniego, ale wypada uczciwie przyznać, że pewnych załączków i skłonności wręcz ludobójczych także u Macedończyka nie brakło.

Jednakże porównanie obu wodzów można uznać za niewłaściwe jeszcze z innego powodu. Przecież – spotyka się i takie twierdzenie – Dżyngis – chan w ogóle nie był wodzem! Wysyłał, takie bywają wyobrażenia, nieprzeliczone hordy jedna za drugą, a mrowie dzikich jeźdźców stepowych samą swoją masą powalało i druzgotało każdy zastęp nawet najdzielniejszych, lecz ustępujących liczbą obrońców. Mylny, fałszywy pogląd! Wystarczy sobie uświa-

domić, czym był wówczas problem aprowizacji wojsk w marszu, by mocno stonować stereotypowe wyobrażenia o rwących rzekach, o nieprzejrzanym rzeszach mongolskich wojowników. Zwiokrotniała je fantazja, strach i duma pokonanych, którym trudno było przyznać, że zwyciężył ich w otwartej walce przeciwnik wcale nie tak górujący liczbą, a lepszy po prostu bitnością, przygotowaniem, sztuką wojowania. Zachowując odpowiednie proporcje, owe „hordy” Dżyngis – chana można by porównać z liczebnością zastępów Aleksandra. A ten wiodł na podbój Wschodu, jak dobrze wiadomo, niewiele ponad 30 000 ludzi, łącznie pieszych i jazdy.

Sprawę wojskowych talentów Dżyngis – chana na pewno lepiej i kompetentniej opisze inne pióro. Tu wystarczy stwierdzić, że tylko on byłby godny stanąć obok Aleksandra, jeśli idzie o zasięg sławy wojennej w różnych obszarach kulturowych. A ponieważ ta kultura, z której wywodził się Aleksander, europejska, okazała się w ciągu wieków zwycięska i ogarnęła niemal cały glob, i on na jej fali wysunął się przed swego azjatyckiego rywala po prostu jako najgłośniejszy wódz w dawnej historii ludzkości. Wyrazem tego choćby ogrom poświęconych mu prac. Zaczęły się ukazywać jeszcze za jego życia – i nie bez życzliwego poparcia samego bohatera, dzielnie tworzącego swoją własną legendę od pierwszych dni wielkiej wyprawy. Ukazują się w nie słabnącym rytmie poprzez tyle stuleci aż po nasze czasy, budząc zawsze zainteresowanie, a nawet emocje. Składają się na wielką, ogromną bibliotekę. Pod tym znowu względem można by z Aleksandrem porównywać tylko Napoleona. Ale czy sława tego ostatniego przetrwa próbę dwudziestu trzech stuleci? Przecież w zestawieniu z tą przepaścią wieków żył on niemal wczoraj!

Lecz oto dalsze pytanie, bardzo istotne: czy wódz najślawniejszy był także w rzeczywistości wodzem najwybitniejszym? Czy jego przydomek i najwyższy stopień chwały są w pełni zasłużone? Czy tradycyjna, tak pochlebna opinia naprawdę znajduje potwierdzenie w faktach? Mamy przecież prawo, a nawet obowiązek, zastanowić się, w jakiej to mierze Aleksander wzbogacił sztukę wojenną nowymi, konkretnymi pomysłami. W jakim stopniu zwycięstwa w bitwach można przypisać zastosowaniu zaskakująco oryginalnej taktyki? I czy wreszcie jego plany strategiczne, jego kampanie naprawdę olśniewają rozległą perspektywą, umiejętnością przewidywania posunięć przeciwnika, przenikliwą analizą przyszłych sytuacji. Przecież mogło być tak – ileż razy działo się podobnie w historii! – że Aleksander pokonał przeciwników, ponieważ byli gorzej uzbrojeni i przygotowani; albo też sprzyjały mu wyjątkowo pomyslnie zbiegi okoliczności; lub wreszcie tamta strona, choć materialnie górująca, popełniała jaskrawe błędy w taktyce i w strategii dowodzenia, dała się zaskoczyć, nie miała ducha walki. Otóż gdyby sprawy tak się przedstawiały, można by nadal zwać Aleksandra wodzem najślawniejszym, albowiem tylekroć zwyciężał, tyle krain podbił, ale trudno byłoby dawać mu miano najwybitniejszego, skoro to szczęśny los obsypywał go olśniewającymi zasługami, a nie osobiste jego zdolności, energia, siła charakteru. I wreszcie możliwa jest jeszcze jedna ewentualność: wrodzone talenty Aleksandra rozwinęły się dzięki wyjątkowo sprzyjającym układom. Mówiąc obrazowo: był orłem, ale wyniosły go tak wysoko wstępujące, szczególnie korzystne prądy.

I nikt nie zaprzeczy, że pole startowe – jeśli wolno posłużyć się taką przenośnią, mówiąc o ludziach odległej starożytności – miał wręcz wymarzone. Był przecież synem i spadkobiercą króla Macedonii Filipa II, jednego z najświetniejszych polityków i wodzów, jakich znał świat antyczny. Otrzymał jakby w darze państwo mocne i dominujące nad sąsiadami, zwłaszcza nad Grekami. Od roku 338 p.n.e., od sławnej bitwy pod Cheronęją, w której Aleksander uczestniczył jako osiemnastoletni chłopiec, formalnie dowodząc jazdą na lewym skrzydle, państewka Hellady niewiele znaczyły. Były wprawdzie nadal niby to niezawisłe, suwerenne, wolne i niepodległe, ale każdy Hellen rozumiał, że o sprawach istotnych decyduje obca wola. Zwołany z inicjatywy Filipa kongres potulnie przyjął jego propozycje: ogłoszono pokój ogólnogrecki oraz zapowiedziano wspólną wyprawę Macedończyków i Greków przeciw Persom –

oczywiście pod wodzą króli. Zgodnie z tym Filip wysłał korpus swych wojsk do Azji Mniejszej i sam już przygotowywał się do drogi, gdy w czerwcu roku 336 powalił go miecz zabójcy. Za osobą człowieka, który dokonał zamachu, stała na pewno Olimpias, jego odepchnięta żona. A może i Aleksander wiedział o spisku? Żył przecież w stałym lęku, by ojciec nie odsunął go od prawa dziedziczenia tronu. W chwili zbrodni szedł tuż u jego boku. Nigdy nie potrafimy odpowiedzieć na to pytanie, dręczące wielu historyków, a jest ono ważne, bardzo ważne dla oceny Aleksandra jako człowieka i polityka, ale nie jako wodza. Choć może nigdy by nim nie został, gdyby nie poparł wtedy, choćby tylko przez bierność i ciche przyzwolenie, tej zbrodni, tak dla niego korzystnej? W każdym razie, jeśli to Filip poprowadziłby wyprawę, jemu przypadłaby chwała, nie Aleksandrowi!

Dla wodza najważniejsze jest jego narzędzie: wojsko. I to Aleksander otrzymał gotowe. Przejął po ojcu armię sprawną, wyćwiczoną, o dużym doświadczeniu bojowym. Przejął też korpus oficerski z tak znakomitymi dowódcami, jak Parmenion i Antypater. A miał przeciw sobie armię perską, liczną, nawet ogromną, lecz nieskładną, bo wieloetniczną. Trudno było szybko ją zebrać i skoncentrować w jednym miejscu ze względu na przeszkody komunikacyjne i zaopatrzeniowe. A znaczną jej część stanowili najemnicy greccy, walczący dzielnie, lecz uważający się za obcych i tak też traktowani przez króla oraz jego satrapów.

Jakże więc odpowiedzieć na postawione pytania? Trzeba by rozpatrywać krok za krokiem całą kampanię i rozdzielać, co w jej bitwach i w całym przebiegu było zasługą Aleksandra, a co cudzą. Zadanie pozornie proste, a przecież niewykonalne.

Wszystko to dowodzi, ile jeszcze jest do zrobienia w historii starożytnej, która już od tylu wieków tak pilnie jest opracowywana.

Homer i przybysze z kosmosu

Tygodnik „Literatura” zamieścił w numerze z dnia 21 lutego 1980 roku w dziale korespondencji tekst pod tytułem Homeryckie osobliwości. Jego autor, Kazimierz Bzowski, pisze:

„W Iliadzie, w księdze XI, czytamy: »Hektor z ogromną tarczą śmiałym stąpa krokiem jak odziany posępny Syriusz obłokiem, raz błysnie krwawym światłem, drugi raz się skryje«. Na pierwszy rzut oka niby nic nadzwyczajnego, ot – zwykła przenośnia poetycka dla uwypuklenia potęgi Hektora i efektów jego wyglądu zewnętrznego. Sęk tylko w tym, że ten werset dokładnie obrazuje pewne zjawisko astronomiczne, które rzeczywiście miało miejsce w zamierzchłej przeszłości”.

O jakie to chodzi zjawisko, kiedy się wydarzyło? Autor przypomina, że Syriusz stanowi w istocie układ gwiazdy podwójnej, cechujący się tym, że oba jego składniki krążą wokół wspólnego punktu, dla obserwatora na Ziemi następuje więc co pewien czas przesłonięcie ciała A przez ciało B. Obecnie widzimy stale składnik A o świetle równomiernym i jasnym, natomiast B – to gwiazda wygasła, czyli biały karzeł. Niegdyś jednak i on promieniował wi- działnie, czerwono i krwawo, był wtedy czerwonym olbrzymem. Ta faza trwała około miliona lat i zakończyła się mniej więcej sto tysięcy lat temu. Otóż jeśli Homer mówi o krwawym świetle Syriusza, ktoś widocznie zaobserwował właśnie to zjawisko, właśnie takie świecenie. Ale kto? Przecież nie sam Homer i nie jego poprzednicy, a ojdowie! W każdym jednak razie, twierdzi Bzowski, „takiej obserwacji w okresie wcześniejszym niż 100 000 lat temu musiała dokonać istota rozumna. Innej możliwości nie ma!”

Zdaniem autora, burzy to dogmat antropologiczny, „według którego w owym okresie na Ziemi nie istniał jeszcze gatunek homo sapiens zdolny do dokonania tak precyzyjnych obserwacji ani też do żadnego skomplikowanego intelektualnie działania”. Autor wywodzi dalej, że niezwykłych opisów jest u Homera mnóstwo. „Znajdujemy tam ni mniej, ni więcej, ale według obecnych kryteriów opisy sztucznie skonstruowanych, superszybkich statków morskich i powietrznych, a nawet opis statku kosmicznego... Ani aoidowie, ani Homer nie podali przekazów o owych niezwykłościach świadomie, a raczej dotarły one do nich drogą prastarych ustnych przekazów”. Idąc śladem myśli Bzowskiego, moglibyśmy też założyć, choć on sam tego nie mówi – że wiedzę o krwawym Syriuszu przekazali ludziom w zamierzchłej przeszłości przybysze z kosmosu. Bo skoro lądowały na Ziemi ich statki...

Co sądzić o tym rzeczywiście niezwykłym wywodzie? Jeśli chodzi o mnie, ustosunkowuję się doń z góry sympatycznie, mógłby bowiem otworzyć nową erę w badaniach nad Homerem, a nawet nad całą literaturą antyczną. Mógłby w ogóle ożywić studia klasyczne i zainteresowania tamtą epoką. A czegoż więcej ośmielam się pragnąć jako starożytnik? Rozumowanie autora wydaje się samo w sobie logiczne i konsekwentne, wnioski zaś – przynajmniej jako hipoteza robocza – uzasadnione. Pozostaje więc tylko drobiazg: należy odszukać i sprawdzić, jak brzmi w oryginale miejsce, na które autor powołuje się ogólnikowo. Jest to oczywisty i podstawowy wymóg przy każdej pracy badawczej tego typu: dotrzeć do źródła informacji.

Autor, choć tego nie podaje, korzystał z Iliady w przekładzie Franciszka Dmochowskiego. Pochodzi on z początków wieku XIX, należy jednak obecnie do najbardziej u nas rozpo- wszechnionych, wznawiano go bowiem wielokrotnie w ramach Biblioteki Narodowej. Mamy, oczywiście, wiele innych, nowszych, ale sprawy tłumaczeń nie są tu dla nas istotne. Nam chodzi tylko o oryginał. Łatwo stwierdzić, że cytowane miejsce odpowiada w greckim tekście

– księgi XI Iliady wierszom 60 – 64. W przekładzie dosłownym brzmią one następująco:

„Hektor zaś wśród pierwszych niósł tarczę zewsząd okrągłą. Jak z chmur pojawia się zgubna gwiazda bardzo jasno świecąc, a potem znowu kryje się w chmury ciemne, tak Hektor raz był wśród pierwszych, a kiedy indziej wśród ostatnich rozkazując”.

Czy wiersze te wymagają jakiegokolwiek komentarza? Sprawa jest całkowicie jasna. „Zgubna gwiazda” to rzeczywiście Syriusz, tak określa go Homer także w innych miejscach, gdzie mowa o Syriuszu. Co prawda – przypuszczano to już w starożytności, a również w czasach nowożytnych – można by tu myśleć o komecie. Sam Dmochowski w pierwszych wydaniach przekładu dawał zamiast nazwy Syriusz właśnie to określenie: kometa. Ale te kwestie filologiczne nie są dla nas w tym wypadku ważne. Najistotniejsze jest to, że grecki oryginał nie mówi ni słowem o tym, że posępny Syriusz to błyska krwawym obłokiem, to znowu się kryje! Jest to wymyśl i dodatek polskiego tłumacza, który notabene greckiego nie znał w ogóle albo znał go bardzo słabo i w swej pracy nad Iliadą opierał się na nowożytnych przekładach, nieraz dość swobodnych, mających bowiem na oku cele artystyczne, a nie pełną wierność. Uważał też z kolei za swoje prawo poetyckie nieco zmieniać tekst i przekształcać, aby brzmiał w polszczyźnie barwniej i wznioślej. Skąd mógł przypuścić, że jego ozdobniki staną się kiedyś podstawą do śmiałych teorii astronomicznych?

W czasach Dmochowskiego o przybyszach z kosmosu jeszcze nie myślano. Homer posłużył się porównaniem prostym i dobrze znanym swoim słuchaczom, a potem czytelnikom: jak jasna gwiazda Syriusz raz się pojawia na niebie, raz znowu kryje za czarnymi chmurami, tak samo rycerz w swej błyszczącej zbroi raz jest dobrze widoczny w pierwszych szeregach, a potem znika gdzieś z tyłu. Co tu dziwnego, co niezwykłego, co tajemniczego i wskazującego gdzieś w otchłanie czasu? Cały więc wywód został zbudowany na nieporozumieniu, a głównym winowajcą okazuje się sam Franciszek Dmochowski.

Poświęciłem tej sprawie nieco uwagi, sądzę bowiem, że jest to ogromnie pouczający, wręcz klasyczny przykład tego, w jaki sposób powstają w naszych czasach i wręcz na naszych oczach przeróżnego typu twierdzenia o pobycie kosmitów na Ziemi, o Atlantydzie, o zaginionych cywilizacjach, o tajemnej wiedzy ludów starożytnych. W przygniatającej większości autorzy takich twierdzeń – działający zresztą na ogół w dobrej wierze, często bardzo pomyślni i posiadający rzetelną wiedzę w swoich dyscyplinach – posługują się z braku odpowiedniego przygotowania i rozeznania w zakresie badań historycznych niedokładnymi i przestarzałymi wydaniami lub przekładami autorów starożytnych, nieścisłymi relacjami dawnych podróżników, niezbyt precyzyjnymi rysunkami lub podretuszowanymi fotografiami. I w ten sposób, przy odrobinie fantazji i swobody interpretacyjnej, aureola okazuje się hełmem astronautów, źle naszkicowana dłoń – rękawicą skafandra, pęknięcia ścian nad malowidłem – czułkami lub antenami radiowymi, baśń o zatopionej wyspie – prawdziwą historią ogromnego kontynentu, a poetycka metafora – reliktem wielkiej wiedzy astronomicznej.

Nie piszę tego z pozycji niedowiarka, konserwatysty, wroga i prześmiewcy śmiałych, świeżych pomysłów. Po prostu pragnę skromnie przypomnieć, że nauka, każda nauka, musi kierować się niezłomnie dwiema zasadami: nie wolno odrzucać z góry żadnej, nawet najbardziej nieprawdopodobnej idei, ale też z drugiej strony nie wolno jej przyjmować bez zbadania sumiennie i krok po kroku całości materiału dowodowego oraz ciągu argumentacji. W tym wypadku proces sprawdzania był krótki i dość prosty, cała bowiem konstrukcja została zbudowana na fundamencie, który w rzeczywistości nie istnieje.

To wszystko, oczywiście, nie oznacza, że Homer i jego świat nie mają swych tajemnic. Przeciwnie, jest ich wiele, bardzo wiele, i to w każdej dziedzinie. Może istotnie ukryte są gdzieś w pięknych wierszach poety jakieś dane z zakresu astronomii przekraczające ówczesny stan wiedzy, co by wskazywało na informacje otrzymane z zewnątrz, może przez przybyszów z kosmosu? Niczego nie wykluczam. Dlatego też zachęcam jak najgoręcej do odczytywania Iliady i Odysei wciąż na nowo. Nagroda jest pewna, nawet gdyby nie udało się odkryć żadnych tajemnych nauk i przekazów: obcowanie z wielką poezją.

Krakowianin Asterix

Ileż to krajów podbił Asterix, nim dotarł do Krakowa! Nie, raczej trzeba by powiedzieć: nim powrócił do tego miasta, poniekąd swej praojczyzny. Podbił? Nie tyle siłą mięśni i sprytem, ile urokiem komiksów, których jest bohaterem. Powrócił? Nie dosłownie, nie osobiście, ale na taśmie zabawnego filmu rysunkowego. Kraków jego ojczyzną? Owszem, to prawda, choć określenie ojczyzna należy w tym wypadku rozumieć szeroko – o czym za chwilę.

Ale po porządku. Najpierw – kimże jest ów Asterix? Odpowie na to pytanie niemal każde dziecko w różnych miastach całego świata oraz wielu, wielu dorosłych. Otóż postać to bardzo sympatyczna. Wojownik celtycki, czyli – jak mówili Rzymianie – galijski, niewielki wzrostem, ba, wręcz nikczemnej postury, jak nasz pan Wołodyjowski, ale za to bardzo dzielny, zaradny, przemyślny. Zdobę go, jak wielu wówczas rodaków, wąs piękny, bujny, płowy. A imię? Nie, nie wywodzi się od nazwy kwiatu, lecz od greckiego wyrazu „aster”, gwiazda, do którego ojciec chrzestny bohatera, pan Goscinny, doczepił dowcipnie celtycką końcówkę

„rix”, odpowiadającą polskiemu – wład. A więc razem coś jakby Gwiazdowład.

Powolał do życia Asterixa i jego miłych towarzyszy wspomniany pan Goscinny o nazwisku raczej nie w pełni francuskim, rzekłbym nawet, że brzmi ono nader swojsko. I nasz to rodak, który w gościnnej ziemi dawnych Gallów zdobył sławę prawdziwie międzynarodową wspólnie z panem Uderzo. Pierwszy z nich opowiada o przygodach Asterixa, drugi ilustruje je komiksowymi rysunkami. Ostatecznie, mógłby ktoś zauważyć, nic w tym wszystkim nadzwyczajnego. Komiksów produkuje się obecnie bez miary, a nawet, można by powiedzieć, bez umiaru, zawsze bowiem znajdują chętnych odbiorców, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży. Tak, to prawda, żyjemy w erze literatury komiksowej, zwykle – niestety – nie najwyższych lotów. Można nawet mówić o poważnym zagrożeniu estetycznej wrażliwości szerokich kręgów czytelniczych. Ich wyobraźnię zapełniają potworkowate postacie doświadczające głupkowatych przygód na ziemi, na morzu, w powietrzu i w kosmosie. A postacie te wypowiadają się za pomocą dymków, które ulatują im z ust i w które wpisane są słowa toporne, prymitywne, nieudolne – jak same rysunki, jak kolorystyka, jak pomysł. Owszem, to jest wielkie niebezpieczeństwo, zwłaszcza że komiksy trafiają głównie do rąk osób młodych, dopiero kształtujących swe upodobania, jeszcze niewyrobionych, jakby miękkich, a chłonnie odbierających wszystko, co kolorowe i łatwe. Tak spłyca się umysłowość, deformuje wyobraźnię, rozleniwia lub wręcz zabija zdolność do wysiłku intelektualnego. Już odzywają się głosy krytyczne, już coraz więcej uwagi poświęca się różnym stronom tego zjawiska. Sądzę, że komiksoliteratura stanie się kiedyś wielkim problemem. Stwierdźmy jednak, że i w niej istnieją dwa nurty. Trafiają się przecież w tym zalewie papki subkulturowej również rzeczy dobre, nawet znakomite. I to zarówno pod względem pomysłu, jak też wykonawstwa. Książeczkom Gościnnego i Uderzo, czyli po prostu asteriksokomiksom, dałbym notę wysoką.

Co do tematyki, to jest ona rzeczywiście niecodzienna i nietypowa. Przenosimy się nie w przyszłość, lecz w przeszłość, i to o 2000 lat wstecz. Autorzy kazali Asterixowi żyć w starożytności, około roku 50 p.n.e. Umieścili go w Galii, czyli w dzisiejszej Francji, i to w takim zakątku kraju, którego – rzekomo – jeszcze nie zajęły legiony pana Juliusza Cezara, choć zając chciały, wciąż atakując tę ostatnią wolną osadę. Bronił jej wszakże odważnie, a zarazem przebiegle sam Asterix i jego najbliższy przyjaciel, siłacz Obelix, bez trudu dźwigający

ogromne głazy, rozmiłowany w walce i – w mięsie dzików. Władał osadą król pełen majestatu i męstwa; gdy dom opuszczał, wojownicy dźwigali go siedzącego na tarczy. Czyny obrońców opiewał pieśniarz bardzo dumny ze swych utworów, choć zdania o jego talencie były nader podzielone; przyznawano jednak, że bywa całkiem miły – kiedy nie śpiewa. Jakim jednak sposobem, zapytacie, garstka wojowników zdołała osłonić małą osadę, stawiając zwi- cięsko czoło największemu wodzowi i jego karnym kohortom? Było to w wielkiej mierze zasługą druida, czyli kapłana – czarownika, który przyrządzał napój dający każdemu, kto go łyknął, siły nadludzkie. Tylko Obelix nie musiał korzystać z tego eliksiru, wpadł bowiem do kotła, w którym płyn się warzył, jeszcze jako mały chłopiec, toteż moc cudotwórcza przepoiła go całkowicie i na wskroś.

Przygodom Asterixa i jego kompanów autorzy poświęcili całą serię książeczek komiksowych. Oto tytuły niektórych: Asterix gladiator; Asterix i Kleopatra; Asterix legionista; Asterix na igrzyskach olimpijskich; Asterix w Hiszpanii; Asterix w Brytanii. Od lat należą one do najpopularniejszych nie tylko we Francji, lecz w bardzo wielu krajach, ukazują się bowiem w różnojęzycznych mutacjach: angielskiej, niemieckiej, hiszpańskiej, portugalskiej, szwedzkiej, fińskiej itd. W owych mutacjach bohaterzy, z wyjątkiem oczywiście Asterixa i Obelixa, często występują pod innymi imionami, zgodnymi z duchem i fonią danego języka.

U nas wszakże tylko niewiele osób zna Asterixa. Ale dzielny wojownik i tak potrafił dotrzeć do szerokich rzesz. Dzięki wrodzonemu sprytowi jakoś obszedł inercję wydawniczej biurokracji, dokonując tego m. m. przez filmy rysunkowe. Jest ich cała seria, oparta oczywiście na komiksach książkowych. Jeden z nich, 12 prac Asterixa, cieszył się szczególnym powodzeniem.

To zdumiewające, jak te dowcipne opowieści bawią i dzieci, i osoby znacznie, znacznie starsze. To zastanawiające, że wydarzenia osadzone w odległej starożytności trafiają tak wprost i bez żadnych dodatkowych objaśnień do umysłów ludzi, których wiedza o tamtych czasach jest właściwie żadna. Zrozumiałe i witane śmiechem są nawet aluzje i kpiny z rzeczywistych faktów, z prawdziwego biegu tamtej historii czy też antycznej mitologii. Zasługa to przede wszystkim talentu obu autorów. Zarówno bowiem komiksy, jak też filmowe ich wersje łączą barwność i dynamikę stylu Disneya z prawdziwie francuską lekkością. Mówią o sprawach pozornie odległych, ale zarazem każą nam myśleć o nas samych i o problemach naszej epoki. Okazuje się raz jeszcze, jak żywotna, wciąż aktualna i bliska jest starożytność, jeśli tylko potraktować swobodnie, a więc twórczo, ów materiał, którego dostarcza wciąż i aż w nadmiarze każdemu, kto ma nieco wyobraźni. Niezwykła to epoka, wciąż i przez tyle wie- ków stanowiąca źródło inspiracji dla najwznieśliwszych dzieł sztuki, poezji, filozofii, muzyki, ale i dla zabawnych komiksów, trafiających celnie nawet do dzieci.

Asterix pokonał Rzymian. Opanował nawet ich stolicę. Juliusz Cezar pokornie zajął się podlewaniem kwiatów w ogródku pod okiem czulej małżonki Kleopatry. Byłoby może lepiej, gdyby historia właśnie tak się potoczyła i bardzo by to odpowiadało dumie Francuzów, potomków Gallów, naprawdę jednak wszystko – czy trzeba to przypominać? – wyglądało inaczej. Cezar zajął ogromny kraj pomiędzy Atlantykiem a Renem, całą wolną Galię, zdumiewająco szybko, bo w ciągu zaledwie kilku lat. Opór miejscami był bohaterski, lecz krótko- trwały. Wercyngetoryks (Vercingetorix) – zwróćcie uwagę, końcówka „rix”! – bronił Alezji heroicznie, ale musiał kapitulować. A potem romanizacja językowa i kulturowa czyniła błyskawiczne postępy. Już po kilku pokoleniach mówiono tu po łacinie. A w sto mniej więcej lat po Cezarze rzymskie legiony zajęły wyspę Brytanię, również zamieszkałą przez Celtów.

Były jednak w Europie rejony, gdzie mogli oni długo utrzymywać niezawisłość po prostu dlatego, że leżały daleko od granic rzymskiego imperium. Do takich miejsc zaliczyć trzeba okolice Krakowa. Tak, dzięki archeologom wiemy dziś ponad wszelką wątpliwość, że istniały tu jakieś osady celtyckie. I to dobrze zorganizowane, wcale nie prymitywne! Najlepiej dowo-

dzi tego fakt, że odlewano w nich monety. Służące do tego gliniane formy już przed laty odkopano koło Krakowa, gdzie dziś Nowa Huta.

Stąd, oczywiście, nasze krakowskie przywiązanie do miłego grosza, tak często a niesłusznie wyśmiewane przez rodaków z innych dzielnic. Lecz nie nasza to ani wina, ani zasługa, że pieniądz szanujemy w sposób szczególny, skoro odziedziczyliśmy ów kult po naszych celtyckich przodkach, którzy właśnie tu założyli pierwszą na ziemiach polskich mennicę; a przynajmniej pierwszą nam znaną. Ten fakt i ta starożytna tradycja zobowiązują.

Jeśli Asterix żył gdziekolwiek i kiedykolwiek, to z dala od legionów Cezara. Może więc w Krakowie, odlewając monety? I może powróci tu na stronach komiksowych książeczek lub w telewizyjnym serialu – bawiąc i ucząc? On sam lub ktoś z jego starożytnych, wiecznie młodych kompanów?

Bejrut, czyli Berytus

Stolica Libanu, której obecna tragedia winna wreszcie wstrząsnąć światem, należy nie tylko do najpiękniejszych, ale i do najstarszych miast Bliskiego Wschodu. Ciągłe osadnictwo typu miejskiego trwa tu od co najmniej schyłku trzeciego tysiąclecia p.n.e., czyli już ponad czterdzieści wieków. Miasto jest więc dużo starsze od Aten, Rzymu, Aleksandrii. Stanowiło jeden z ważnych ośrodków życia politycznego i handlowego starożytnej Fenicji, miało też pradawne kontakty z Egiptem faraonów i wspomina je w dokumentach znad Nilu. Jego pierwotna nazwa semicka brzmiała zapewne Beroot, co można by tłumaczyć Studnie. Nie- stety, zachowało się bardzo mało zabytków z tamtych okresów, jak zresztą i z późniejszych wieków, a obecna zabudowa nie pozwala na prowadzenie większych prac wykopaliskowych. Tak więc wiele stron w dawnej kronice Bejrutu musi pozostać pustych.

Na szczęście dla historyka sytuacja zmienia się na lepsze, gdy kraje te znalazły się w orbicie wpływów greckich, a potem rzymskich, mnożą się bowiem informacje o mieście w książkach pisarzy antycznych. Już około roku 350 p.n.e. pewne greckie dziełko geograficzne przekazało po raz pierwszy tę nazwę miasta, która później była powszechnie używana w epoce klasycznej: greckie Berytos, łacińskie Berytus. Przechodzić tędy musiał Aleksander Wielki. Po jego śmierci i rozpadzie ogromnej monarchii Fenicja dostała się pod panowanie greckiej dynastii Seleucydów, mających swoją stolicę w syryjskiej Antiochii. Przez lat prawie 200 miasto rozwijało się normalnie, ale około roku 140 p.n.e. zostało niemal całkowicie zniszczone podczas walk, jakie prowadzili z sobą dwaj przedstawiciele dynastii. Leżało w gruzach ponad wiek, swoje zaś odrodzenie zawdzięczało Rzymianom. W roku zapewne 15 p.n.e. Marek Agryppa, współpracownik i zięć cesarza Augusta, tak sławny dzięki wspaniałej budowli, jaką wznosił w samym Rzymie – mowa oczywiście o Panteonie – osadził w zrujnowanym mieście weteranów dwóch rzymskich legionów. Sprawilo to zarazem, że Berytus uzyskał status prawny rzymskiej kolonii i zwał się odtąd oficjalnie Colonia Iulia Augusta Felix Berytus. Miasto miało ludność mieszaną: fenicką, grecką, rzymską, a z pewnością liczne też były na jego terenie grupy mieszkańców wywodzące się z innych narodowości Bliskiego Wschodu.

Miasto rozkwitało szybko i bujnie, a znalazło możnego i hojnego poplecznika w osobie ówczesnego króla Judei Heroda Wielkiego. Mowa właśnie o tym Herodzie, który zyskał tak złą i powszechną sławę skutkiem opowieści o rzezi niewiniątek. Ale był on gorącym wielbicielem Greków i greckiej kultury, co zresztą ogromnie mu zaszkodziło w oczach jego żydowskich poddanych. Okazywał prawdziwie królewską szczodrość wielu miastom helleńskim poza granicami swego państwa, w tym także w Fenicji. Berytus otrzymał od niego w darze świątynie, place targowe, portyki. Potem jego wnuk, król Agryppa I, szedł wiernie tymi śladami, czyniąc dużo dobrego dla miasta. Zbudował tu teatr, amfiteatr, łaźnie, portyki, wspinał się wyposażając wszystkie owe gmachy. Na swój koszt urządzał w teatrze popisy muzyczne i poetyckie, w amfiteatrze zaś walki gladiatorów na śmierć i życie. Pewnego dnia – a niezwykle to wydarzenie zapisało się na długo w pamięci mieszkańców – kazał wypuścić na arenę dwa zastępy gladiatorów, z których każdy liczył po siedmiuset ludzi. Byli to wyłącznie przestępcy, kiedy więc wzajem się mordowali, widzom sprawiali rozkosz i uciechę, a zarazem sami sobie wymierzali zasłużoną karę. Popis tej masowej i publicznej egzekucji na pewno

spotkał się z ogólną aprobatą jako łączący piękne z pożytecznym; taka była mentalność i takie odczucia ludzi tamtej epoki.

Syn Agryppy I, a więc prawnuk Heroda Wielkiego, król Agryppa II kontynuował politykę obsypywania Berytu dobrodziejstwami. Corocznie wydawał igrzyska w tamtejszym teatrze, przy sposobności rozdając wśród mieszkańców zboże i oliwę wartości kilkudziesięciu tysięcy drachm. Oczywiście, musiało to wywoływać szczere oburzenie poddanych króla w Judei, uważali bowiem, że to ich kosztem karmi się obcych. On jednak poszedł jeszcze dalej. Po- nieważ budowle, wzniesione niegdyś przez jego pradziada, króla Heroda, uległy zniszczeniu, zabrał się z wielką energią do ich restauracji. Przed kilkunastu laty odkryto na terenie obecne- go Bejrutu łaciński napis tej treści: „Królowa Berenika, córka wielkiego króla Agryppy, i król Agryppa odnowili od fundamentów budynek, który zbudował ich pradziad król Herod, a któ- ry zawalił się skutkiem starości. Ozdobili go też marmurami i dodali sześć kolumn”.

Wymieniona tu Berenika to rodzona siostra, ale zarazem podobno ukochana króla Agryppy II. Potem jednak – a może równocześnie? – nawiązała też romans z młodym wodzem rzymskim Tytusem, który stanął w prowincjach wschodnich w roku 67 wraz z ojcem swym Wespazjanem, aby stłumić wielkie powstanie Żydów w Palestynie. W lipcu roku 69 obwołano Wespazjana cesarzem i w jakiś czas potem powrócił on do Italii, a tymczasem Tytus doprowadził wojnę do końca. Najdramatyczniejszym akcentem było zdobycie Jerozolimy i spalenie świątyni latem roku 70. Dokonawszy tego, Tytus przeniósł się najpierw do Cezarei nadmorskiej, a potem do Berytu. „Tam zabawił czas dłuższy, obchodząc wspaniale urodziny swego rodzica, urządzając nader kosztowne igrzyska i rozwijając niesłychany przepych. I tutaj też znowu, jak w innych miejscowościach, zginęła ogromna ilość jeńców żydowskich”. Są to słowa Józefa Flawiusza, świadka wydarzeń. Potem Tytus udał się do Syrii.

Tak więc bliskość Palestyny sprawiała, że w mury miasta zawsze wdzierały się fale i echa wydarzeń w tamtej krainie. Tak było w starożytności, tak jest obecnie. Nie wiemy wprawdzie, co działo się w Berycie podczas wielkich powstań żydowskich w początkach II wieku, później wszakże nastąpiły tu czasy dość dobre i spokojne, skoro stał się on miastem typu uniwersyteckiego, sławnym w całym imperium dzięki świetnej szkole prawniczej. Rozwijała się ona przez całe wieki, ściągając rzesze młodzieży. Cesarz Dioklecjan zwolnił tamtejszych studentów od wszelkich świadczeń na rzecz państwa aż do dwudziestego piątego roku ich życia; rzadki wówczas przywilej. Potem cesarz Justynian nazwał Beryt „praw karmicielką”.

Ale właśnie wtedy, gdy w Bizancjum powstawał ogromny zbiór praw z inicjatywy Justyniana, a jeszcze przed jego ogłoszeniem, na Beryt spadła w roku 529, w samej pełni lata, straszliwa katastrofa. Trzęsienie ziemi obróciło w ruinę miasto, które ówczesny historyk nazywa najpiękniejszą ozdobą Fenicji. Nie ocalał ani jeden ze wspaniałych gmachów, które wznoszono tu i restaurowano od czasów Augusta, Heroda, obu Agryppów. Zachowały się – twierdzą naoczni świadkowie – tylko fundamenty i posadzki. Zginęły rzesze mieszkańców, a także wielu studentów przybyłych z różnych krain. Zniszczenia były tak ogromne, że szkoły przeniesiono do innych pobliskich miejscowości, zwłaszcza do Sydonu. Przystąpiono oczywiście do odbudowy, ale już nie zdołano przywrócić miastu dawnej świetności. W niecałe zaś sto lat po owym kataklizmie dokonała się inna zmiana, polityczna i etniczna: przyszli Arabowie, przynosząc swój język, wiarę, obyczaj, kulturę.

Tyle możemy powiedzieć o dziejach miasta w starożytności, od czasów fenickich po arabskie. Przyszłość może jeszcze dorzucić jakieś odkrycia, dokumenty, zabytki. Ale i to, co wiemy, pokazuje wyraziście dramatyzm losów jednego miejsca, jednego punktu u wybrzeży w ciągu wieków. Tragedia obecna również kiedyś stanie się tylko historią. Bejrut na pewno odrodzi się ze zgliszcz i ruin. I może też kiedyś miasto, w którym władza bezprawie, będzie znowu twórczym ośrodkiem studium prawa? Oby rzymskiego!

Greków i Rzymian portret własny

Krakowska wystawa w Muzeum Narodowym „Polaków portret własny” ściągała tłumy, album zaś mimo wysokiej ceny rozszedł się natychmiast. Toczyły się wokół jej problematyki żywe dyskusje i spory, a echa ich wciąż powracają. Jednym chodzi o kryteria doboru obrazów. Innym o ich sekwencje i zestawienia, albo też o sens i cel ekspozycji. A jeszcze inni – i tych jest chyba najwięcej – traktują tę sprawę tylko jako dogodną odskocznnię do snucia rozważań o naszym charakterze narodowym, o jego niezmiennych elementach i cechach, a nawet o epokach i dramatach dziejów społecznych. Natomiast jakoś rzadziej myśli się i mówi o tym, że podobną wystawę mógłby przecież zorganizować każdy naród europejskiej wspólnoty kulturowej. Ba, mogłyby ją urządzić również liczne narody do tej wspólnoty nie należące. Liczne, ale nie wszystkie. Istniały bowiem i wciąż jeszcze egzystują takie kultury, które z różnych względów, najczęściej religijnych, nie wykształciły i długo nie uprawiały sztuki portretowej. Europejczycy wszakże mają portretowe upodobania i zdolności jakby we krwi, albowiem wszyscy odziedziczyli je wprost lub pośrednio wraz z innymi umiejętnościami od starożytnych. Portret – idealizujący lub naturalistyczny, symboliczny lub wierny, indywidualny lub zbiorowy – stanowi, by tak to określić, część masy spadkowej po Grecji i Rzymie. Oczywiście, można by sięgnąć do tradycji jeszcze odleglejszych w czasie, zwłaszcza do egipskich, ale w tym wypadku nie ma nici bezpośrednio łączących tradycje i sposoby portretowania.

A skoro tak sprawa się przedstawia, oto pytanie: czy nie dałoby się przygotować wystawy portretów owych dwóch dawno zmarłych ludów, to jest ekspozycji na wzór i podobieństwo tej, która kazała nam tak głęboko i wszechstronnie zastanawiać się nad istotą polskości? Czemu by nie pokusić się o Greków i Rzymian portret własny? Samo sformułowanie tego pytania zmusza do zastanowienia się nad wielu, jak mniemam, pouczającymi kwestiami.

Najpierw więc wypada rozważyć, co przekazała nam w tym zakresie starożytność klasyczna, to jest jakimi zabytkami sztuki portretowej z tamtej epoki obecnie dysponujemy. I tutaj od razu napotyka się problem bardzo interesujący. Nie trzeba mianowicie być historykiem sztuki lub archeologiem, by orientować się i wiedzieć, że istnieje wręcz nieprzejrzana masa rzeźb antycznych, rozproszona po wszelkich muzeach świata, ale prawie nie znamy i nie posiadamy portretów malowanych. Bo i cóż się zachowało? Nieco portretów trumiennych z okresu greckiego i rzymskiego w egipskiej oazie Fajum. Są one pod pewnymi względami porównywalne z obrazami tegoż typu, to jest trumiennymi, jakie oglądaliśmy na wystawie krakowskiej, z tym jednak, że stoją znacznie wyżej, jeśli chodzi o samo wykonawstwo. Dalej, można by to i owo znaleźć w Pompei, gdyby uznać za portretowe niektóre fragmenty tamtejszych malowideł ściennych; w zasadzie jednak są to sceny rodzajowe lub pejzaże. Dałoby się również zaliczyć do kategorii portretów niektóre wyobrażenia na mozaikach, osobny zaś rozdział musiałby stanowić malowidła starochrześcijańskie. I to właściwie wszystko, a więc mało, bardzo mało. Skąd to ubóstwo?

Przyczyny są jasne. Malarstwo antyczne, zwłaszcza tak zwane sztalugowe, prawie nie dotrwało i nie mogło dotrzeć do nas ze względu na kruchość samego materiału. Starożytni nie słychanie wielbili i cenili tę gałąź sztuki, my zaś zdani jesteśmy tylko na ich opisy i ewentualnie na słabe, późniejsze naśladownictwa, głównie na wazach. Nie będziemy chyba nigdy wie-

dzieli, jak wyglądały, jakie wrażenie czyniły w całym bogactwie swej kolorystyki i w pomysłach kompozycyjnych arcydzieła Zeuksisa i Apellesa. Ale wynika stąd dalej, że nie będziemy też nigdy wiedzieli, jak wyglądały naprawdę najświetniejsze osobistości tamtego świata! Czy Liwia była brunetką, czy też blondynką? Jakiego koloru włosy i oczy miał Aleksander Wielki? Sławna mozaika z Pompei daje mu włosy ciemne, ale pewien pisarz starożytny twierdzi, że był blondynem, a oczy miał różnej barwy. Powie ktoś, że to drobiazgi. Nieprawda. Jeśli chce się rzeczywiście poznać ludzi jakiejś epoki, trzeba koniecznie widzieć ich w kolorze. Wymowa i blask oczu, kolor włosów, karnacja – to wszystko cechy poniekąd drugorzędne, ale przecież bez nich żadne wyobrażenie jakiegokolwiek postaci nigdy nie może stać się pełne i żywe.

Los starożytnego malarstwa powinien także stanowić memento, ostrzeżenie dla naszej cywilizacji, tak dumnej z siebie. Posiadamy ogrom i nieprzejrzone bogactwo dzieł malarskich od czasów średniowiecza, toteż wydaje się nam po prostu niemożliwością, by kiedyś to wszystko mogło zniknąć prawie do szczytu. Każdy, kto zwiedzał sale krakowskiego Muzeum Narodowego podczas trwania wystawy, wychodził pod wrażeniem niesłychanej liczby zebranych tam pięknych płócien. A wiadomo przecież, że właśnie polskie zbiory nie należą na skutek różnych kataklizmów, ale i naszych własnych zaniedbań, do najzasobniejszych w świecie. Pod tym względem kraje sąsiednie, znacznie mniejsze, jak Węgry i Czechosłowacja, biją nas na głowę. A jednak przyjdzie kiedyś czas, poucza o tym właśnie starożytność, kiedy trudno będzie w jakimkolwiek państwie i kraju zgromadzić oryginały malarskie w takiej liczbie i w takim stanie. Ba, zespolone wysiłki i połączone zasoby, zbiory, eksponaty wszystkich muzeów całego świata nie wystarczą, by wypełnić choćby część sal tego samego muzeum, które dało tak bogatą panoramę portretów tylko jednego narodu.

Nie pomogą żadne zabiegi konserwatorskie, nieubłagany czas ma swoje prawa. A groźniejsze od katastrof, wojen, pożarów, wszelkich kataklizmów są niedostrzegalne procesy chemiczne zachodzące w sposób nieodwracalny nawet na płótnach najlepiej zabezpieczonych. Można by wręcz twierdzić, że im nowszy obraz, tym szybciej się starzeje. Dawni mistrzowie używali farb naturalnych, obecnie zaś powszechnie stosuje się sztuczne, chemiczne, które początkowo lśnią pięknie i czysto, ale dziwnie szybko tracą świeżość, blask i kolor. Krótko mówiąc: za 2000 lat organizatorzy wystawy w Muzeum Narodowym o tejże tematyce będą w ogromnym kłopotcie, usiłując powtórzyć niegdysiejszy sukces i przedstawić Polaków portret własny na przestrzeni trzech tysięcy lat. Malowideł bowiem z wieku XX zachowa się niewiele, a i te pod względem wykonawstwa nie będą prezentowały najwyższej jakości, ponieważ sztuka portretowania znajduje się w wyraźnym regresie w stosunku do poziomu, jaki trwał jeszcze do wieku XIX i nawet do początków naszego stulecia. Rzeźb zaś portretowych obecnie wykonuje się bardzo mało. Istnieje więc groźba, że nasz dumny wiek stanie się w oczach potomnych wiekiem ludzi bez oblicza! Bo przecież nawet fotografie ulegną albo zniszczeniu, albo też po prostu wyblakną.

Natomiast rzeźby Greków i Rzymian, wykute w kamieniu, marmurze i brązie, pozostaną niezniszczalne i nienaruszone. Można je ustawiać, obecnie lub kiedykolwiek, w galeriach i salach wystawowych setkami i tysiącami, porządkując według dowolnych kryteriów. Przechadzka zaś po takiej wyimaginowanej wystawie nasunęłaby mnóstwo interesujących wniosków. Oto dla przykładu jeden z nich.

Przed wszystkim musi leć w gruzach dość stereotypowe wyobrażenie, że Grecy i Rzymianie to – z nielicznymi wyjątkami – bardzo poważni panowie o gęstych, długich, dostojnych brodach. Okazuje się mianowicie, że brody i bródki to tylko kwestia mody zmieniającej się, jak i obecnie, co pewien czas. Owszem, w wiekach V i IV p.n.e. szanujący się mężczyzna zapuszczał brodę. Toteż Perykles, Sofokles, Tukidydes, Platon, Arystoteles wyobrażani są z brodami, różnego jednak kształtu. Później przychodzi raptowna zmiana. Aleksander Wielki brody nie nosił i odtąd królowie, mężowie stanu, wodzowie raczej unikają bród i bródek, choć

trafiają się one wśród twórców, zwłaszcza filozofów. Także Rzymianie wtedy i jeszcze długo potem bród nie lubili. Wystarczy spojrzeć na rzeźby portretowe Cycerona i Cezara, Augusta i jego następców aż po początek wieku II, po cesarza Trajana; od niego poczynając broda znowu zdobi oblicze władcy, aż po Dioklecjana włącznie. Lecz Konstantyn Wielki pokazuje się ogolony.

Powie ktoś, że broda to sprawa błaha. Może. Ale na pewno nie jest błaha, kiedy chodzi o portret własny jakiejś epoki lub narodu w ciągu wieków. Ostatecznie bowiem, przyzna to każdy, broda lub jej brak stanowią w dużym stopniu o tym, jakim jawi się mężczyzna. A ja- kim jest naprawdę, to już inna kwestia. I nie wiem, czy może odpowiedzieć na to pytanie ja- kkolwiek, choćby najlepszy portret.

